Semka: **Po co nam Tusk w Brukseli**

Warzecha broni prawa do **wycinania drzew**

Tajne służby kontra Trump

Saga rodu **Potworowskich**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 110 tys. egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

120 stron

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 9/211 27 LUTEGO–5 MARCA 2017

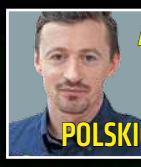

ADAM MAŁYSZ O SEKRETACH SUKCESÓW POLSKICH SKOCZKÓW

DODATEK SPECJALNY
BITWA WARSZAWSKA – WIELKA CHWAŁA POLSKIEGO ORĘŻA

Paweł Kukiz uderza w mocnym wywiadzie:

NIECH PIS WALKĘ Z HEJTEM ZACZNIE OD SIEBIE

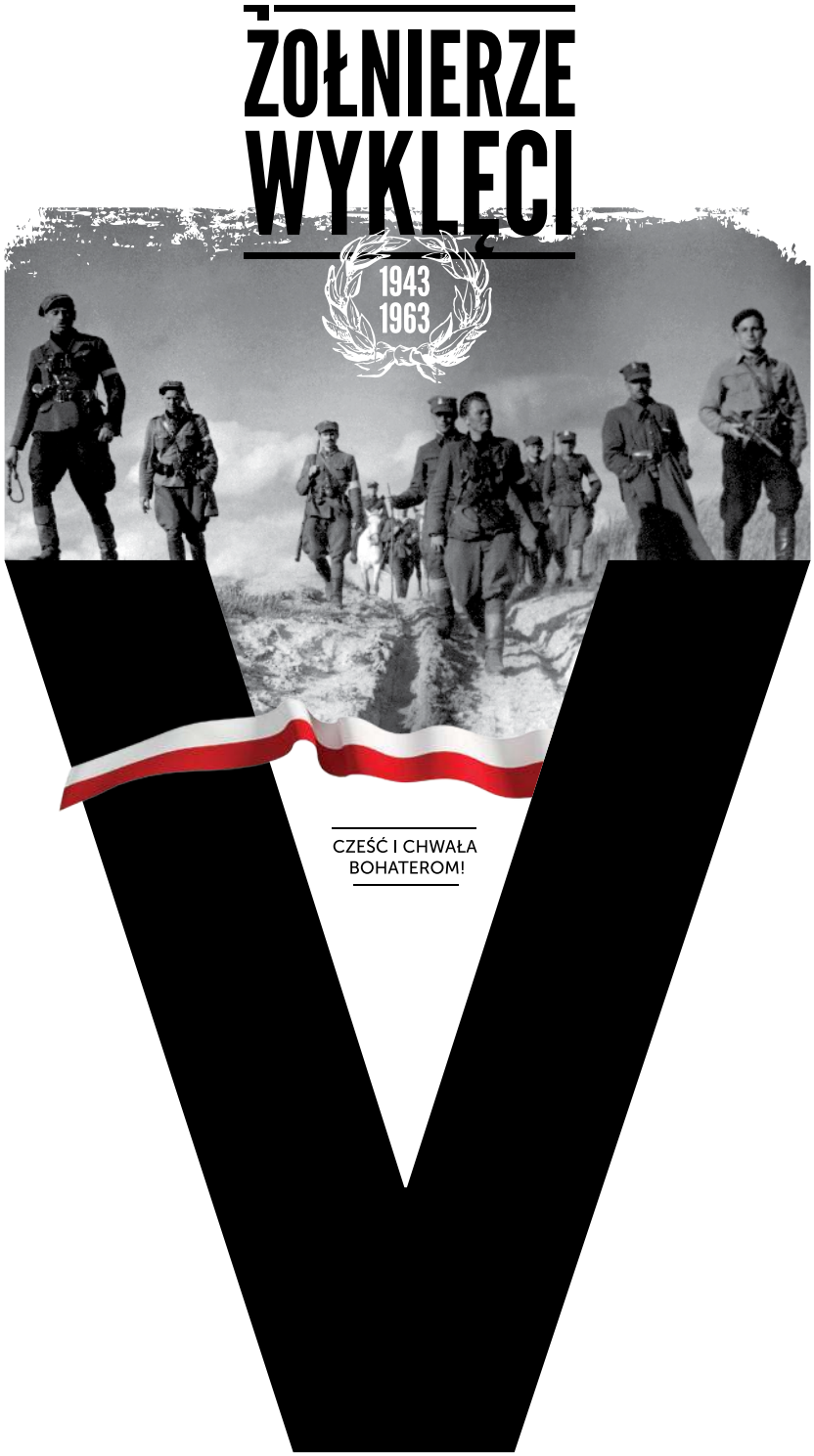

1 marca / Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych

SKLEPY STACJONARNE
Warszawa: Chmielna 7
Warszawa: Jagiellońska 69
Kraków: Szewska 25

www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA
TELEFONICZNE
22 290 66 55

MARKA ODZIEŻY
TOŻSAMOŚCIOWEJ
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

RED IS BAD™

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Prawdziwi obrońcy sztuki

Pamiętam scenę z pewnego filmu, kiedy to zaproszony na przyjęcie do arystokratycznego domu gość zaczął się zachowywać zgoła niekonwencjonalnie: mówił za głośno, śmiał się w niewłaściwej chwili, pod wpływem alkoholu zaczął nawet dość – powiedzmy to tak – prostacko przystawiać się do zaproszonych kobiet, aż wreszcie, jak można się było spodziewać, zwymiotował na stół. Klasyczny przykład pozbawionego manier, brutalnego chama, który wpuszczony na salony nie wie, jak się zachować, korzysta z delikatności oraz subtelności obyczajów gospodarzy i wszystko mając gdzieś, łamie obyczaje. Ten właśnie obrazek przypomniał mi się, kiedy rozgorzała dyskusja po przedstawieniu „Klątwa" w warszawskim Teatrze Powszechnym. Może dlatego, że wielu współczesnych artystów zachowuje się właśnie jak ów cham, który demoluje to, co inni darzą szacunkiem, i pluje na to.

Wiem jednak doskonale, że także ta analogia jest chybiona. Współczesny artysta bywa nie tylko grubianinem i barbarzyńcą – to jeszcze dawałoby się jakoś usprawiedliwić – lecz także przede wszystkim obrzydliwym hipokrytą, który świetnie zdaje sobie sprawę z tego, jakie symbole i znaki może zdezawuować oraz bezkarnie zohydzić, a co jest faktycznie zabronione. Ma co do grosza policzone zyski płynące z wywołania skandalu. Kiedy zatem oglądam filmiki, na których aktorzy podcierają się watykańską flagą, obcują z figurą Jana Pawła II lub tarmoszą krzyż, nie tylko ogarnia mnie obrzydzenie, lecz także czuję pogardę. Tak, pogardę dla reżysera, który postanowił obrzucić błotem polskie świętości, oraz dla aktorów i aktorek, którzy postanowili w tym uczestniczyć. I jeszcze dla tej grupy klakierów, którzy nagle ogłosili, że wolność artysty jest czymś absolutnym, nieograniczonym, że wszelka próba poddawania owej sztuki ocenom, domagania się od artystów przestrzegania reguł i respektowania uczuć innych świadczy o zaściankowości.

Każda sztuka jest dozwolona? Czyli gdyby okazało się, że ktoś (oby tak się nie stało) wpadł na pomysł wystawienia „Protokołów mędrców Syjonu", to rozumiem, że nikt by nie zaprotestował? Albo gdyby pojawił się reżyser, który wystawiłby sztukę poświęconą gwałtom homoseksualnym na dzieciach, mógłby liczyć na głosy uznania i wsparcia tych krytyków, którzy tak bronią „Klątwy"? Hipokryci – czy wtedy też by wołali głośno, że artysta ma absolutne prawo do przedstawiania swojej wizji? Jednak przecież słyszę, że artysta nie chciał nikogo urazić, a jeśli tak się stało, to nie jego wina. Dobre sobie! Ci, którzy to mówią, już dawno – jak widać – utracili wrażliwość. Nic nie jest dla nich święte, wszystko jest przedmiotem gry. Wykorzenieni i wydziedziczeni są jak sępy, które żywią się obcym już dla nich i martwym ciałem.

Każde społeczeństwo, a już szczególnie społeczeństwo demokratyczne, musi mieć swoje tabu. Muszą istnieć symbole święte, nienaruszalne, takie, których nikt nie waży się publicznie deptać ani wyszydzać. Takimi symbolami są w Polsce: krzyż, wizerunek Matki Boskiej, postać zmarłego papieża. I rozumieją to nawet niewierzący. Ten szacunek nie ma nic wspólnego z wolnością słowa – w Polsce, tak jak w innych państwach demokratycznych, każdy może krytykować religię czy jej przedstawicieli. Jednak krytyka i bluźnierstwo to nie to samo. Ta pierwsza jest czymś naturalnym, to drugie stanowi wyraz zdziczenia. W Warszawie zdziczenie jest – o zgrozo! – wspierane z publicznych pieniędzy.

Wbrew pozorom prawdziwymi obrońcami wartości sztuki nie są ani reżyser „Klątwy", ani występujący w niej aktorzy, ani wspierający ją publicyści, ale ludzie, którzy z różańcem w ręku i ze złożonymi w modlitwie dłońmi postanowili zaprotestować. To oni bronią piękna, bronią niewzruszonej wartości tych znaków kulturowych, które pozwoliły Polakom przetrwać i się rozwijać. Mam nadzieję, że będą skuteczni. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 8322bd21d5

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z PAWŁEM KUKIZEM
POLSKĄ RZĄDZĄ DWA PZPR-Y
Lider Kukiz'15: „Wierzę, że Kaczyński dobrze życzy Polsce"

KRAJ

20 ROZMOWA Z BARTOSZEM KOWNACKIM
NOWY KSZTAŁT SIŁ ZBROJNYCH
Wiceminister obrony narodowej o przyszłości polskiej armii

24 PIOTR ZYCHOWICZ
NIE PUDRUJMY ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

28 PIOTR SEMKA
KŁOPOT Z TUSKIEM

31 WOJCIECH WYBRANOWSKI
BRUD POD TOGĄ

34 ROZMOWA Z ADAMEM TOMCZYŃSKIM
SĘDZIÓW TRZEBA KONTROLOWAĆ

36 KRZYSZTOF MASŁOŃ
KRAKÓW SIĘ STACZA

40 KAMILA BARANOWSKA
FRONTOWY PLATFORMY

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
NIEPIĘKNA EPOKA
Rozczarowująca „Belle Epoque"

45 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
WANDAL W TEATRZE

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY
CHWAŁA ORĘŻA POLSKIEGO

BITWA WARSZAWSKA
- Jak Polacy uratowali Europę
- Zbrodnie bolszewickich najeźdźców
- Masakra pod Zadwórzem

OPINIE

74 TOMASZ KWAŚNICKI
DONALD TRUMP PRZESTAWIA WAJCHĘ
Kulisy amerykańskiej polityki zagranicznej

78 ŁUKASZ WARZECHA
ZIELONY ZAMĘT

80 KS. ROBERT SKRZYPCZAK
INTERKOMUNIA JUŻ BLISKO?

83 PIOTR WIERZBICKI
BYĆ IZRAELEM EUROPY

HISTORIA

84 ADAM ZUBEK
KRĘGOSŁUP POLSKOŚCI
Rok Wisły

87 TOMASZ LENCZEWSKI
WIERNI BOGU I OJCZYŹNIE

ŚWIAT

92 ROZMOWA Z JULIĄ ŁATYNINĄ
PUTIN W SPOKOJNEJ FAZIE
Rosja w poczuciu zagrożenia

96 PIOTR WŁOCZYK
ŁAJAJĄCY HOLENDER

98 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ŻYDOWSKA CÓRKA TRUMPA

EKONOMIA

102 ŁUKASZ ZBORALSKI
BIZNES NA ZDZIECINNIENIU
Jak się zarabia na sentymentach

STYL

106 JACEK PRZYBYLSKI
AAA... CUDZĄ AUREOLĘ KUPIĘ
Szokujące aukcje

SPORT

110 ROZMOWA Z ADAMEM MAŁYSZEM
STARAM SIĘ BYĆ PRZYDATNY
Kulisy pracy z kadrą skoczków

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (72), ZALEWSKI, WOLSKI (77), ZYCHOWICZ, KOPER (90), GABRYEL, RYBIŃSKI (104), KOMUDA (112), TYRMAND (116), KATARYNA (118), ŁYSIAK (119)

eprasa.pl 8322bd21d5

Zapach kobiety

Wybór prezentu na Dzień Kobiet z roku na rok staje się coraz trudniejszy. Mnogość pomysłów, ofert i możliwości jest wręcz nieskończona.

Zamiast kwiatka na Dzień Kobiet zmysłowy bukiet....zapachowy. Perfumy idealnie dobrane do osobowości poprawiają nastrój, pozwalają poczuć się wyjątkową, uwodzicielską, wolną, niezależną i kochaną.

Oto propozycja prezentu dla kobiety warta szczególnej uwagi – bestsellery i nowości, które za moment się nimi staną. **Z pewnością każda kobieta ucieszy się z takiego upominku.**

Agata Krawczyk
ekspert zapachowy Douglas

Carolina Herrera Good Girl

woda perfumowana

30 ml, 249 zł

www.douglas.pl

Bestseller i klasyk w jednym.
O tej wodzie nie trzeba nic mówić. Eksplozja jaśminu i tuberozy, którą pokochały miliony kobiet. Silna, zdecydowana obywatelka całego świata. Świadoma swojej wartości kobieta, która zawsze osiąga sukces. Towarzystwo tego zapachu sprawia, że z podziwem patrzy na nią każdy.

Guerlain Mon Guerlain NOWOŚĆ

woda perfumowana

30 ml, 289 zł

www.douglas.pl

Kompozycja stworzona przez Thierry'ego Wassera specjalnie dla twarzy zapachu – Angeliny Jolie. Esencja kobiecości i wyrafinowania – to chciał przekazać nam twórca, wartości tak ważne dla marki Guerlain. Ten piękny flakon nosi w sobie niebanalne połączenie irysa i jaśminu, dwóch silnych składników. Zdecydowanie ważna premiera tego roku.

Paco Rabanne Olympéa Intense NOWOŚĆ

woda perfumowana

50 ml, 359 zł

www.douglas.pl

Najnowsza wersja znanej nam już wody od Paco Rabanne. To zapach stworzony dla liderek, które wierzą w siebie i chcą zdobywać świat. Ciepły, ambrowy aromat podkreśla kobiece atuty, jest niesza-blonowy i pobudza wyobraźnię. Kompozycja oparta jest na solonej wanilii, słodycz spotyka się tu z zaskakującym twistem. Ta nowość dla mnie już jest bestsellerem.

Michael Kors Wonderlust

woda perfumowana

30 ml, 219 zł

www.douglas.pl

Pragnie odkryć każdy zakątek ziemi. Uwielbia podróże i przygody. Chce dotknąć, doświadczyć, przeżyć. Ten zapach od Michaela Korsa kobiety już pokochały. To zaskakujące połączenie chłodnych i ciepłych nut: bergamotki, drzewa sandałowego, różowego pieprzu i mleka migdałowego. Balsamiczny i otulający.

Lacoste Eau de Lacoste Pour Elle Magnetic NOWOŚĆ

woda perfumowana

45 ml, 259 zł

www.douglas.pl

Magnetyczne połączenie owoców i kwiatów. Kokieteryjna i uwodzicielska, pełna kobiecości woda z kolekcji L.12. 12 Pour Elle. Fasola tonka i wanilia świadczą o ciepłych akcentach, które przyciągną niejednego mężczyznę. Jaśmin i róża dodają tej kompozycji elegancji i klasy. Ta nowość podbije serca nie tylko kobiet! Zdecydowanie ważna premiera tego roku.

Valentino Donna

woda perfumowana

30 ml, 275 zł

www.douglas.pl

Szyk i włoski minimalizm. Nienaganne krawiectwo. Kobieta, która imponuje szykiem i elegancją. Daje się ponieść emocjom i namiętności, czasem jednak pozwala sobie być nieśmiałą... Zasługuje na dżentelmena, który otworzy przed nią wszystkie drzwi. To ciepły pudrowo-kwiatowy zapach, który łączy delikatność róży i moc skórzanego akcentu irysa.

24/7 ZAKUPY ONLINE DOUGLAS.PL

Douglas

PROMOCJA

eprasa.pl 8322bd21d5

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu między innymi list krytycznie oceniający naszą pracę. Także za takie głosy serdecznie dziękujemy. Zapraszamy oczywiście na naszą stronę: www.dorzeczy.pl, na której codziennie znaleźć można pisane specjalnie do Internetu felietony i komentarze naszych autorów.

„Polska rozbrojona"

W nawiązaniu do artykułu Łukasza Warzechy („Do Rzeczy" 6/2017) – mówiącym o ograniczonej i limitowanej dostępności broni dla obywateli RP oraz stojących za tym argumentach – należałoby dodać, że stosowanie takich „procedur" wobec narodu, który miał tak krwawą historię, jest niezrozumiałe i obraźliwe. W czyim interesie jest, aby obywatele Polski byli rozbrojeni? Szermowanie argumentem, że jesteśmy nieodpowiedzialni jako społeczeństwo, aby posiadać broń w domu, jest wręcz obraźliwe i pokazuje jakby nieufność do własnych obywateli. Po to są procedury, aby w sposób oczywisty do osób nieodpowiedzialnych broń nie trafiła. Obywatel Czech ma zdecydowanie łatwiejszą ścieżkę uzyskania zezwolenia na posiadanie broni, a jeśli jedna z nich jest produkcji czeskiej, to nawet dwóch. Posiadanie broni przywraca obywatelom godność. Przez 200 lat zaborów obcy dbali, aby w polskich domach nie było broni. Tak zostało do dziś. Znamienne.

Z wyrazami szacunku
Juliusz Rzepczyński

„Jak rząd Tuska zniszczył BOR"

Muszę powiedzieć, że jestem zniesmaczony okładkowym hasłem ostatniego Waszego numeru. Zwalanie winy za zaniechanie reform instytucji chroniących władze na rząd PO kilkanaście miesięcy po przejęciu władzy zdaje się kolejną zwrotką do fraszki Wojciecha Młynarskiego „Wina Tuska". Kochani, żenująca niekompetencja, jaka prezentowana jest mimo tylu wpadek, wypadków i katastrof, nie da się wytłumaczyć zaszłościami. Przecież politycy PiS po katastrofie smoleńskiej powinni wiedzieć, że ochrona władz państwowych praktycznie nie istnieje. Kolejne wypadki, będące żenującym dowodem niekompetencji i bałaganu, a nikt nie podaje się do dymisji. No i okładka krytycznego rzekomo wobec rządu tygodnika ze zwalaniem winy na Tuska. Żenada.

R. Krolik

Obsceniczna „Klątwa"

W ostatniej pookrągłostołowej zmowie, której wynikiem była III RP, przez 28 lat, z założenia i systemowo prowadzona jest antynarodowa lewacka polityka, i to za wyraźnym przyzwoleniem tej części społeczeństwa, której uprzednio wytrybowano świadomość narodową, a także przy wsparciu unijnego lewactwa.

Unia wspiera tych, którzy przyzwalają na rozkradanie Polski z osobistą korzyścią. Patologia tak się rozwinęła, że prowadzi spustoszenie w każdej dziedzinie życia, w tym – jak widać – również w kulturze. Wystawiona sztuka „Klątwa", o tak wulgarno-obscenicznym wyrazie, na tzw. scenie teatru przez zespół artystów zaliczanych do najwyższej klasy, to niebezpieczny sygnał anarchii w państwie, która może doprowadzić do rozkładu państwa.

Julian Maciąg

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hołdyńska, Jarosław Kałucki, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Rafał Siderski/FORUM**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży) reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 8322bd21d5

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Czytamy „Wesele”

Arcydramat Stanisława Wyspiańskiego będzie tegoroczną lekturą podczas Narodowego Czytania, o czym zadecydowali internauci, wybierając go spośród czterech innych propozycji

Narodowe Czytanie pod wysokim patronatem prezydenta RP rozpoczęło się w roku 2012 od „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza. Następny w kolejności był Fredro ze swymi „Dziełami”, co w praktyce sprowadziło się do fragmentu „Zemsty”, a po nim Henryk Sienkiewicz z „Trylogią”, a konkretnie z „Potopem”. W roku 2015 nastąpiła zmiana w Pałacu Prezydenckim i w roli dobrotliwego dziadka czytającego wnuczętom swoje ulubione lektury Bronisława Komorowskiego zastąpił Andrzej Duda, z racji wieku bardziej tatuś niż dziadzio. Naród w ślad za nim czytał „Lalkę” Bolesława Prusa, by w zeszłym roku powrócić do Sienkiewicza, tym razem z „Quo vadis”.

Teoretycznie o wyborze książki do Narodowego Czytania decydują Polacy głosujący na konkretny tytuł w otwartym plebiscycie. Wybór mają jednak nie za wielki: w 2016 r. opowiedzieli się za „Quo vadis”, a mogli wskazać na „Popioły” Stefana Żeromskiego, „Chłopów” Władysława Reymonta, „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego czy „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej. I na nic innego. W tym roku wybierali spośród: „Pamiątek Soplicy” Henryka Rzewuskiego, „Beniowskiego” Juliusza Słowackiego, znowu „Wesela” Wyspiańskiego i raz jeszcze Żeromskiego, tyle że teraz z „Przedwiośniem”. Padło na „Wesele”.

Z czytaniem „Wesela” może być kłopot, bo to dramat, a więc należałoby je raczej odegrać, i znów rozgorzeje narodowy spór, kto ma być Czepcem, kto Chochołem, a kto Jaśkiem, czyli – wstyd powiedzieć – chamem, który zgubił złoty róg. Rządzący zapewniać będą, że „w całej polskiej naturze przemiana”, opozycja narzekać, że wszystko to: „Żyd, chłop, wódka, stare dzieje”, a „Gazeta Wyborcza” w dniu Narodowego Czytania ukaże się z winietą: „Nie polezie orzeł w gówna” i z odsyłaczem: „My jesteśmy tacy przyjaciele, co się nie lubią”. W tej sytuacji pan prezydent podkreślający, że „Polska to jest wielka rzecz”, może być nieprzekonujący.

Cóż, Rzewuski od początku był spisany na straty, bo przeciętny Polak o „Pamiątkach Soplicy” nie słyszał w ogóle. O „Beniowskim” naród może i słyszał, ale głównie to, że była to ulubiona lektura Józefa Piłsudskiego. Gdyby padło na ów poemat, opozycja z Platformy rozdzierałaby szaty, że za arbitralnym wyborem stoi złowrogi Jarosław Kaczyński.

Pozostawało więc „Wesele”, co pewnie najbardziej spodoba się młodzieży, która dobrze zna film tak zatytułowany. Oszuka się jednak, bo oglądała „Wesele” Wojciecha Smarzowskiego, a nie Andrzeja Wajdy.

A teraz już serio. Narodowe Czytanie warto kontynuować jako jedną z bardziej skutecznych, bo mocno promowanych przez media, akcji propagujących literaturę, przy tym rozumianą nie tylko jako podstawa nauczania szkolnego, lecz także ważny czynnik integrujący społeczeństwo wokół wartości wyższego rzędu. Osobiście żałuję, że nie została wykorzystana szansa, by w Roku Conrada zaproponować Polakom lekturę „Jądra ciemności” czy „Tajnego agenta”. A ostatecznie nawet „Lorda Jima”, chociaż ten obija się po lekturach szkolnych. W każdym razie takie polsko-angielskie czytanie Josepha Conrada przydałoby się również w nauce języków obcych, a prezydent Andrzej Duda przy okazji mógłby wykazać się wybitną znajomością języka Szekspira. ©℗

Krzysztof Masłoń

ORDER DLA ANDRZEJA HORUBAŁY

Prezydent Andrzej Duda w ubiegłym tygodniu odznaczył działaczy pierwszego Niezależnego Zrzeszenia Studentów (założonego jesienią 1980 r.). Uroczystość związana była z 36. rocznicą rejestracji NZS. Wśród uhonorowanych „za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce” znalazł się Andrzej Horubała, zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Do Rzeczy”, który odznaczony został Krzyżem Wolności i Solidarności oraz Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Andrzej Horubała opozycyjną aktywność rozpoczął w liceum. Od 1980 r. był przewodniczącym NZS na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Po 13 grudnia działał w niezależnych inicjatywach akademickich oraz w nielegalnych strukturach Solidarności. Współpracownik, a następnie członek redakcji tygodnika Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego

FOT. KRZYSZTOF SITKOWSKI/KPRP

„Wola”, autor podziemnych pism kulturalnych. Po 1989 r. był szefem widowisk artystycznych i rozrywkowych TVP1 (1994–1996), a później dyrektorem programowym TV Puls (2000–2001). Reżyserował znane cykle telewizyjne i filmy dokumentalne. Publikował powieści i szkice krytycznoliterackie.

– Bardzo wam dziękuję za to, żeście się nie bali aż tak bardzo, żeby nic nie robić – powiedział prezydent podczas uroczystości w Pałacu Prezydenckim. – Dziękuję, że ryzykowaliście, bo ryzyko było, i to wielkie. Można było zostać wyrzuconym z uczelni z wilczym biletem. Można było nie móc zdobyć wykształcenia, można było w ten sposób złamać sobie życie, można było zostać aresztowanym, pobitym, a nawet, jak wiemy, zamordowanym. ***(ww)*** ©℗

eprasa.pl 8322bd21d5

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Na ciągłym rauszu

Ostatnia awantura o lex Szyszko to doskonały przykład zjawiska, jakie zagościło w polskiej polityce już niemal na stałe – nagłego wybuchu afer politycznych i gwałtownej paniki moralnej opozycyjnej opinii publicznej. Wybucha nagle afera, padają dramatyczne ostrzeżenia, opozycja wzywa do masowych protestów, a PiS obawiający się, by mały ogień nie zmienił się w polityczny pożar, reaguje na oślep. Albo coś na gwałt odwołuje, albo na odwrót – jeszcze bardziej umacnia się na swoich pozycjach.

Nowelizacja prawa dotyczącego wycinki drzew przeszła bez większego echa, aż ktoś rzucił hasło: Szyszko wycina drzewostan. Ile tych wycinek? Z jakiego powodu? Nikt w mediach w to nie wnikał. Dziennikarze z ogniem w oczach pokazywali zdjęcia nadesłane z różnych zakątków Polski jako dowód na drzewną apokalipsę. Tutaj zdjęcie z Konstancina-Jeziorny, tam z Wrocławia, tu jeszcze z Krakowa. Nikt nie dociekał, dlaczego te drzewa przeznaczono do wycięcia. Zamiast tego posypały się oskarżenia: „Szyszko jest zgadany z lobby tartaków", „Władza nienawidzi przyrody, wcześniej chciała zniszczyć Puszczę Białowieską i wytruć konie z Janowa Podlaskiego". Politycy Platformy nie dali na siebie długo czekać. Poseł Sławomir Neumann rzucił hasło: „PiS to pilarki i siekierki".

W końcu jak zwykle w roli gromowładnego Zeusa odezwał się Jarosław Kaczyński i obiecał szybką nowelizację ustawy.

W mediach próżno szukałem rozmowy z jakimś ekspertem, który oceniłby, czy drzew wycina się teraz więcej niż wcześniej i jakie racje stały za zmianą prawa. Tylko paru wolnościowców, takich jak Robert Gwiazdowski, wskazywało, że samo zwiększenie prawa właściciela gruntów do decyzji o ścięciu drzewa nie oznacza, iż wszyscy rzucą się do wycinki, tak jakby obsesyjnie nienawidzili wszystkiego, co zielone.

Co ciekawe, ale i smutne – gdy wybucha taka moralna panika, do akcji wkraczają zarówno zwykli internetowi hejterzy, jak i szacowni komentatorzy. Pierwsi szczują na całego, ci drudzy nadają ich furii znamiona powagi. A potem temat gaśnie, bo jest już coś nowego na liście przebojów oburzenia.

Tak wygląda ten stan nieustannego rauszu. Jego najbardziej złowrogą cechą jest systematyczne sugerowanie, że PiS coś robi, bo nienawidzi ludzi. Pędzi kolumnami limuzyn po drogach miast i wsi, bo nie martwi się o bezpieczeństwo zwykłego Polaka. Nienawidzi drzew, bo minister to „Szyszkodnik" i jest opłacany przez lobby drzewne. A Kaczyński uważa się za pana, bo jest ukrytym nazistą. I sypią się już hashtagi z aluzjami do hitlerowskiej rasy panów, hulają hasła: „Ein Reich, ein Kaczynski, ein Herrenvolk". Rausz nie może osłabnąć. Rausz musi trwać. ©℗

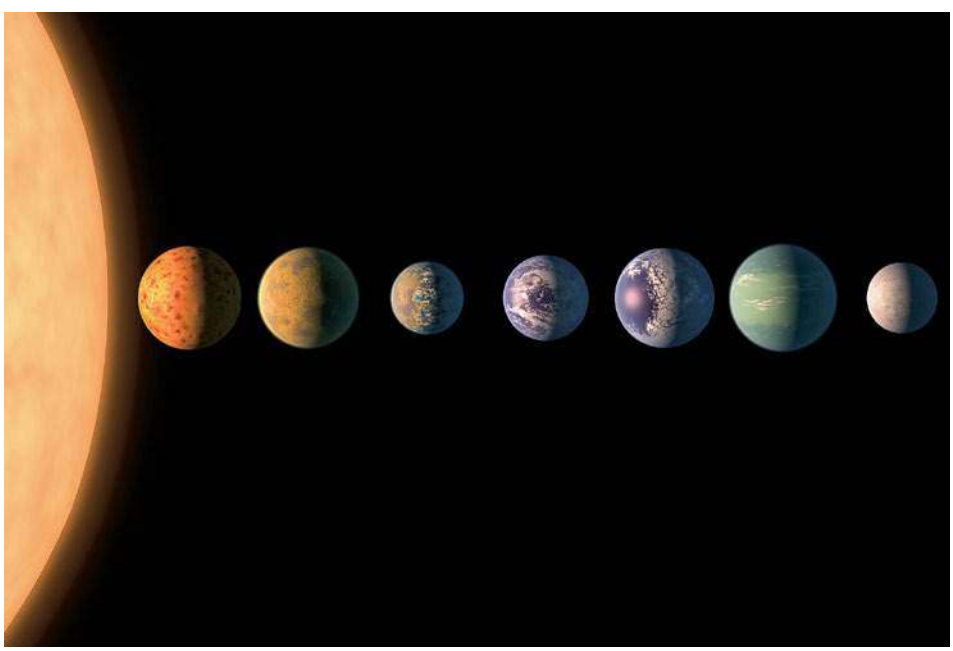

FOT. NASA

ODKRYLI PLANETY PODOBNE DO ZIEMI

Naukowcy z NASA poinformowali w ubiegłym tygodniu, że odkryli system planetarny, w którym jest siedem planet podobnych do Ziemi. Trzy z nich – zdaniem badaczy – mają się znajdować w tzw. ekosferze, czyli sferze potencjalnie umożliwiającej istnienie życia. System TRAPPIST-1, w którym odkryto nowe planety, znajduje się w gwiazdozbiorze Wodnika, oddalonym od Ziemi o ok. 40 lat świetlnych. Odkryto go jeszcze w 2016 r. dzięki znajdującemu się w Chile teleskopowi. W środku systemu znajduje się gwiazda chłodniejsza od Słońca – superzimny czerwony karzeł. Naukowcy spekulują, że planety są skaliste. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 8322bd21d5

FOT. MAT. PRAS

Nowoczesny jak Lwów

Stolica polskich kresów południowych kojarzy się dziś Polakom ze ślubami króla Jana Kazimierza, batiarami i Cmentarzem Orląt, ale rzadko z awangardą przedwojennego modernizmu. Jak pokazała zakończona w niedzielę w Muzeum Architektury we Wrocławiu wystawa „Lwów 24 czerwca 1937. Miasto, architektura, modernizm", gród nad Pełtwią nadawał ton nowoczesności II RP nie gorzej niż Warszawa. Zebrano plakaty z lat 30., zdjęcia z życia miasta i grafiki, ale głównym bohaterem wystawy była porywająca architektura lwowska lat 30. Przypomniano tak ciekawych architektów jak Ferdynand Kassler, Michał Kowalczuk i Ignacy Drexler. Kto spóźnił się na tę arcyciekawą ekspozycję, ten niech poluje w księgarniach na wzorowo wydany katalog pod redakcją Bohdana Czerkiesa i Andrzeja Szczerskiego. Dyrektor wrocławskiego Muzeum Architektury Jerzy Ilkosz okazał się dobrym stróżem pamięci o Lwowie w metropolii nad Odrą. ©℗ ***Piotr Semka***

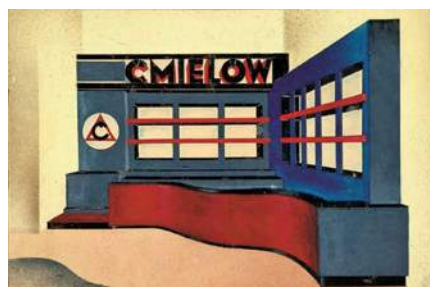

FOT. MAT. PRAS

NAGRODA DLA KS. KAZIMIERZA KACZORA

Kapituła Nagrody im. bp. Romana Andrzejewskiego zdecydowała się przyznać wyróżnienie ks. prałatowi Kazimierzowi Kaczorowi, społecznikowi i diecezjalnemu duszpasterzowi rolników. Wręczenie Nagrody im. bp. Andrzejewskiego odbyło się w siedzibie Konferencji Episkopatu Polski. Dokonał go prymas Polski abp Wojciech Polak. Nagroda im. bp. Romana Andrzejewskiego została ustanowiona w celu wyróżnienia osób, które w szczególny sposób zaangażowały się w prace na rzecz środowisk wiejskich i małomiasteczkowych.

FOT. E. BARTKIEWICZ/NWWERSKOPAT.PL

„Aktywna postawa laureatów ma być przykładem pozytywnej pracy, możliwej w każdych warunkach, zgodnej ze wskazaniami nauczania społecznego Kościoła. Fundator nagrody pragnie, aby praca laureatów nie była zapomniana" – czytamy na stronie organizatora.

Tegoroczna Nagroda im. bp. Romana Andrzejewskiego trafiła w ręce ks. prałata Kazimierza Kaczora, diecezjalnego duszpasterza rolników. Decyzję o przyznaniu wyróżnienia podejmuje Kapituła, w której skład wchodzą m.in. ks. bp Alojzy Orszulik, przewodniczący Fundacji „Solidarna Wieś" Sławomir Siwek, a także ks. Ireneusz Juszczyński oraz Katarzyna Frelek. Podczas uroczystości laudację wygłosił ks. abp. Józef Michalik, metropolita senior archidiecezji przemyskiej. Nagrodę wręczył ks. abp Wojciech Polak, prymas Polski. ***Paweł Ozdoba*** ©℗

RADIOAKTYWNY JOD-131 NAD POLSKĄ

Nad Polską utrzymuje się najwyższy w krajach UE poziom radioaktywnego jodu. Eksperci uspokajają, że nie ma w tej chwili zagrożenia dla zdrowia.

Jod-131 to jeden z izotopów promieniotwórczych jodu. Może powodować nowotwory, a wydziela się m.in. podczas awarii reaktorów jądrowych.

– Tym razem nie doszło do żadnej katastrofy w elektrowni jądrowej – zapewnia prof. Andrzej Strupczewski z Narodowego Instytutu Badań Jądrowych, ekspert do spraw bezpieczeństwa reaktorów. Jego zdaniem źródłem wzrostu promieniowania jest najprawdopodobniej kolejny wyciek z zakładów produkcyjnych, a nie np. wybuch jądrowy ani próba nuklearna.

Z mapy Europy opublikowanej przez francuski Instytut Ochrony Radiologicznej i Bezpieczeństwa Atomowego (IRSN) można wyczytać, że źródło promieniowania znajduje się w którymś z krajów Europy Wschodniej. Najprawdopodobniej w Rosji, gdyż początkowo radioaktywny jod wykryto w Norwegii.

Jego podwyższony poziom zarejestrowano też w Hiszpanii, we Francji, w Niemczech, Czechach, Finlandii i – najwyższy – właśnie w Polsce. Nad naszym krajem odnotowano stężenie jodu-131 w wysokości 5,92 mikro-Bq/m sześc.

– Mikro to jedna milionowa, a bekerel to jeden rozpad atomu na sekundę. Dla porównania w każdej sekundzie w naszym ciele dochodzi do 30 tys. rozpadów atomów potasu K-40. Informacja o pięciu milionowych świadczy więc raczej o bardzo dobrej aparaturze diagnostycznej, którą dysponujemy – podkreśla prof. Strupczewski.

Eksperci przypominają, że nie ma też potrzeby profilaktycznego przyjmowania płynu Lugola, który podawano wszystkim po katastrofie w Czarnobylu, co miało zapobiec wchłanianiu radioaktywnego izotopu jodu. Po latach okazało się, że było to zbędne (przyznawał to prof. Zbigniew Jaworowski z Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej w Warszawie, który kierował wówczas akcją). – Tym bardziej jest zbędne obecnie, gdy stężenia są znacznie niższe, nie ma żadnej potrzeby podawania płynu Lugola – dodaje prof. Andrzej Strupczewski.

Lekarze ostrzegają, że niepotrzebne przyjmowanie płynu Lugola może spowodować choroby tarczycy. ***(kp)*** ©℗

eprasa.pl 8322bd21d5

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zakładnicy

Jeśli ktoś myślał, że Platformie Obywatelskiej nie mogło się już trafić nic gorszego niż podwójnie przegrane wybory w roku 2015, to okazuje się, że „był w mylnym błędzie". Coś gorszego przydarzyło się jej niemal natychmiast po wyborczej klęsce i – mało tego – przydarza od tego czasu regularnie.

Od wyborów PO zjeżdża w kierunku już nie „Wyborczej" ani „Krytyki Politycznej", ale „Faktów i Mitów"

Otóż zaraz po przegranych wyborach stało się definitywnie to, przed czym PO, dopóki była silna i dopóki kierował nią Donald Tusk, skutecznie się broniła. Została porwana przez środowiska lewicowo-liberalne, których symbolem w polskim dyskursie publicznym jest „Gazeta Wyborcza". Ten proces uruchomiony został wcześniej – od chwili, gdy Tusk porzucił swą formację niczym wąż wylinkę i o jej publicznym wizerunku decydować zaczęli politycy specjalnie przez Tuska swego czasu dobrani pod kątem cech dających mu gwarancję bezpieczeństwa, takich jak niska inteligencja i polityczna nieporadność. To właśnie przesunięcie PO w lewo, dokonane bezmyślnie przez Ewę Kopacz i Bronisława Komorowskiego w chwili, gdy nastroje nie tylko w Polsce, lecz także na całym świecie, poza jedyną czytaną przez oboje gazetą, przesuwały się w prawo, zadecydowało o klęsce.

Jednak od czasu wyborów PO już nie tyle skręca, ile zjeżdża po równi pochyłej, w kierunku już nie „Wyborczej", nawet nie „Krytyki Politycznej", lecz „Faktów i Mitów". Żal patrzeć na Grzegorza Schetynę, który we własnej partii stał się zakładnikiem politycznej gównia-rzerii, przy której Komorowski i Kopacz wydają się tytanami intelektu. Jednak nawet owa gównia-rzeria została już przelicytowana. Liderami opozycji stali się tępy jak kostka brukowa PRL-owski trep, kompletnie „odleciana" aktorka albo bardziej szczerbata odmiana „Andrzejka" Hadacza ze swymi „obywatelami" – ale i na tych się nie zatrzymało, bo już przelicytował ich skiepszczony rockman, cynicznie, jak sądzę, ale trafnie formułując całą ideologię obozu: „Nienawidzę PiS-owców, jak ich widzę, to mi się chce rzygać". I PO – chcąc nie chcąc – za tym pójdzie, tak jak pójdzie w obronę pseudoartystycznego szitu i jeszcze dalej – tam, gdzie zniknęli Urban i Palikot i PO dała się bowiem porwać fali antypisowskiej histerii, którą sama wznieciła, i nie ma już nic do gadania.

Może nie ma czego żałować, ale polskiej polityce i debacie publicznej nie służy to dobrze. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Trump chce obalić papieża

Jak? Dzięki sojuszom, które z potężnymi siłami czarnej reakcji w Watykanie i faszyzującymi ruchami w Europie zawarł diaboliczny strateg amerykańskiego prezydenta – Stephen K. Bannon.

„NYT" odpalił tę bombę na pierwszej stronie piórem Jasona Horowitza, który prowadził w tej sprawie śledztwo w Rzymie. Koronnym dowodem istnienia wspieranej przez Trumpa konspiracji przeciw Franciszkowi jest to, że Steve Bannon w kwietniu 2014 r. spotkał się z rzekomym szefem spiskowców kard. Raymondem Burke'em i ponoć pozostają w kontakcie e-mailowym. Horowitz dowiedział się tego od zaufanego człowieka kard. Burke'a, niejakiego Benjamina Harnwella, szefa katolickiej fundacji mającej również biuro w Rzymie. Inne spolegliwe źródła Horowitza to były amerykański ks. Thomas Williams i anonimowy kawaler maltański, który miał takie przeczucia. Trochę mało... Nawet siostra zakonna z watykańskiej centrali telefonicznej, nie mówiąc o jakimś anonimowym urzędniku Kurii Rzymskiej, spiskowej teorii Horowitza nie chciała potwierdzić.

Zainspirowany rewelacjami „NYT" watykanista „La Repubblica" Paolo Rodari przytoczył je, potwierdził i rozwinął: odrażające, populistyczne ruchy w Europie – włoska Liga Północna, francuski Front Narodowy i Alternatywa dla Niemiec – jednoczą się z wrogą Franciszkowi „ultrakonserwą" za Spiżową Bramą. Pada jednak tylko nazwisko kard. Burke'a. W spisek mają być także zamieszani lefebryści, Opus Dei i ruchy pro-life. Brakuje tylko Belzebuba i cesarza chińskiego.

To, co mówi i robi Trump, wielu ludzi niepokoi. To jednak nie powód, by wypisywać piramidalne bzdury, jakby żywcem wyjęte z piosenki „Na zielonej Ukrainie" (Gdy Sobieski był sułtanem, stary Bismarck z konia spadł etc.). Faj duli, faj duli. ©℗

eprasa.pl 8322bd21d5

ŁUKASZ WARZECHA

NOTES MALKONTENTA

Wszyscy gramy u Frljicia

Prokuratura zajęła się z urzędu spektaklem „Klątwa" wyreżyserowanym – jeśli o reżyserii można tu w ogóle mówić – przez Chorwata Olivera Frljicia. Stowarzyszenie Ordo Iuris interweniuje w Radzie Europy. Z wielu stron płyną głosy całkowicie uzasadnionego i zrozumiałego oburzenia. Jest z tym wszystkim tylko jeden problem: prokuratura, Ordo Iuris, wielu komentatorów, ale oczywiście także ci, którzy tym strumieniem pseudoteatralnych fekaliów są zachwyceni – oni wszyscy grają w przedstawieniu Frjlicia. W jakimś stopniu, niestety, gram w nim także ja, pisząc ten felieton.

Dla Frljicia najgorszym scenariuszem jest ten, w którym jego żałosne postękiwania spotkałyby się z całkowitą obojętnością

W jaki sposób? Wiele wyjaśnia wywiad z Chorwatem opublikowany w „Krytyce Politycznej". Frljić mówi w nim o swoich wątpliwych dokonaniach w roli dyrektora Teatru Narodowego w Rijece: „Tymczasem dla mnie od początku było jasne, że chciałbym jej użyć [instytucji Teatru Narodowego – przyp. Ł.W.] jako narzędzia performatywnego i rozszerzyć jej obecność poza scenę; wiedziałem, że będę chciał performować instytucję w każdym możliwym rodzaju mediów. Chciałem zantagonizować całe społeczeństwo – i to jakoś nam się udało. […] Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiliśmy, było zawieszenie na budynku teatru flagi LGBTQ w dniu jednego z najważniejszych świąt narodowych Chorwacji. To była bardzo prosta, niedroga akcja, która wywołała duże poruszenie. Oto mamy narodowe święto, reprezentujące pewne wyobrażenie o społeczeństwie – wyobrażenie, z którego niektóre grupy społeczne są wykluczone. A my zdecydowaliśmy się zawiesić na teatrze flagę jednej z wykluczanych mniejszości. Reakcje były natychmiastowe, pojawiły się oskarżenia, że próbujemy ośmieszyć narodowe święto. […] Pojawiłem się w niemal wszystkich możliwych chorwackich mediach, opowiadając o akcji".

Odrzućmy bełkotliwą warstwę ideologiczną. Frljić jest zwykłym, mało twórczym przedsiębiorcą: zarabia na skandalu. Ma to wszystko od dawna przećwiczone, obliczone i skalkulowane. Jego „przedstawienie" nie kończy się na aktorach robiących na scenie fellatio czy wyciągających sobie flagi z wagin. Ono obejmuje wszystko to, co dzieje się wokół tej kloaki. Stąd dla Frljicia największą porażką, najgorszym scenariuszem jest ten, w którym jego żałosne, wtórne pseudotwórcze postękiwania spotkałyby się z całkowitą obojętnością.

Wiem, że trudno się na to zdobyć i ciężko tego wymagać od innych, skoro i piszący te słowa ma z tym problem. Mam jednak również problem z braniem udziału w performansie według scenariusza chorwackiego hochsztaplera. ©℗

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA POWYŻEJ 49 ZŁ

PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 5 marca 2017 r.

1.

59,90 zł
48,90 zł

2.

34,90 zł
24,90 zł

3.

59,00 zł
39,00 zł

4.

39,90 zł
25,90 zł

5.

49,90 zł
29,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 8322bd21d5

FUCHA ŻYCIA

Dla Huberta Urbańskiego po siedmiu latach chudych przyszły lata tłuste. Znów jest prowadzącym „Milionerów" w TVN i cieszy się, że odzyska dawną popularność, jaką przyniósł mu ten teleturniej. Pamiętamy, że Urbański odszedł z TVN w atmosferze konfliktu – domagał się podwyżki, a kierownictwo, nie chcąc się na to zgodzić, pozbyło się z anteny i Urbańskiego, i programu. Dlatego gdy gruchnęła wieść, że „Milionerzy" wracają do TVN, zaczęto się zastanawiać, kto zostanie nowym prowadzącym. To, że jest to znów Urbański, było nie lada zaskoczeniem, choć on sam zapewnia, że na jego miejscu nie mógł pojawić się nikt inny. – Nie rozważano innego nazwiska. „Milionerzy" to moje największe wyzwanie sezonu, nie szukam innych – mówi Urbański. – Jakby był jakiś inny kandydat do prowadzenia tego programu, tobym go zastrzelił – dodaje. Niby żartobliwie. Chociaż pamiętajmy, że mówi to ekscelebryta, który przez siedem lat nie mógł sobie znaleźć dobrej roboty. Powiało grozą, co?

CELEBRYTKA PEŁNĄ GĘBĄ

Karolina Szostak, prezenterka sportowa, a od niedawna także stała bohaterka kolorowych czasopism, trafiła na okładkę „Vivy!". Powód? Schudła 20 kg. Jak na aspirującą gwiazdę przystało, twierdzi, że zupełnie nie wie, jak do tego doszło. Pewnie przypadkiem. – Porozmawiałam z Kasią, która prowadzi firmę cateringową, i ona zaproponowała mi post i oczyszczenie. Bo być może przy niedoczynności tarczycy, chorobie Hashimoto, na którą cierpię, wszystko jest zblokowane, a post może pomóc to odblokować. Pomyślałam, że spróbuję tego detoksu. Ale nie wyobrażałam sobie bycia na samych sokach. Jestem smakoszem, lubię na wyjazdach smakować lokalne dania, ryby, owoce morza – opowiada Karolina. – Nagle jakoś się odchudziłam. Nie umiem tego wytłumaczyć – dodaje. Cuda, panie, cuda! Jeśli niebawem Karolinie zmienią się rysy twarzy i będzie przekonywać, że to geny, nowa dieta albo efekt spacerów na świeżym powietrzu, to jej przemianę w celebrytkę będzie można uznać za zakończoną.

EKSPERCI OD POLITYKI

Aktorka Magdalena Cielecka po tym, jak w wywiadzie dla „Newsweeka" zabłysnęła stwierdzeniem, że wracając tramwajem z antyrządowej manifestacji z wpiętym znaczkiem Komitetu Obrony Demokracji, poczuła się jak „żydowskie dziecko w tramwaju w czasie okupacji", brnie w to dalej, tym razem w „Gazecie Wyborczej". „Nie chlapnęłam ani nikt mnie nie zmanipulował, wywiad autoryzowałam. Chciałam powiedzieć, co powiedziałam. Uznałam, że to najlepiej zobrazuje moje emocje w tym tramwaju. Biorę za to odpowiedzialność – stwierdziła. – Dla mnie ważny jest imperatyw mówienia głośno tego, co myślimy. Wielu ludziom się nie chce, trochę ze strachu, trochę z lenistwa, trochę z konformizmu. Krzyczymy, że pójdziemy umierać za ojczyznę, ale nie jesteśmy w stanie zwrócić uwagi sąsiadowi, który bije psa. Mamy jakiś wdrukowany lęk, żeby się nie wtrącać. I to jest szkodliwe. Daliśmy [Cielecka, Ostaszewska, Stuhr, Poniedziałek] ten wywiad, bo wydaje nam się, i na szczęście nie tylko nam, że jako artyści mamy obowiązek to robić, bo będąc rozpoznawalni, jesteśmy słyszalni. Ja bym wolała tylko grać. Ale nas pytają" – żali się aktorka. Ciekawe, czy gdyby ktoś zapytał Cielecką o fizykę kwantową, też udzieliłaby o tym wywiadu? Mniej więcej tak samo zna się bowiem na polityce.

FOT. PAWEŁ GROMADA

CHWILA, CHWILUNIA

Celebrytka Zofia Ślotała wyznała, że od kiedy została mamą, ma o wiele mniej czasu, także na przygotowania na wielkie wyjścia. Teraz zajmuje jej to zaledwie chwilę. Chwilunię. Czyli 2,5 godziny! Dba też o to, by dobrze eksponować swoje atuty. – Stylizacja na dzień a stylizacja na wieczór to są dwie zupełnie inne sprawy, inne stylizacje, więc ja to rozgraniczam. Znam plusy i mankamenty swojej figury. Wiem, co mogę odkryć, a czego raczej nie chcę odkrywać i bym się czuła niekomfortowo. Dekolty mogę mieć po pępek, ale wszystko inne ukrywamy – mówi Ślotała. – Na czerwony dywan skracam czas przygotowania do minimum, jakieś 2–2,5 godziny – dodaje. 2,5 godziny przygotowań dla pięciu minut na ściance. Show-biznes to jednak najdziwniejsza branża na świecie.

FOT. ZYSZTOF JAROSZ/FORUM

BRUTALNA SZCZEROŚĆ

Dorota Szelągowska do niedawna kojarzona była głównie z tym, że jest córką pisarki Katarzyny Grocholi i żoną producenta, kompozytora oraz dyrygenta Adama Sztaby. Dzisiaj jest popularną prowadzącą programy o urządzaniu wnętrz, w których remontuje i odmienia mieszkania Polaków. TVN wyczuł w niej potencjał i próbuje wykreować ją na nową gwiazdę. Szelągowska udziela więc kolejnych wywiadów, w których jest pytana także o rozstanie z mężem i nowego partnera, co niespecjalnie jej się podoba. – Nie ukrywam, że jestem w związku, ale nie czuję potrzeby pokazania mojego partnera i opowiadania o wielkiej miłości, bo to jest nasze – ucina tego typu pytania. – Pokazujesz dupę na Instagramie, to potem się nie dziw, że jesteś przez pryzmat tej dupy oceniany – dodaje. Ależ sobie Szelągowska przechlapała na starcie u kolegów i koleżanek z show-biznesu. Zwłaszcza tych korzystających z Instagrama! Czyli wszystkich. ©℗

eprasa.pl 8322bd21d5

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, świeckowaliśmy ostatnio rocznicę powstania naszego modnego fanpejdża i zrobiło nam się wstyd, inaczej mówiąc – poczuliśmy, iż to siara w chooy. Otósh naszym zdaniem Unia Europejska powinna zakazać celebrowania urodzin. Na rok 2017 powinna być to sprawa pierwszoplanowa.

Otósh dzień urodzin nie jest dniem, który ktokolwiek mógł sobie wybrać, a został on narzucony przez osobę płodzącą waginododatnią. Z tego powodu narzucanie obchodzenia urodzin w dniu, który nie jest dniem wybranym przez osobę, stanowi element opresyjny. Tym samym nie może być on uznany za dzień godny świeckowania.

Znając życie, Unia niedługo pewnie i tak zacznie się zastanawiać, czy świeckowanie urodzin nie godzi w dobre samopoczucie tych waginoosób, które skorzystały z prawa do wyboru. Współczesna Europa przecież jest uwrażliwiona na takie sytuacje. Sami widzicie, iż należy ustawą znieść urodziny!!!

Pis szykuje zamach na naszą wolność, przy którym internowania to jak wyjazd integracyjny z korpo. Otósh wyobraźcie sobie, iż w nienawistnym umyśle jednego z pisowskich posłów powstał

pomysł, iżby zakazać słuchania muzyki w czasie jazdy na rowerze.

To nic innego, jak tylko zamach na kulturę miejską, której nieodłącznym elementem są hipsterzy na holenderkach, którzy z narażeniem życia dryblują rowerem między samochodami, pieszymi, gołębiami i pojazdami MPK. Wyobrażacie sobie, jak bardzo zubożeje miejski krajobraz bez hipstera na holenderce, który ma w uszach białe słuchawki od ajfonika? Niedługo pewnie przyjdą jeszcze po nasze wiklinowe koszyczki i zaczną egzekwować znajomość zasad ruchu drogowego :/

Co prawda, można pokombinować i np. mieć włożone do uszu słuchawki, iżby nie zatracić tożsamości, ale nie słuchać muzyki, iżby nie dostać mandatu przekraczającego tygodniówkę w korpo.

Obawiamy się jednak, iż siepacze Kaczafiego nie będą niuansować, czy ze słuchawek leciał jakiś fajny dubstepik, czy były traktowane przez nas jedynie jako element tożsamości kulturowej :(((

Oczywiście czujemy się oburzeni słowami Kaczafiego, który powiedział, iż pis to „ludzcy panowie", co jest wielopoziomową obelgą wymierzoną w różne społeczności.

Zgadzamy się z Grzegorzem Schetyną, iż po tak haniebnych słowach należą się przeprosiny. Nasz kolektyw jednak skromnie ustawi się w kolejce po nie na końcowych miejscach, iż Kaczafi przede wszystkim obraził bardziej kogoś innego.

Przede wszystkim słowem „panowie" dał do zrozumienia, po raz kolejny, że nie jest zainteresowany równouprawnieniem waginoosób. A może mówiąc „ludzcy panowie", świadomie obraził waginoosoby, odmawiając im człowieczeństwa? Czekamy, aż portal parówkowy albo „Wyborcza" zakrzykną do nas takim tytułem lub leadem.

Nie sposób też nie zauważyć, iż Kaczafi obraził tymi słowami także osoby animalne, sugerując, jakoby panowie mogli być tylko „ludzcy". A co z osobami zwierzęcymi, które wybierają maskulinistyczny gender? Dla nich nie ma już miejsca w debacie publicznej? Fashysm i zamordyzm.

Pokusiliśmy się o pewne zestawienie. Otósh kiedy rząd daje pieniądze Krystynie Jandzie, finansuje prywatne teatry i in vitro, daje kasę na KryPę i kupuje reklamy w „Wyborczej" – to jest OK, postępowo, nowocześnie i świecko.

Jednak kiedy rząd daje kasę na dzieci i mieszkania – to skandal, podkarpacie i finansowanie patologii.

Jakie to proste, co należy myśleć!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 8322bd21d5

FOTO BERT GARDIŃSKI

dwaj panowie g

Bardzo nas cieszy, że VIP-y w Polsce mogą latać samolotami wojskowymi CASA na podstawie instrukcji, jaką wydał jeszcze w 2013 r. Tomek Siemoniak z PeŁo. Oznacza to bowiem, że w sumie choć raz Tomek na coś się przydał. Mamy jednak złośliwe pytanie: Czy dotyczy to także ministrów latających do Brukseli przy okazji, kiedy CASA frunie treningowo do tego siedliska eurokratów? Tak tylko pytamy. Jako ruska agentura.

Wracając do wypadku rządowej kolumny pod Oświęcimiem. W sumie to trochę nam żal premier Bełaty. Okazuje się bowiem, że zaraz po weekendzie, przed którym wydarzył się wypadek, miała zaplanowany urlop i to w trochę innych okolicznościach przyrody niż szpital przy Szaserów. Teraz będzie trzeba czekać do wakacji. No, chyba że wicepremier Gowin zgłosi zdanie odrębne.

Apropos wicepremierów. Mało kto wie, że kiedy urzędujący premier jest w szpitalu, nie za bardzo wiadomo, kto ma rządzić. Nie ma bowiem wyznaczonego pierwszego wicepremiera. Zwracamy na ten drobiazg uwagę, bo bardzo lubimy, kiedy przestrzegane są procedury, a trudno ich przestrzegać, kiedy ich nie ma.

Skoro już o procedurach. W Służbie Wywiadu Wojskowego dziwna sytuacja. Chwilowo kieruje nią płk Paweł Kacprzak. Rzecz w tym, że został odwołany. Musi jednak jeszcze odpękać trochę na służbie, bo właściwy szef służby, gen. Andrzej Kowalski, jest na urlopie.

Ferie, ferie i po feriach. Miały dość nieoczekiwany wpływ na media. Ponieważ wszyscy wyjechali, łapanka na polityków, którzy mogliby powiedzieć w telewizjach cokolwiek, przynosiła czasem zaskakujące rezultaty. Na przykład w TVP Info przebieg konferencji bezpieczeństwa w Monachium komentowała posłanka PiS Marzena Machałek, prywatnie nauczycielka języka polskiego. Wiemy dlaczego – wybrano ją z okręgu jeleniogórskiego, a patrząc od strony Warszawy, to kawałek Polski najbliżej Monachium.

Tymczasem za granicą. Izolacja PiS-owskiej Polski na arenie międzynarodowej postępuje. Właśnie została zaproszona na spotkanie grupy G20. Co na to Berlin? Ups, to właśnie Berlin zaprosił na to spotkanie nadpremiera Mateusza Morawieckiego. Nic z tego nie rozumiemy.

Co gorsza, całkiem możliwe, że Polska zostanie niestałym członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ. Wietrzymy tu chytry spisek – chodzi o to, by podstępem kaczystów ściągnąć do Nowego Jorku i tam od razu ich aresztować oraz osądzić za zbrodnie przeciw ludzkości.

Apropos Ameryki. Jak wiecie, aktu nieludzkiego okrucieństwa wobec posłanki Joanny Schmidt z Nowoczesnej Kropki dopuścił się marszałek Kuchta. Nie pozwolił jej polecieć za sejmowe pieniądze na organizowany w Waszyngtonie kongres Women's Democracy Network. Joasia poleci więc za prywatne. Niestety, wychodzi na to, że Kuchta miał rację. Kongres łączy kobiety, a nie instytucje (no, chyba że założone przez siebie oddziały).

Swoją drogą, bardzo nas ciekawi, dokąd podczas amerykańskiej wycieczki Joanny Schmidt poleci Rysiek Petru. Oczywiście przypadkowo. Na wszelki wypadek mamy dla Ryśka podpowiedzi: miasto Nowy Jork i stan Nowy Jork nie leżą w tym samym miejscu. Waszyngton leży w Dystrykcie Kolumbii, ale nie jest to ta Kolumbia z Bogotą.

Z mediów. Była rzecznik prezydenta Andrzeja Sebastiana, Kasia Adamiak-Sroczyńska, została szefową pasma „Pytanie na śniadanie" w TVP2. To otwiera drogę do spekulacji, kim zostanie obecny rzecznik Marek Magierowski, kiedy przestanie pracować dla Andrzeja Sebastiana. Logiczne byłoby, gdyby poprowadził „Pytanie na śniadanie".

Apropos Kancelarii Prezydenta. Krzysiek Szczerski twierdzi, że nie leci do Meksyku, by przygotować wizytę pary prezydenckiej. A gdyby leciał, to na pewno nie na dziewięć dni, bo to strasznie długo. – Aczkolwiek – zauważył przytomnie podczas rozmowy z naszą rubryką – do Meksyku to dwa dni traci się na sam przelot tam i z powrotem.

Źli ludzie z kancelarii twierdzą, że plotki o Krzyśku rozpowszechnia frakcja Adama Kwiatkowskiego, który wciąż uważa, iż Krzysiek dybie na jego fuchę szefa gabinetu prezydenta. Co ciekawe, plotki o Adamie przychodzą z innego źródła niż frakcja Krzyśka. Nam to obojętne. Bierzemy plotki od wszystkich frakcji.

eprasa.pl 8322bd21d5

Przy okazji – dementujemy informację, jakoby Gośka Sadurska, szefowa Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana, wybierała się na placówkę do Chorwacji. Dementi pochodzi z kręgów bardzo zbliżonych do Gośki.

Skoro już mowa o sprawach zagranicznych. Wiecie, że ze Srebrnym Lisem polskiej dyplomacji nie zawsze nam po drodze. Tym razem jednak hamulcowym desikoryzacji resortu okazuje się podobno jego zastępca, Konrad Szymański. Niby zastępca Waszcza, ale byt samodzielny, szefujący resztówce po Urzędzie Komitetu Integracji Europejskiej. Otóż wyobraźcie sobie, że wedle złych języków Kondzio stoi okoniem przeciw ustawie, która ma usunąć stare złogi z Szucha.

Podobno Kondzia najbardziej przeraża wprowadzany przez ową ustawę wymóg znajomości dwóch języków u stosownych pracowników dyplomacji polskiej. Tak się dziwnie składa, że wielu z podległych Szymańskiemu euroentuzjastów włada tylko jednym.

Oczywiście wszystko, co piszemy i mówimy o Kondziu, to czysta złośliwość. To dlatego, że nie chce mu się rano wstawać i przychodzić do radia. Przyszedłby, pogadał jak człowiek, kawy się napił. A tu się okazuje, że na godz. 7.15 nawet Waszczu przyjeżdża, a Szymańskiemu się nie chce.

Wracając do mediów. Sędzia Maria Gersdorf z Sądu Najwyższego udzieliła stanowczego wywiadu Onetowi. Poniekąd można powiedzieć, że to jej medium domowe, bo wciąż częściowo należące do ITI. Mało kto zaś pamięta, że swojego czasu Gersdorf była prawniczką koncernu z Wiertniczej. Pani sędzia znacząco podniosła poprzeczkę biedy w Polsce zawieszoną swego czasu przez Bieńkowską na poziomie 6 tys. Według Gersdorf wskaźnik ubóstwa dla kasty to 10 tys. zł.

Przy okazji okazało się, że Gersdorf to koleżanka z podwórka Kaczyńskich na Żoliborzu. Zastanawiamy się, kogo jeszcze nie znali Kaczyńscy z podwórka.

Zgadzamy się z raportem, według którego w Polsce sędziowie są prześladowani. Też uważamy, że czepianie się przez policję kogoś, kto akurat wynosi ze sklepu trochę pendrive'ów, to putinizacja kraju. Sędziowie powinni mieć dostęp do pendrive'ów. kiedy chcą, a nie tak jak na Białorusi. A dochody na poziomie zaledwie 10 tys. zł to już sprawa dla Amnesty International.

Tymczasem w konstruktywnej opozycji. Klub kukistów opuściły dwie posłanki: Magdalena Błeńska i Anna Siarkowska. Panie znane są z licznych wspólnych wystąpień – przeciw szariatowi, przeciw podsłuchom i przeciw uchodźcom. Nic więc dziwnego, że kiedy natężenie tych zjawisk stało się w klubie Kukiz'15 nie do wytrzymania, to z niego wystąpiły.

Na koniec astronomia. Poza Układem Słonecznym odkryto liczne planety, na których może istnieć życie. Gazety martwią się, czy damy radę tam dolecieć. Poddajemy pod rozwagę kwestię ważniejszą: A co, jeśli to życie będzie chciało głosować na PiS? ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 8322bd21d5

Z Pawłem Kukizem, posłem, liderem ruchu Kukiz'15
rozmawia Maciej Pieczyński

Polską rządzą dwa PZPR-y

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Strasznie przeraża mnie ich buta. Czasem nie mogę oddychać, tak się czuję przytłoczona tym, co się dzieje" – mówi bohaterka artykułu w jednym z lewicowych tygodników. Tekst opisuje psychiczne stany ludzi, którzy organicznie nie cierpią PiS. Panu, jako człowiekowi nerwowemu, też udzieliła się ta histeria?

PAWEŁ KUKIZ: Proszę pana, ja od lat emocjonalnie reaguję na cały ustrój polityczny Polski, który sprowadza obywatela do poziomu chłopa pańszczyźnianego. Panem na włościach jest raz PiS, raz PO, ale sytuacja w folwarku szczególnie się nie zmienia. Jeśli jednak cokolwiek hejtuję, to hejtuję system.

Gdy udostępnił pan na Facebooku mem, na którym karambol został podpisany jako „Zjazd polityków PiS", celem ataku też był system?

Mem pod wpisem na Facebooku na temat wypadku pani premier był rzeczywiście niefortunny. Jednak ja nie hejtowałem pani premier, tylko stan bezpieczeństwa państwa, czyli jeden z elementów systemu – a to jest zasadnicza różnica. Wypadek pani premier komentowałem dopiero wówczas, gdy wiedziałem, że nic szczególnego jej się nie stało. Minister Wójcik niedawno stwierdził, że jest „porażony skalą hejtu". Zgadzam się, że ta skala osiągnęła ostatnio poziom alarmujący. Jednak może walkę z hejtem PiS-owcy powinni zacząć od siebie? Miłośnicy Prawa i Sprawiedliwości od dłuższego czasu nazywają mnie szmatą oraz piszą, że chcą mi „napluć w ryj". Rozpowszechniają kłamliwe informacje o mojej rzekomo agenturalnej postawie, wykonywaniu poleceń WSI. To przede wszystkim PiS-owcy głoszą brednie o tym, jakobym miał spotykać się potajemnie z Tuskiem. Bez pomocy policji ustaliłem już, skąd te kłamstwa pochodzą. I wiem, że ze środowisk zbliżonych do PiS.

Czyli pana też, podobnie jak lewicową prasę, „przerażają" rządy PiS?

Bez przesady. Pamiętam znacznie gorsze. Forma PiS-owskiej propagandy jednak poraża. Czy widział pan, jakie rzeczy ostatnio mówi się w mediach pana Sakiewicza?! Najpierw sugestia, że wypadek pani premier to był zamach, a potem stwierdzenie, że „powinniśmy uklęknąć i podziękować pani premier za to, że na południu Polski nie zjada się psów". Zapomnieli dodać, że oprócz tego na wschodzie kraju rolnicy nie muszą już obgryzać kory z drzew. To, co w tej chwili uprawia propaganda PiS-owska, to jest

samozaorywanie się prawicy światopoglądowej (bo gospodarczo PiS jest partią socjalistyczną). Obie strony sporu nakręciły ten hejt. I nie wymusi pan na mnie ataków na „straszną lewicową prasę", bo ja mam wystarczająco dużo podobnych przykładów „strasznej prawicowej prasy". Republika czy Niezależna.pl to jest to samo co „Newsweek" albo „Wyborcza", tylko w drugą stronę.

Tyle w panu niechęci do PiS, że aż dziw, że jeszcze nie podjął pan współpracy z Komitetem Obrony Demokracji.

Czy pan chce, byśmy tę rozmowę skończyli już w tej chwili?! W ogóle sama sugestia, że powinienem mieć do czynienia z Kijowskim, jest dla mnie obraźliwa.

Nie chcę pana obrazić, tylko sprowokować...

No i udało się panu (śmiech).

Sprowokować nie do kontrataku, tylko do szczerości.

Cały czas jestem szczery i jest to jedna z nowych wartości, jaką wniosłem do polskiej polityki. Wracając do KOD: do mojego ruchu mogą przystąpić działacze Komitetu Obrony Demokracji, którzy znaleźli się tam, nie mając tak naprawdę pojęcia, w czym uczestniczą, a którzy chcą walczyć o upodmiotowienie obywatela. To samo dotyczy czytelników Niezależnej i widzów TV Republika. Dramat polega na tym, że mało kto w Polsce potrafi przyjąć racjonalną krytykę, tu cała polityka oparta jest na jednym wzajemnym hejcie. Hejcie, który szkodzi interesom obywatelskim, a nakręcany jest przez konkurujące podmioty polityczne wykorzystujące starą maksymę: „Dziel i rządź".

Wrzucił pan PiS, PO, PSL i Nowoczesną do jednego worka z napisem: „Zjednoczony Front Partiokracji". Czy którąś z tych partii wyróżniłby pan pozytywnie?

Żadnej. Platforma osiągnęła mistrzostwo w zawłaszczaniu państwa i w działaniach, które mogą nosić znamiona przestępstwa. To trwało wiele lat, więc na rzetelne rozliczenia musimy poczekać. Natomiast już za obecnej ekipy mamy niepokojące sygnały ze spółek Skarbu Państwa, w których podobnie jak za Platformy kluczem doboru kadr nie jest profesjonalizm, ale przynależność partyjna, sympatie polityczne i związki rodzinne. Na przykład w zarządzie Jastrzębskiej Spółki Węglowej znaleźli się sami tzw. uczciwi ludzie, a kryterium tej „uczciwości" jest... bliski związek z partią rządzącą! „Uczciwi" w JSW, ale raczej niezwiązani z branżą, bo 90 proc. z nich to nauczyciele. Ja cały czas liczę na to, że jest pewna grupa w PiS, z panem prezesem na czele, która dąży do naprawy państwa i nie tyle rewanżystycznego ukarania, ile rozliczenia prominentnych urzędników państwowych ze wszystkich zaniedbań i nadużyć. Jednak to chyba wyłącznie moje myślenie życzeniowe, dlatego że z jednej strony poprzez masowe zwolnienia w BOR czy instytucjach odpowiedzialnych za bezpieczeństwo doprowadza się do takich zdarzeń jak wypadek z udziałem pani premier, a w tym samym czasie aferzysta Nowak uciekł od odpowiedzialności na Ukrainę, gdzie obraca naszymi pieniędzmi. PiS sprząta, problem w tym, że przy okazji wywala wielu fachowców, pozwalając uniknąć kary prawdziwym złodziejom. Na ból palca reaguje ucięciem ręki.

Czyli PiS i PO to jedno zło?

Ten system wytworzył taką mentalność: czarne albo białe. Zero-jedynkowość. To jest dalszy ciąg komuny, tyle że zamiast jednego PZPR-u mamy dwa, które naparzają się między sobą.

Dzisiaj jeden pierwszy sekretarz ma dobre intencje, a drugi to lawirant i do tego kosmopolita. I pan doskonale w tej chwili pozycjonuje, który jest który. Co nie zmienia faktu, że obydwie partie są „PZPR-ami", gdzie ogrom partyjnych działaczy chce coś uszczknąć dla siebie, dla rodziny itd., a Polska jest dla nich nie podmiotem działania, a przedmiotem służącym osiąganiu partykularnych korzyści.

Nazywa pan Kaczyńskiego naczelnikiem...

A nie jest naczelnikiem? Ustrój RP daje partii rządzącej władzę absolutną. W przypadku, gdy jedna partia otrzymuje większość parlamentarną, może robić, co jej się żywnie podoba. Tak jak w czasach PZPR zawłaszcza ona wszystkie obszary – ustawodawczy, wykonawczy i sądowniczy. Dzięki ordynacji proporcjonalnej to wódz partii i oligarchowie decydują, kto znajdzie się w Sejmie. Nie obywatel, bo obywatel nie może wskazać swojego kandydata do Sejmu. Partia ma więc charakter hierarchiczny, „żołnierski", z niepodważalną hegemonią szefa – generalissimusa. Prezes Kaczyński uważa, że do posprzątania konieczny jest silny aparat partyjny. A ja myślę, że silny aparat partyjny, nawet jeśli ma genialnego przywódcę, w pewnym momencie pożre tego przywódcę. Ten system powoduje, że nawet jeśli jakaś partia wydaje się być na początku jedyną opcją, chętną i zdolną działać dla dobra obywatela, to prędzej czy później zaczyna działać jak ta zdemoralizowana partia, którą wcześniej od władzy odsunęła.

Nie da się tego uniknąć?

Uważam, że wszelkie nowe projekty ustaw, takie jak ustawa o zaostrzeniu kar za nadużycia VAT-owskie, to są sprawy drugoplanowe. Pierwszoplanową sprawą powinny być przepisy dotyczące odpowiedzialności urzędnika państwowego. Jestem zdecydowanym zwolennikiem surowego karania złodziei, ale ja bym ich szukał nie, tak jak PiS, w pierwszej kolejności wśród obywateli czy przedsiębiorców, ale wśród polityków i wysokich urzędników. Przed wojną pracownik aparatu państwowego był za przestępstwa karany dwukrotnie dotkliwiej niż przeciętny obywatel, i tak powinno być także dziś. Natomiast w ustawie o VAT autorstwa PiS pozycja urzędnika skarbowego jest równa pozycji biegłego sądowego. Bez przepisów o odpowiedzialności urzędniczej za błędy może dochodzić do skazywania Bogu ducha winnego człowieka. Dzisiaj urzędnik traktuje interesantów jak śmieci, bo wie, że nic mu za nierzetelność nie grozi! I tak samo jest w innych kwestiach: PiS stawia na państwo, zamiast stawiać na obywatela.

W czym tkwi, niezachwiana na razie, siła PiS?

Siła PiS wynika ze skali złodziejstwa dokonanego przez poprzednią ekipę, z wiary części obywateli, że PiS rozliczy Platformę, oraz z faktu zwrócenia się w kierunku elektoratu ludzi niezamożnych, którzy wcześniej byli absolutnie pomijani, gnojeni, instrumentalnie wykorzystywani przez sojusz PO-PSL. No i oczywiście z fatalnej konstytucji oraz partyjnej ordynacji wyborczej, która powoduje, że 20 proc. obywateli RP może dać jednej partii władzę absolutną nad pozostałymi 80 proc. Polaków.

A w czym tkwi słabość opozycji totalnej?

Proszę mnie o nich nie pytać. Nie mam zamiaru zastanawiać się nad opozycją totalną. Oni nie są warci jakiejkolwiek refleksji. Poważne traktowanie opozycji totalnej jest marnowaniem cennego

eprasa.pl 8322bd21d5

czasu, który ja wolałbym spożytkować na tworzenie takich instytucji prawnych, które umożliwią jak najszybsze rozliczenie działań opozycji totalnej i wspierających ją grup finansjery, które zawłaszczyły państwo po 1989 r. A PiS zamiast werbalnych wypominanek „ośmiu lat" i przekrzykiwania się z PO w Sejmie czy mediach powinien zająć się tworzeniem prawa, które uniemożliwi urzędnikom z ich „rozdania" uwłaszczenia się na spółkach Skarbu Państwa czy urzędach. „Dobra zmiana" według mnie powinna polegać na zmianach strukturalnych, a nie tylko personalnych.

Od początku kadencji do listopada zeszłego roku klub Kukiz'15 złożył 34 projekty ustaw...

Osobiście uważam, że to trochę za dużo, bo ostatecznie naszym celem jest deregulacja, a nie narzucanie na obywatela coraz to nowszych przepisów, ale nie zamierzam blokować posłom Kukiz'15 ich inicjatyw.

Wciąż jednak wśród złożonych przez pański klub projektów ustaw nie ma tego, z którym Paweł Kukiz szedł do wyborów. Gdzie jest projekt wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych?

A po co mamy taki projekt składać teraz?! Jaki to ma sens?!

Żeby pokazać obywatelom, że nie zapomniał pan o jedynej merytorycznej obietnicy, złożonej w kampanii wyborczej.

Oczywiście, że nie zapomniałem, ale wprowadzenie JOW wymaga woli większości i niewykluczone też, że także zmiany konstytucji.

To gdzie jest projekt zmiany konstytucji?

Leży w szufladzie do czasu, aż pojawią się realna szansa i sprzyjające warunki na jego wprowadzenie w życie.

Nie rozumiem w takim razie, po co złożyliście te 34 projekty ustaw. Przecież ogromna większość z nich – jeśli nie wszystkie – podobnie jak JOW z góry była skazana na odrzucenie przez PiS.

I sam pan przyznaje, że pan wie, na czym ten system polega.

Rozumiem, że te 34 projekty były ważniejsze od JOW, skoro mimo świadomości braku wpływu na uchwalane prawo zostały złożone, a sztandarowa idea Kukiza wciąż leży w szufladzie?

To jednak pan nie rozumie. Być może kilka projektów zostanie kiedyś przez PiS zaakceptowanych. Jednak JOW-y z całą pewnością nie. A zmiana ordynacji to sprawa kluczowa i nie zamierzam sprowadzać jej do poziomu projektu ustawy o np. sprzedaży bezpośredniej – wrzucić do sejmowej zamrażarki i „niech sobie leży". Rozmawiałem z prezesem Kaczyńskim o jednomandatowych okręgach wyborczych kilkakrotnie i po ostatnim spotkaniu mam stuprocentową pewność, że JOW-ów nie będzie. Nie ma szans i kropka. Mało tego – PiS ma plany stopniowej ich likwidacji na szczeblu samorządowym.

Można było jednak złożyć projekt, pokazać wyborcom, że JOW to realna koncepcja, a nie czcza obietnica. Tłumaczyć społeczeństwu, organizować spotkania...

Tłumaczę i robię spotkania. W Sejmie działa zespół do spraw JOW, ale oprócz posłów Kukiz'15 praktycznie żadna partia nie wykazuje nim zainteresowania. Mamy gotowy także projekt ustawy wprowadzającej JOW na każdym szczeblu administracji i nawet mapę Polski ze szczegółowym podziałem na 460 okręgów, którą przygotowała Fundacja Madisona.

PiS już zapowiedział, że JOW-ów w samorządach nie będzie...

Dlatego całą swoją energię skieruję na obronę JOW-ów w miastach niebędących na prawach powiatu. Zrobię też wszystko, by nie doprowadzono do podniesienia progu frekwencyjnego.

Mówi się, że nawet jeśli PiS wygra kolejne wybory parlamentarne, to będzie musiał podzielić się władzą. Wiadomo, że jeśli do kogoś wyciągnie rękę, to nie do Nowoczesnej czy Platformy, ale do Kukiza. Pod jakim warunkiem zgodziłby się pan na współrządzenie z partią Kaczyńskiego?

Po pierwsze, nie można zakładać, że z pewnością ponownie wejdziemy do Sejmu. Wystarczy bowiem, żeby PiS podniósł próg frekwencyjny czy wprowadził ordynację mieszaną, aby prawdopodobieństwo kolejnej dla nas kadencji było znikome. Jednak jeśli doszłoby do sytuacji konieczności współrządzenia z PiS, to warunkiem byłyby w pierwszej kolejności zmiany ustrojowe. Nie ministerstwa i synekury, a zmiana prawa. PiS musiałby wprowadzić obligatoryjne dla władz referenda krajowe, obniżyć próg frekwencyjny maksymalnie do 30 proc. Próbowałbym też po raz kolejny zmienić ordynację na większościową. I oczywiście zmiana ustawy zasadniczej. Jednak nie na takich warunkach, że PiS z Kukizem piszą konstytucję według własnego uznania. Nową konstytucję napisałyby środowiska obywatelskie od lewa do prawa, a uchwaliłby ją nie Sejm, a naród w drodze referendum! Poza tym: ograniczenie zatrudnienia w administracji i głębokie uproszczenie, deregulacja prawa gospodarczego. Dopiero po takich zmianach bądź ich deklaracji rozmawiałbym o ministerstwach. Wchodząc do koalicji, chciałbym zmienić ustrojowo Polskę, a nie załatwić posadę dla cioci Helenki!

Łatwo mówić: „Nie chcemy synekur", jak się jest daleko od władzy. A gdy się już ją zdobywa, jakoś trzeba odpłacić „swoim" za poparcie. Poza tym coś tam jednak od PiS panu skapnęło, skoro mówi się, że Maciej Stanecki, wiceszef TVP, jest „człowiekiem Kukiza"...

Proszę pana, jeśli to jest „mój człowiek" w TVP, to w takim razie niezbyt dobrze się sprawdza w swojej roli, bo Nowoczesna, która jest dopiero czwartą siłą w parlamencie, ma trzykrotnie więcej czasu antenowego w programach informacyjnych niż posłowie Kukiz'15.

Janusz Korwin-Mikke stwierdził, że w wyborach samorządowych kukizowcy będą skazani na koalicję z jego ludźmi.

Są takie miejsca, gdzie zawiązują się koalicje wolnościowców, narodowców, różnych sił antysystemowych. Takim przykładem jest Gdańsk z naszą posłanką Magdą Błeńską. Współpracę z korwinistami traktuję jako swego rodzaju doświadczenie, próbę. Wychodzę w ten sposób naprzeciw oczekiwaniom sporej grupy młodych ludzi, nastawionych antysystemowo, którym blisko zarówno do Kukiza, jak i do Korwin-Mikkego. Chcę sprawdzić, jak ta współpraca zafunkcjonuje w kontekście wyborów samorządowych i czy jest zatem sens kontynuować ją później w wyborach parlamentarnych. Jednak nazywanie tego koalicją jest poważnym nadużyciem.

Miał pan przed wyborami nadzieję, że PiS będzie „lodołamaczem systemu"... Śmieje się pan?

Odpowiem w ten sposób: jadę na resztkach nadziei i wiary w to, że PiS pomoże nam obalić system.

Co jeszcze daje panu tę nadzieję?

Najważniejsze, by dogadali się ze sobą uczciwi ludzie, patrioci, których można znaleźć i w PiS, i w Kukiz'15. Na upartego znajdzie się ich nawet w PSL czy w Nowoczesnej, wśród młodych ludzi, którzy

eprasa.pl 8322bd21d5

nie zdają sobie sprawy z tego, w czym uczestniczą, przyszli do Sejmu, by zmieniać Polskę, nie mając pojęcia o związkach Petru z Balcerowiczem czy Sorosem.
A wracając do PiS: najważniejsze są moje osobiste relacje z Kaczyńskim. Bo ja wierzę, że jest to człowiek, który dobrze życzy Polsce. Gdybym się w tej kwestii zawiódł, to byłoby to dla mnie jednym z większych rozczarowań. Natomiast obawiam się, że PiS-owcy będą robić wszystko, by psuć moje relacje z prezesem. Będą mnie zwalczać z podyktowanego partiokratycznym myśleniem strachu, że chcę wkupić się w łaski Kaczyńskiego, żeby zabrać im ich synekury.

Dzieląc się władzą, trudno nie rozdawać synekur...

Ministerstwa czy spółki Skarbu Państwa nie powinny być rozdawane czy być przedmiotem handlu pomiędzy opcjami politycznymi. Stanowiska powinny być obsadzane kluczem fachowości i przyzwoitości. Powinny powstać komisje kompetencyjne składające się z przedstawicieli organizacji pozarządowych, ugrupowań parlamentarnych, związków zawodowych, które dokładnie prześwietlą kandydata do sprawowania funkcji w spółkach państwowych. Mam nadzieję, że uda mi się przekonać prezesa Kaczyńskiego do tej idei.

Nie uda się przekonać całego PiS?

Nie, nie PiS. Nie ma zresztą sensu tracić czasu na rozmowy z całym PiS, bo to środowisko jest wewnętrznie bardzo podzielone na różne grupy interesu. Siłą rzeczy trzeba rozmawiać z Kaczyńskim, bo tylko on trzyma ich wszystkich w ryzach. Wierzę też, że przekonam prezesa Kaczyńskiego, iż warunkiem sine qua non rozwoju i bezpieczeństwa państwa są takie zmiany w legislacji, które zapobiegną możliwości popełnienia przez nową władzę błędów starej władzy, które oduczą polityków złodziejki i nadużywania władzy. Jeśli przez kolejny rok nic się w tej kwestii nie zmieni, to trudno – wówczas będę musiał stać się opozycją jeszcze bardziej totalną niż ta obecna. To proste. Ja przyszedłem nie po synekury, ale po to, żeby zadbać o państwo prawe i sprawiedliwe dla wszystkich, a nie tylko dla jednej partii.

Co jakiś czas mówi się, że Kukiz'15 się rozpadnie. Kilka osób odeszło, parę jeszcze może odejść. Jak pan chce je zatrzymać?

Te non stop powtarzające się pogłoski o rzekomym rozpadzie są już nudne. Dziwię się, że także pan drąży ten temat. Jednak dobrze: nie mam zamiaru nikogo na siłę zatrzymywać. Nie zależy mi na sile klubu w sensie jego liczebności – bo to siła pozorna – ale na jego jakości. Kiedy Jarosław Kaczyński po raz pierwszy wszedł z Porozumieniem Centrum do parlamentu, miał czterdziestu kilku posłów. Do końca kadencji zostało mu 20. Jakie znaczenie ma liczba posłów?! Od samego początku mówiłem: najistotniejsze jest to, by ludzi dyscyplinowała idea, nie zamordyzm. Utrzymanie 35 posłów przez półtora roku bez struktur, bez rządów silnej ręki to rewelacyjny wynik.

PiS to środowisko wewnętrznie bardzo podzielone na różne grupy interesu. Siłą rzeczy trzeba rozmawiać z Kaczyńskim, bo tylko on trzyma ich wszystkich w ryzach

Jaka idea wciąż was łączy?

Cały czas chodzi nam o to samo: zmiana ordynacji wyborczej, system prezydencki i sprawiedliwa dla obywateli gospodarka wolnorynkowa z pomocą dla tych, którzy sami nie potrafią sobie w życiu poradzić. Mamy ludzi od wolnościowców do związkowców, którzy pracują nad kompromisowymi rozwiązaniami. W skład zespołu eksperckiego wchodzą tak różni ludzie jak Dominik Kolorz ze śląsko-dąbrowskiej Solidarności, Marek Mnich – szef Solidarności '80 czy Robert Gwiazdowski i Roman Kluska. Pracodawcy rozmawiają z pracobiorcami. Myślałem, że nic z tych spotkań nie wyjdzie, ale okazuje się, iż oni w ogromnej części kwestii zgadzają się ze sobą, nawet w kwestiach podatkowych.

Kuźnią elit „Polski obywatelskiej" będzie Endecja?

Endecja to tylko jeden z nurtów w naszym ruchu obok wolnościowców, związkowców, rolników i wojowników. A czy to ona będzie kuźnią elit? To już zależy od Endecji. Szanuję młodzież endecką, nie szanuję natomiast bandziorków, którzy na bejsbolach noszą symbol Polski Walczącej i biją każdego, kto ma inną karnację albo przekonania. Wierzę, że endecy pomogą w odzyskaniu państwa obywatelskiego dla Polaków, zgodnie ze słowami Romana Dmowskiego: „Jesteśmy różni, pochodzimy z różnych stron Polski, mamy różne zainteresowania, ale łączy nas jeden cel: cel ten to ojczyzna, dla której chcemy żyć i pracować".

Napisał pan na Facebooku, że „jeśli domagamy się od Ukraińców weryfikacji podejścia do UPA", to powinniśmy także przyjrzeć się żołnierzom wyklętym, bo pośród masy bohaterów mieliśmy też „bandytów". Nie żałuje pan tej wypowiedzi?

Nie żałuję. Ubolewam natomiast nad faktem, że większość mediów nie przytacza całego mojego wpisu, a w szczególności zdania: „Oczywiście nie porównuję tych dwóch formacji, bo potężna różnica polega na tym, że ta pierwsza (UPA) była z gruntu bandycka, choć zdarzały się postaci prawe, a u nas odwrotnie – pośród masy prawych żołnierzy mieliśmy jednostki w postaci bandytów". Nic nie usprawiedliwia mordów na ludności cywilnej, których niestety dopuszczali się niektórzy wyklęci. Pojawił się zarzut, że zrównuję ich z UPA, ale część podziemia antykomunistycznego sama na takie porównanie zasłużyła, współpracując z ukraińskimi nacjonalistami choćby w walkach z milicją o Hrubieszów. Niestety, podchodzimy do naszej historii zbyt zero-jedynkowo. Zamiast szukać prawdy, interpretujemy przeszłość w wygodnym kluczu ideologicznym.

Za Jedwabne Polska przepraszała wielokrotnie, mimo że polskie podziemie nie miało z tą zbrodnią nic wspólnego, a i tak dziś ten incydent wyolbrzymia się oraz traktuje jako symbol rzekomego polskiego antysemityzmu. Nie boi się pan, że podobnie będzie z wyklętymi, jeśli będziemy akcentować ciemne karty ich historii?

Jeśli ktoś manipuluje historią i podaje mord w Jedwabnem jako dowód na polski antysemityzm, to trzeba to kontrować przykładami Polaków ratujących Żydów, a tych przecież, jak wiemy, było o wiele więcej. Podobnie jest w przypadku podziemia antykomunistycznego: czcijmy bohaterów, ale nie usprawiedliwiajmy zbrodniarzy. Z dumą nosiłem, noszę i nosić będę koszulkę z wizerunkiem żołnierzy wyklętych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

Z Bartoszem Kownackim, wiceministrem obrony narodowej
rozmawia Łukasz Warzecha

Nowy kształt sił zbrojnych

ŁUKASZ WARZECHA: Dlaczego przeprowadzacie reformę struktury dowodzenia, choć poprzednia została wdrożona zaledwie w styczniu 2014 r.?

BARTOSZ KOWNACKI: Tamta struktura wprowadziła ogromny chaos i rozmyła odpowiedzialność.

Jak to? Był przecież dowódca rodzajów sił zbrojnych na czas pokoju, dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych na czas działań wojennych i szef Sztabu Generalnego, któremu pozostawiono najmniejsze kompetencje. Co było niejasne?

Przyjęło się na Zachodzie, że pierwszym żołnierzem jest szef Sztabu Generalnego, ale właśnie jego pozbawiono większości uprawnień. Granice odpowiedzialności pozostałych dowódców i inspektorów nie zostały jasno wyznaczone. Na przykład dowódca operacyjny RSZ miał kompetencje w przypadku prowadzenia operacji poza granicami kraju, ale przecież polska armia nie ma charakteru ekspedycyjnego. Zdarzały się kwestie, za które odpowiedzialność była przepychana od jednego do drugiego dowódcy i nikt nie chciał jej przyjąć. Momentami nie było wiadomo, kto komu podlega. Problemy pojawiały się przy okazji zakupów uzbrojenia, a także przy rozmowach z zagranicznymi partnerami, bo nie było wiadomo, kto ma być rozmówcą z naszej strony. Armia nie może działać w taki sposób. Nie chcę przesądzać, jak dokładnie będzie wyglądać nowa struktura dowodzenia, bo jej ostateczny kształt zostanie opracowany dopiero po zakończeniu Strategicznego Przeglądu Obronnego, ale jedno jest pewne: odpowiedzialność w jej ramach nie będzie budziła wątpliwości.

Kiedy nowa struktura będzie gotowa?

Strategiczny Przegląd Obronny, nad którym pracuje wiceminister Tomasz Szatkowski, to ogromne przedsięwzięcie, ale powinno zostać zakończone w ciągu najbliższych tygodni. Ono będzie m.in. podstawą projektu nowej struktury dowodzenia.

Czy ciągłe zmiany nie rozregulują mechanizmu, jakim jest armia?

Mimo że przed strukturą dowodzenia wprowadzoną w 2014 r. przestrzegaliśmy od początku, podeszliśmy do sprawy z otwartą głową. Daliśmy sobie czas na przetestowanie istniejącego mechanizmu i nie wprowadziliśmy zmian od razu. Nasz test wypadł jednoznacznie: dotychczasowej struktury dowodzenia utrzymać się nie da i nie można.

Od czasu objęcia władzy przez PiS z wojska odeszło wielu wysokich rangą dowódców, w tym szef Sztabu Generalnego, dowódca sił zbrojnych i dowódca operacyjny RSZ. W sumie stanowiska opuściło ok. 20 generałów. Czy nowe szefostwo MON nie ufa żołnierzom z poprzedniego układu, czy to oni nie chcą z wami pracować?

Na każdy przypadek trzeba patrzeć indywidualnie, bo motywy odejść są różne. Niektórzy osiągają wiek emerytalny, inni od dawna chcieli odejść – mieli inne plany życiowe. W dodatku przełom roku jest dogodnym momentem na odejście z wojska ze względu na wyliczenie odprawy i względy finansowe, wielu wysokiej rangi oficerów właśnie tym się kieruje, ale patrząc z zewnątrz, można mieć wrażenie fali odejść z armii. Na miejsce odchodzących oficerów przychodzą ludzie kompetentni, oficerowie po służbie w Iraku, Afganistanie, po szkoleniach w USA, Holandii, Wielkiej Brytanii, a nie w Rosji. Żadna dezorganizacja armii nie następuje.

Mam rozumieć, że minister nie ma w tym w ogóle udziału?

Ależ ma! Mamy przecież cywilną kontrolę nad armią i szef MON ma prawo tak kształtować siły zbrojne, również pod względem personalnym, jak uznaje za słuszne. Odnoszę wrażenie, że poprzednikom ministra Macierewicza często było wszystko jedno, kto obejmie tę czy inną funkcję, byle nie sprawiał problemów. My mamy prawo uznać, że sposób patrzenia niektórych oficerów na wojsko – zwłaszcza tych szkolonych jeszcze w Moskwie – nie przystaje do obecnych czasów. Jest wielu oficerów w wieku ok. 40 lat, wychowanych i ukształtowanych w normalnej rzeczywistości, którzy służbę w wojsku zaczynali po 1989 r., a szkolili się na Zachodzie. W ich przypadku nie ma

eprasa.pl 8322bd21d5

zagrożeń kontrwywiadowczych, ale też mentalnościowych – i na nich chcemy postawić.

Czy to znaczy, że ci starsi, z dłuższym stażem, są z automatu do odstrzału?

Absolutnie nie, nie stosujemy automatyzmu. Każdy jest oceniany indywidualnie. Są generałowie w wieku 50 czy 60 lat, których ogromnie szanuję i którzy są lub będą wykorzystywani. Natomiast co do zasady: pomiędzy pokoleniami oficerów widać różnicę w sposobie myślenia.

Niedawno została uchwalona ustawa o Wojskach Obrony Terytorialnej. Minister Macierewicz mówi, że docelowo WOT mają się składać z 50 tys. ludzi. Na jakim etapie jest tworzenie tej formacji?

Pierwsze zadanie to stworzenie struktur dowódczych oraz rozpoczęcie budowy brygad, począwszy od wschodu kraju, który jest najbardziej zagrożony. W kolejnych etapach proces szkolenia i formowania brygad będzie się stopniowo przesuwać na zachód. 50 tys. żołnierzy, o których pan wspomina, będzie, gdy zakończymy formowanie wszystkich brygad, czyli w perspektywie paru lat. Oczywiście jesteśmy elastyczni i plan może być modyfikowany.

Nie ma zagrożenia, że do WOT trafią ludzie z problemami psychicznymi albo członkowie grup ekstremistycznych?

Wszyscy kandydaci będą przechodzić badania psychologiczne, przeprowadzane przez wojskowych lekarzy. Jeśli opozycja twierdzi, że te badania są nieskuteczne, to sama stawia sobie zarzut, bo działanie mechanizmu selekcji byłoby pokłosiem ośmiu lat

FOT. WOJCIECH STROZYK/REPORTER

rządów Platformy w MON. Jeśli chodzi o ekstremalne poglądy, to istnieją mechanizmy kontroli, m.in. Służba Kontrwywiadu Wojskowego. Musimy jednak pamiętać, że nie wolno nikomu odmawiać prawa do wstępowania do WOT ze względu na poglądy polityczne. Formacja jest otwarta dla wszystkich – dla zwolenników PiS, PO, Nowoczesnej czy innych ugrupowań. Jedyne ograniczenia są związane z formalną przynależnością do partii.

To niejedyne wątpliwości wokół WOT. Jest też kwestia finansowania. Na obronę terytorialną do 2019 r. mają zostać przeznaczone niespełna 4 mld zł, z tego ok. 2 mld na nowy sprzęt. Ta suma jest zestawiana z kwotami planowanymi na modernizację regularnych sił zbrojnych. W 2017 r. ma to być 9,5 mld zł. Nie obawia się pan, że regularna armia poczuje się zlekceważona, a żołnierze uznają, że WOT, pupilek ministra Macierewicza, wzbogaca się ich kosztem?

Gdyby WOT dostały sprzęt z odzysku, nasi przeciwnicy mówiliby, że stworzyliśmy oddziały mięsa armatniego, którego nawet porządnie wyposażyć nie umiemy. Pieniądze wydawane na WOT to zaledwie 10 proc. jednorocznego budżetu ministerstwa, wynoszącego niemal 40 mld zł rocznie. Ponadto zakup sprzętu to jednorazowy wydatek. Potem będą już tylko znacznie mniejsze koszty jego serwisowania i utrzymania, a 95 proc. to będą polskie produkty, a więc duża część tych wydatków wróci do budżetu państwa. To również swego rodzaju test dla polskiego przemysłu zbrojeniowego – jednorazowe duże zamówienie w czasach pokoju pozwoli nam sprawdzić jego potencjał i zdolności do szybkiej mobilizacji produkcyjnej.

Można by jednak zapytać, co dla regularnej armii dałoby się kupić za te 4 mld...

Za te pieniądze można kupić kilka śmigłowców. Proszę porównać potencjał tych paru maszyn do potencjału Wojsk Obrony Terytorialnej. Biorąc jako kryterium koszt do efektu, porównanie wypada w ogromnym stopniu na korzyść WOT. Co oczywiście nie oznacza, że śmigłowce nie są nam potrzebne. Żołnierze WOT będą wyposażeni w nowy, ale stosunkowo niedrogi sprzęt, a będzie ich kilkadziesiąt tysięcy w całym kraju, znających teren, zaangażowanych. To są naprawdę dobrze wydane pieniądze.

Bartosz Kownacki: – Szef MON ma prawo tak kształtować siły zbrojne, również pod względem personalnym, jak uznaje za słuszne FOT. ANDRZEJ HULIMKA

Minister Macierewicz twierdzi, że wokół oddziałów WOT miałaby się organizować partyzantka w razie zajęcia terytorium przez wroga. Taka partyzantka ma jakieś szanse z regularnym, dobrze uzbrojonym wojskiem?

To kilkadziesiąt tysięcy zdeterminowanych i przyzwoicie uzbrojonych żołnierzy, a w Polsce, szczególnie na wschodzie, mamy tereny doskonale nadające się do prowadzenia działań partyzanckich. Doświadczenia wielu konfliktów pokazują, że siły partyzanckie mogą zadać wrogowi poważne straty, choć oczywiście nie zastąpią regularnej armii. Ich zadaniem nie jest jednak wygranie wojny. Mają one działać odstraszająco, bo zajęcie kraju, gdzie istnieją takie struktury, jest związane z większym ryzykiem i wysiłkiem. A gdyby już doszło do agresji, mają utrudnić działanie przeciwnika, co będzie tym łatwiejsze, że członkowie WOT będą operować w swoich małych ojczyznach.

eprasa.pl 8322bd21d5

Późną jesienią ubiegłego roku ujrzeliśmy w końcu Plan Modernizacji Technicznej polskiej armii. W jego ramach ma być realizowanych 15 programów. Które są najważniejsze?

Kluczowych jest pięć: Wojska Obrony Terytorialnej, wojska pancerne, marynarka wojenna, obrona przeciwlotnicza i cyberbezpieczeństwo. Podkreślam szczególne znaczenie programu obrony przeciwlotniczej, bo bez niego pozwalamy wrogowi na dominację w powietrzu, która może mieć tragiczne konsekwencje. Obronę przeciwlotniczą ma zapewnić system „Wisła", któremu fatalnie przysłużył się prezydent Komorowski swoimi wypowiedziami, dramatycznie osłabiając nasze możliwości negocjacyjne w tym przetargu.

W jaki sposób?

Pan prezydent wypowiadał się tak, że nasz partner ze Stanów Zjednoczonych mógł czuć się zwycięzcą przetargu przed jego rozstrzygnięciem. Na dodatek w budżecie MON nie było wówczas potrzebnych 30 mld zł. Nam te pieniądze udało się znaleźć. Ponadto mamy dziś dwie poważne oferty – system Patriot i system MEADS – które autentycznie ze sobą konkurują, i do takiej sytuacji powinniśmy dążyć w przypadku każdego przetargu: oferenci powinni ze sobą rywalizować do samego końca.

Jakie są losy najgłośniejszego przetargu na śmigłowiec wielozadaniowy?

Poszukiwanie wspólnej platformy dla wielu zadań było błędem, bo jak coś jest do wszystkiego, to jest do niczego. My odchodzimy od tej koncepcji.

Jednak argumentem poprzedniej ekipy było to, że oparcie śmigłowców do wielu zadań na wspólnej platformie zmniejszy koszty. I to się wydaje logiczne.

Otóż niekoniecznie. Analizy pokazują, że opłaca się mieć własne serwis i infrastrukturę szkoleniową już od poziomu 20 maszyn danego rodzaju. A my tyle i tak będziemy mieli. Poza tym poprzednicy wykonali pewien trik. Do wspólnej platformy włączono śmigłowce zwalczania okrętów podwodnych i ratownictwa morskiego – a to najdroższy rodzaj helikopterów – śmigłowce wojsk specjalnych, które cenowo sytuują się po środku, oraz relatywnie tanie śmigłowce transportowe. To oznaczało, że wszystkie maszyny miałyby uśrednioną cenę. A więc, owszem, helikoptery morskie kupilibyśmy taniej niż zwykle, ale za to transportowe byłyby wyraźnie droższe niż normalnie. Trzeba też pamiętać, że producent caracali nie oferował utworzenia w Polsce zakładu produkcyjnego – najwyżej montowni. To by zapewne oznaczało, że w perspektywie dwie istniejące w Polsce fabryki zostałyby zamknięte. Poza tym nasi poprzednicy wyeliminowali z tego przetargu niemal od razu element konkurencyjności. Gdyby nie to, jestem przekonany, że zaoferowane warunki byłyby dużo lepsze.

Jak MON wyważa wspieranie polskiego przemysłu obronnego i zakup uzbrojenia wysokiej jakości? Czasami nie da się tego pogodzić.

Jakość jest akurat najmniejszym z wyzwań. Większym problemem są cena i terminowość. Jestem zdania, że polskie wojsko nie musi mieć najlepszego sprzętu na świecie – wystarczy, żeby był po prostu dobry. Temu nasz przemysł jest na ogół w stanie sprostać. Gorzej jest z terminami. Niektóre programy miały wieloletnie opóźnienia, a na koniec i tak okazywało się, że coś nie działa. Tak było choćby z armatohaubicą Krab ze względu na wady podwozia.

> **Polskie wojsko nie musi mieć najlepszego sprzętu na świecie – wystarczy, żeby był po prostu dobry**

Opóźnienia zdarzają się producentom na całym świecie, nawet największym i najlepszym.

Zgoda, tylko że to w części skutek tego, iż polski państwowy przemysł obronny przeznacza niepokojąco niewiele pieniędzy na badania oraz rozwój. Przez lata wychodzono z założenia, że badania oraz rozwój właściwie nie są konieczne, bo i tak będą zamówienia z wojska i to wystarczy. A jak się skończą, to się zrobi strajk i wymusi kolejne zakupy. To trzeba koniecznie zmienić. Podobnie jak to, że cena polskich produktów bywa wyższa niż cena podobnych kupowanych za granicą.

Jak to możliwe?

Po pierwsze – krótkie serie. Jednak nawet dłuższe serie nie gwarantują w Polsce niższej ceny. Po drugie – fatalny sposób zarządzania państwowymi zakładami zbrojeniowymi, który nie zmienił się przez 25 lat. Liczenie na publiczne zamówienia, niechęć do ekspansji zagranicznej i zmierzenia się z konkurencją, wspomniane ograniczanie prac badawczo-rozwojowych. No i brak woli, żeby utworzyć działy produkcji cywilnej, które w zachodnich koncernach zbrojeniowych są bardzo ważne oraz generują dużą część wpływów. Czasami naprawdę nie trzeba by wiele, żeby zacząć produkcję cywilną. Tym bardziej że wyśrubowane normy, które obowiązują przemysł zbrojeniowy, powinny dawać mu przewagę w rywalizacji rynkowej.

Co z polskim prywatnym przemysłem zbrojeniowym? Jego przedstawiciele skarżą się, że są przez MON pomijani. A mamy przecież producentów klasy światowej, z których bodaj największym jest Grupa WB.

Z prywatnymi producentami jako podwykonawcami współpracuje na dużą skalę Polska Grupa Zbrojeniowa. Prywatne firmy wygrywają również nasze przetargi. Nie chcemy jednak sytuacji, w której prywatny przemysł rozwijałby się kosztem państwowego.

Czy nie na tym polega konkurencja, o której pan tyle mówił?

Nie chodzi o konkurencję, ale o sytuacje – a takie się już zdarzały – gdy prywatne firmy poprzez różne układy zasysały od firm państwowych technologie i zdolności produkcyjne, rozwijały się, a firmy państwowe upadały. Żeby było jasne: dobrze działające firmy prywatne mają świetne wyniki oraz znakomicie funkcjonujące działy badań i rozwoju. To jest ogromna szansa dla polskiej gospodarki. Trzymam za nie kciuki.

Rozmawiamy w siedzibie MON przy al. Niepodległości. Minister urzęduje przy ul. Klonowej, a ministerstwo ma jeszcze więcej siedzib, rozsianych po Warszawie. Kiedyś pojawił się plan, żeby zbudować „polski Pentagon" i żeby MON był w jednym miejscu. Jest pan za tym?

Tak, taka siedziba jest potrzebna. Obecna sytuacja generuje zbędne koszty, nie daje dobrych warunków pracownikom i zagraża bezpieczeństwu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych ustanowiono w 2011 r. Na zdjęciu obchody w Gdańsku w 2015 r.
FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/EAST NEWS

Nie pudrujmy żołnierzy wyklętych

Piotr Zychowicz

Wśród żołnierzy wyklętych byli ludzie, którzy dopuścili się zbrodni. To jednak margines, który nie może rzutować na ocenę całego podziemia

epresa.pl

Dawno żaden wpis na Facebooku nie rozgrzał tak opinii publicznej jak wypowiedź na temat żołnierzy wyklętych, którą na swoim profilu na portalu społecznościowym zamieścił Paweł Kukiz.

„Jeśli domagamy się od Ukraińców – napisał polityk – weryfikacji podejścia do UPA (a należy to zrobić jak najszybciej), to najpierw powinniśmy rzetelnie przyjrzeć się naszym Wyklętym. Oczywiście nie porównuję tych dwóch formacji, bo potężna różnica polega na tym, że ta pierwsza była z gruntu bandycka, choć zdarzały się postaci prawe, a u nas odwrotnie – pośród masy prawych Żołnierzy mieliśmy jednostki w postaci bandytów. Nie ulega wątpliwości, że ogromna większość Wyklętych była Bohaterami, ale nie wolno gloryfikować tych, którzy pod hasłem »Bóg, Honor, Ojczyzna« dokonywali zbrodni na ludności cywilnej. A takie postaci jak »Bury« czy »Ogień« są – mówiąc bardzo delikatnie – kontrowersyjne. Bóg jest Miłością, a ten, który »w imię Ojczyzny« zionie nienawiścią tak, że morduje bezbronnych cywilów (a szczególnie kobiety i dzieci), nie ma prawa odwoływać się do Honoru".

Wpis ten wywołał gigantyczną burzę. Nasi cudowni rodacy zajmujący się tropieniem odchyleń od patriotycznej ortodoksji natychmiast przystąpili do nagonki. Paweł Kukiz został oskarżony o „zdradę", „zaprzaństwo", „plucie na bohaterów" i „hipokryzję".

W tym ostatnim oskarżeniu chodzi o to, że polityk często pokazuje się w koszulce z napisem: „Żołnierze Wyklęci". A teraz ośmielił się wystąpić publicznie z taką antypatriotyczną myślozbrodnią! Toż to deprawowanie młodzieży – mogliśmy przeczytać – i sianie zamętu w głowach młodego pokolenia!

PATRIOTYCZNA GUMKA MYSZKA

Brzydzę się wszelkimi nagonkami, w których krzyki i emocje zastępują argumenty. Znacznie bardziej odpowiada mi merytoryczna dyskusja. We wpisie Pawła Kukiza widzę więc podstawę do interesującej debaty, a nie powód do tego, żeby rzucać się na drugiego człowieka z wyszczerzonymi zębami.

Osobiście nie użyłbym w kontekście polskich żołnierzy słowa „bandyci", jak zrobił to Kukiz. To słowo, którym wyklętych piętnowała przez lata komunistyczna propaganda i wyjątkowo fatalnie się ono kojarzy. Co do meritum – Paweł Kukiz ma jednak rację. Wśród wyklętych byli żołnierze, którzy nie prowadzili wojny w sposób rycerski. I nie ma powodu, żeby wymazywać te fakty z historii jakąś cenzorsko-patriotyczną gumką myszką.

Sam jestem wyznawcą kultu żołnierzy wyklętych – ideały ich antykomunistycznej krucjaty są mi niezwykle bliskie. Napisałem na ich temat wiele tekstów, przygotowałem kilka poświęconych im wydań miesięczników historycznych i dodatków specjalnych do gazet. Staram się propagować wiedzę na temat ich heroicznej walki i męczeństwa.

Myśl o tym, żeby „w imię racji stanu" i „obrony pięknej legendy" fałszować dzieje ojczyste, uważam jednak za całkowitą aberrację. Zjawisko tzw. cenzury patriotycznej jest bowiem jedną z największych patologii polskiego dyskursu na temat historii najnowszej.

Stosowanie tej totalniackiej praktyki szczególnie duże szkody wyrządza młodemu pokoleniu. Nie przez przypadek spora część wpisów internetowych krytykujących Pawła Kukiza za jego wypowiedź pochodziła od nastolatków i 20-latków. Tych młodych ludzi, którzy z dumą noszą koszulki z wizerunkami wyklętych i chodzą w nich na patriotyczne marsze.

Trudno się dziwić, że słowa polityka były dla nich szokiem, skoro media serwują im bajki zamiast prawdziwej historii. Zgodnie z taką wyidealizowaną, brązowniczą narracją żołnierze wyklęci byli kimś w rodzaju harcerzy. Nigdy nie skrzywdzili niewinnego człowieka, nigdy nie przeklinali i oczywiście nigdy nie pili wódki. A w przerwach między walką z komuną przeprowadzali staruszki przez jezdnie.

To oczywiście obraz niepoważny. Żołnierze wyklęci nie byli aniołami – byli ludźmi z krwi i kości. Zaprawionymi w bojach mężczyznami, którzy przez wiele lat ukrywali się w lasach, tropieni zaciekle przez wroga. Mężczyznami, którzy prowadzili zaciętą walkę na śmierć i życie. Walkę, która często obfitowała w niezwykle dramatyczne, drastyczne epizody.

MASAKRY I PACYFIKACJE

Historycy oceniają, że przez szeregi polskiego powojennego podziemia niepodległościowego mogło przewinąć się nawet 200 tys. ludzi. Wiara w to, że w tak olbrzymiej zbiorowości uzbrojonych mężczyzn nie było ani jednego, który dopuścił się niegodnego czynu, jest dziecinną naiwnością.

Takie postacie niestety wśród wyklętych były, a ich czyny w większości zostały dość dobrze zbadane przez historyków. Największe obiekcje wzbudza działalność kilku oficerów:

PORUCZNIK JÓZEF BISS „WACŁAW"

Był oficerem ze zgrupowania AK „Warta", który w marcu 1945 r. dokonał masakry 366 ukraińskich cywili w Pawłokomie na Podkarpaciu. Był to odwet za uprowadzenie przez UPA kilku polskich mieszkańców wsi. Niewykluczone, że doszło do fatalnej pomyłki – Polacy mogli równie dobrze zostać aresztowani przez NKWD.

„Wacław" podjął jednak decyzję o pacyfikacji Pawłokomy. Oddział AK wkroczył do wsi i rozpoczął regularną rzeź. Cywilów mordowano w obejściach, nie oszczędzając kobiet ani dzieci. Potem doszło do selekcji przeprowadzonej w miejscowej cerkwi. Wybranych do eksterminacji Ukraińców AK-owcy odprowadzali na cmentarz i zabijali strzałem w tył głowy. Z masakry ocalało kilkadziesiąt kobiet i dzieci, które polski oddział oszczędził i przepędził ze wsi.

Józef Biss w maju 1945 r. został aresztowany przez NKWD. Przeszedł przez niezwykle brutalne śledztwo. W komunistycznych więzieniach siedział do połowy lat 50. Zmarł w roku 1977 w Opolu. W 2006 r. w Pawłokomie odsłonięto pomnik pomordowanych. W uroczystości – w symbolicznym geście pojednania – wzięli udział prezydenci Polski i Ukrainy: Lech Kaczyński i Wiktor Juszczenko.

KAPITAN ROMUALD RAJS „BURY"

Niezwykle bojowy – a jednocześnie znany z twardej ręki – żołnierz wileńskiej AK, który w 1945 r. przeszedł do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Na czele swojego oddziału toczył zacięte boje z komuną na terenie Białostocczyzny. Odznaczył się przy tym wielką brawurą i zdecydowaniem.

Jednocześnie jednak wszedł w konflikt z lokalną ludnością białoruską. Efektem było puszczenie z dymem kilku wiosek. Najgłośniejszą z tych akcji była pacyfikacja Zaleszan, podczas której zginęło kilkanaście osób, które udusiły się w płonących budynkach.

Konto „Burego" obciąża również egzekucja ok. 30 białoruskich furmanów. Do obu zbrodni doszło w styczniu 1946 r. W 1948 r. „Bury" został zaś aresztowany przez ubecję, a rok później zamordowany. Po latach IPN uznał, że czyny kpt. Rajsa „nosiły znamiona ludobójstwa".

eprasa.pl 8322bd21d5

MAJOR MIECZYSŁAW PAZDERSKI „SZARY"

Ten oficer podziemia narodowego był z kolei odpowiedzialny za napad na ukraińską wieś Wierzchowiny na Lubelszczyźnie. Do pacyfikacji doszło 6 czerwca 1945 r., a jej ofiarą padło ok. 200 mieszkańców. Cztery dni później mjr Pazderski poległ śmiercią bohaterską w bitwie z bolszewikami.

KAPITAN JÓZEF ZADZIERSKI „WOŁYNIAK"

Żołnierz Narodowej Organizacji Wojskowej, który słynął z porywczości i nieprzebierania w środkach. 18 kwietnia 1945 r. jego oddział spacyfikował wieś Piskorowice na Podkarpaciu. Był to odwet za dokonany poprzedniego dnia przez UPA krwawy atak na polską Wiązownicę. W masakrze polskiej wsi śmierć poniosło 91 osób, a w masakrze wsi ukraińskiej ok. 120. „Wołyniaka" obciążają również mordy na mieszkańcach wsi Dobra i Dobcza. W sumie zginęło tam ok. 50 osób, w dużej części kobiet i dzieci.

Józef Zadzierski w trakcie jednej z potyczek z komunistami został ciężko ranny. Nie mogąc dalej walczyć, w grudniu 1946 r. popełnił samobójstwo.

PORUCZNIK JÓZEF KURAŚ „OGIEŃ"

Jedna z najgłośniejszych i najbardziej barwnych figur polskiego podziemia niepodległościowego, legendarny partyzant z Podhala. W czasie okupacji niemieckiej w AK, następnie – w wyniku poważnego konfliktu – przeniósł się do Batalionów Chłopskich. W ich szeregach współdziałał z komunistyczną Armią Ludową.

Po wojnie Józef Kuraś początkowo współpracował z czerwonymi, został nawet mianowany na szefa UB w Nowym Targu. Według części badaczy był to jednak podstęp, który miał na celu infiltrację przeciwnika. Kuraś szybko zresztą zdezerterował i przeszedł do podziemia. Zaczął na własną rękę tępić nowego okupanta, stając się postrachem komunistów.

Część historyków zarzuca mu dokonanie zabójstw polskich, słowackich i żydowskich cywilów. Sprawy te wymagają jednak dokładnego wyjaśnienia. Weźmy choćby masakrę kilkunastu Żydów dokonaną przez ludzi „Ognia" w maju 1946 r. w Krościenku. Przeglądałem akta tej sprawy przechowywane w archiwum krakowskiego IPN i rzeczywiście zbrodnia ta była niezwykle drastyczna oraz odpychająca. Istnieje jednak spór na temat tego, czy sprawcy działali na rozkaz Kurasia, czy też była to operacja przeprowadzona na własną rękę.

Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Łodzi 2016 r. FOT. MICHAŁ WOJCIECHOWSKI/REPORTER

MAJOR ZYGMUNT SZENDZIELARZ „ŁUPASZKA"

Żołnierze majora w czerwcu 1944 r. wymordowali kilkudziesięciu Litwinów z Dubinek i okolicznych miejscowości. W dużej części ofiarą masakry padły kobiety i dzieci. Był to drastyczny odwet za mord na Polakach dokonany przez Litwinów w Glinciszkach. Problem w tym, że wspomniane zbrodnie zostały dokonane przez ludzi „Łupaszki" jeszcze za okupacji niemieckiej. Trudno więc obciążać nimi konto żołnierzy wyklętych. Wyklętym mjr Szendzielarz miał się stać dopiero po przejściu frontu.

MARGINES, A NIE REGUŁA

Wszystkie te ubolewania godne wydarzenia niestety miały miejsce. To nie jest żadna „antypolska propaganda", tylko fakty. Należy jednak podkreślić, że incydenty te stanowiły absolutny margines. I nie przekreślają czystości sprawy żołnierzy wyklętych, którą była walka o niepodległość Polski prowadzona przeciwko czerwonemu okupantowi. Najgorszemu wrogowi, jakiego kiedykolwiek mieliśmy.

Na każdą pacyfikację wsi przypadały setki bohaterskich akcji, którym nie można nic zarzucić. Bitew z NKWD, UB, KBW, LWP czy milicją, operacji mających na celu rozbicie komunistycznych więzień, likwidacji katów i szpiclów bezpieki. Z tych dokonań żołnierzy wyklętych możemy być dumni.

Tymczasem współczesne środowiska postkomunistyczne i lewicowe wszystkich żołnierzy wyklętych próbują przedstawić przez pryzmat wspomnianych wyżej nielicznych zbrodni. Temu służyć mają internetowe akcje w stylu „Wyklęci – przeklęci" i sugerowanie, że wszyscy żołnierze podziemia niepodległościowego byli bandziorami zajmującymi się mordami, gwałtami i grabieżą.

Jest to wyjątkowe nadużycie. Niesprawiedliwość wobec dziesiątek tysięcy dzielnych ludzi, którzy w imię wolności ojczyzny rzucili wyzwanie złowrogiej, totalitarnej dyktaturze. I często zapłacili za to najwyższą cenę. Byli sadzani przez ubeków na odwróconych stołkach, wyrywano im paznokcie i odbijano nerki. Gnili długie lata w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Rozstrzeliwano ich.

Żołnierze wyklęci są herosami naszej historii i dobrze, że wreszcie – po latach banicji z polskiej pamięci – zajęli należne im miejsce w panteonie polskich bohaterów narodowych. Dobrze, że możemy obchodzić Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Dobrze, że kręci się o nich kolejne filmy i pisze książki. Dobrze, że na ich cześć nazywa się ulice.

Legenda żołnierzy wyklętych jest jednak tak wspaniała, że nie potrzebuje propagandowego brązownictwa polegającego na zamiataniu pod dywan niewygodnych faktów. Ta legenda obroni się bez takiego wątpliwego „wsparcia", bez patriotycznego pudru i bez szminki.

Kiedy koledzy z redakcji zwrócili się do mnie o przygotowanie tego artykułu, powiedzieli: „Napisz o tym, jak mówić o trudnych epizodach z historii wyklętych". Dla mnie odpowiedź na to pytanie jest prosta i oczywista: należy mówić o nich prawdę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

Niezłomni Niezapomniani Wielcy

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI

Cześć i chwała Bohaterom!

Inka. Zagończyk. Rój. Lalek. Dumne dzieci wielkiego kraju – Polski! Walczyli dla niej, z jej imieniem na ustach ginęli. Nigdy się nie poddali. Zachowali się jak trzeba.

Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo podejmuje szereg działań na rzecz przywrócenia pamięci i oddania należnego hołdu tym, którzy przez lata byli skazani na zapomnienie. Poprzez projekty edukacyjne, działania w sferze kultury i pomoc konkretnym osobom, chcemy oddać cześć naszym bohaterom.

Projekty realizowane przez PGNiG SA i Fundację PGNiG w ramach programu „Rozgrzewamy Polskie Serca":

Mecenat biegu pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym"

Sponsoring filmu „Wyklęty"

Współpraca z Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce

Muzeum Żołnierzy Wyklętych

Sponsoring VIII Festiwalu Filmowego „Niepokorni Niezłomni Wyklęci"

Wsparcie portalu edukacyjnego Fundacji Łączka „Żołnierze Wyklęci – Niezłomni"

Sponsoring filmu „Historia Roja"

rozgrzewamypolskieserca.pl
pgnig.pl

PGNiG

ROZGRZEWAMY POLSKIE SERCA
Fundacja PGNiG

eprasa.pl 8322bd21d5

Piotr Semka

Donald Tusk jako polski polityk w Brukseli postawił na wojnę z polskim rządem. A w polityce trzeba ponosić konsekwencje swoich wyborów

Kłopot

To żenujące, by Polacy zwalczali kandydaturę Polaka – denerwował się w Radiu TOK FM Andrzej Olechowski. „PiS go nie poprze" – oburza się „Newsweek". „Gdy Polska nie poprze Polaka, będzie wstyd. I może być największy ze wszystkich" – grzmi portal NaTemat.pl.

Jeśli wierzyć tygodnikowi „Wprost", to Donald Tusk ma się zwierzać polskim dziennikarzom w Brukseli, jak niezręcznie jest mu wyjaśniać, że PiS nie chce poprzeć Polaka na tak ważne stanowisko: „Mnie jest głupio, powiem szczerze, tak po ludzku, to komentować, ale tutaj wszyscy w Brukseli czasami pukają się w głowę i nie wierzą w to, co słyszą".

Do krytyki Prawa i Sprawiedliwości w tej sprawie dołączył także konserwatysta Kazimierz Michał Ujazdowski. Jeszcze jako eurodeputowany z PiS wskazywał: „Tusk jest jedynym Polakiem, który może objąć jakąś ważną funkcję w unijnych strukturach".

Co znaczące, żadne z mediów wypowiadających lub cytujących te pełne emocji głosy nie pyta Donalda Tuska, co zrobił w ciągu ostatnich 14 miesięcy istnienia rządu PiS, aby zapewnić sobie choćby neutralność, jeśli nie jakąś formę modus vivendi z rządem w Warszawie. Nikt nie interesuje się, czy był dotąd przypadek, by wysoki urzędnik unijny tak wyraziście angażował się w wewnętrzne spory w swoim kraju.

SUBTELNY KOSTIUM

Jak zwykle w przypadku Tuska jego stosunek do wydarzeń w kraju ubrany był w subtelny, ale wyrazisty kostium. Zaczęło się od zwlekania ze złożeniem gratulacji Andrzejowi Dudzie po zdobyciu prezydentury. Potem były aluzyjne życzenia, by polski prezydent „stanął po jasnej stronie mocy", i ciepłe słowa dla rockmana Bono po tym, jak muzyk skrytykował rządy w Polsce i na Węgrzech.

Gdy w kwietniu 2016 r. Tusk odwiedził USA, nie zaprzeczał wyraźnie ustawionym pytaniom części dziennikarzy o to, czy poruszał temat stanu swobód demokratycznych w Polsce w rozmowie z prezydentem USA. – Nie będę komentował mojej krótkiej rozmowy z prezydentem Obamą, bo zobowiązaliśmy się obaj do dyskrecji. On oczywiście pytał o moją ocenę sytuacji w Polsce i Europie, ale nie będę tego komentował – odparł.

W maju 2016 r. Tusk przyjął w Brukseli lidera KOD Mateusza Kijowskiego. Przedstawiciele KOD mówili, że ich wizyta w Brukseli była zaplanowana od miesiąca i tylko przez przypadek zbiegła się w czasie z planowanym wysłaniem do Warszawy przez Komisję Europejską opinii na temat praworządności w Polsce oraz ofensywy Fransa Timmermansa.

Tusk komentował wydarzenia duże i małe, niekiedy burzę w szklance wody.

Polskim dziennikarzom – najlepszym przekaźnikom jego komentarzy dotyczących spraw krajowych – całkiem serio mówił, że „największe zainteresowanie i niepokój wśród zagranicznych polityków wywołuje sprawa Białowieży oraz stadniny w Janowie Podlaskim". Przybierał wręcz groteskowy ton, głosząc: „Dla mnie jako Polaka ktoś, kto wycina starodrzew albo doprowadza do śmierci koni, i to w takiej stadninie jak Janów, robi po prostu straszne rzeczy. Zastanawiam się, czy nie zaczną strzelać do bocianów".

eprasa.pl 8322bd21d5

z Tuskiem

FOT. LEON NEAL/GETTY IMAGES

Gdy rząd Beaty Szydło ogłosił, że dokonuje audytu rządu Ewy Kopacz, jeden z trzech najważniejszych polityków unijnych nie mógł się powstrzymać od tweeta: „Są trzy prawdy: świento prowda, tys prowda i audyt". A w czerwcu 2016 r. uraczył Twittera zdaniem: „A J.K. wciąż śpiewa: pojawiasz się i znikasz, mam na twym punkcie bzika".

W nocy z 16 na 17 grudnia 2016 r. zjawił się w Polsce pod mało przekonującym pretekstem, by wesprzeć demonstrantów przed Sejmem, a cztery dni potem w wywiadzie dla TVN złożył coś na kształt przysięgi politycznej zemsty na PiS: „Ja i tak tym wszystkim, którzy robią źle Polsce, nie odpuszczę. Czy w Brukseli, czy po powrocie do Polski".

Trudno wyobrazić sobie jakikolwiek rząd, który po takiej deklaracji popierałby kogoś tak otwarcie demonstrującego chęć zwalczania adwersarzy – czy to „w Brukseli", czy to w kraju. Przywoływany niekiedy jako wzór pragmatyzmu dla PiS Viktor Orbán, gdyby sam zderzył się z węgierskim postkomunistą na wysokim stanowisku unijnym demonstrującym stale niechęć do rządu Fidesz, to także nie upokarzałby się popieraniem zdeklarowanego przeciwnika.

Cały problem z Tuskiem wynika z tego, że unijni decydenci na stanowisko szefa Rady Europejskiej wybrali polityka uwikłanego w ostry konflikt wewnętrzny, zabranego do Brukseli wprost z funkcji urzędującego premiera. Wybrany wcześniej Herman Van Rompuy też był przed

eprasa.pl 8322bd21d5

objęciem stanowiska premierem, ale znanym głównie z łagodzących emocje umiejętności przewodzenia koalicji belgijskich partii. Czyli bardziej biurokraty niż ognistego lidera. W dodatku Tuska wybrano nie na długą kadencję, lecz na 2,5 roku. To w naturalny sposób musiało skłaniać byłego polskiego premiera do odgrywania także quasi-krajowej roli patrona opozycji na wypadek powrotu nad Wisłę po jednej kadencji.

Donald Tusk nie musiał jednak iść tą drogą. Mógł zachowywać daleko idący dystans wobec emocji polskiego konfliktu, powstrzymywać się od komentowania tak ważnych zagadnień jak problemy stadniny w Janowie Podlaskim. Być może wtedy powstałoby jakieś modus vivendi między Tuskiem a Jarosławem Kaczyńskim. Nie było ono łatwe z racji urazu lidera PiS do byłego szefa Platformy i jego roli w rozdzieleniu wizyt w Smoleńsku oraz aluzji na miesięcznicach do ewentualnego postawienia Tuska przed Trybunałem Stanu. Jednak przez pierwsze cztery miesiące po wyborach PiS nie atakował Tuska zbyt wyraźnie. A jeszcze w czerwcu zeszłego roku europoseł Ryszard Czarnecki pisał na łamach „Rzeczpospolitej": „Poprzemy Tuska". Oferta więc była, jednak Tusk, przybywając do Polski w ogniu grudniowych wydarzeń przed Sejmem, ostatecznie ją odrzucił.

ZABAWA W POZORY

Jednym z chwytów mającym dodatkowo zawstydzać PiS w kwestii odmowy poparcia Tuska jest cytowanie opinii komentatorów politycznych z krajów Grupy Wyszehradzkiej, którzy wyznają, że nie mają nic przeciw Tuskowi. Czy wynika z tego wiele? Raczej nie. Po pierwsze, media proplatformerskie zwracają się zazwyczaj do ekspertów reprezentujących raczej zasadę eurokonformizmu, a nie jakiejś bardziej ambitnej polityki. Po drugie, z perspektywy Pragi lub Bratysławy Tusk może jawić się jako coś optymalnego. Z punktu widzenia PiS byłoby to upokorzenie, a nie pragmatyzm. Jarosław Kaczyński nie może mieć żadnej pewności, że za pół roku Tusk nie wesprze jakiegoś nowego „majdanu nad Wisłą". Żądanie, by rząd wznosił się ponad pamięć o wciąż wyjątkowo ostrej wojnie polsko-polskiej, jest politycznym bujaniem w obłokach.

Tym bardziej że akceptacja Tuska byłaby dla Kaczyńskiego wspieraniem wizji polityki „klienckiej" wobec państw Europy Wschodniej. Polityki żądania pełnej obediencji w zamian za okresowe fawory dla najlepszych uczniów we wschodnio-europejskiej szkółce. To spór o to, czy Unia powinna udawać, że nic się nie zmieniło od 2014 r., gdy z fanfarami ogłoszono wybór ambitnego gdańszczanina na „króla Europy".

To nominacja z epoki, w której rządził pozór, a nie realny układ sił. Na podobnej zasadzie wcześniej podano na tacy Jerzemu Buzkowi fotel szefa europarlamentu, obstawiając go starymi wygami pilnującymi interesów Berlina i Paryża. Wybór Tuska na szefa Rady Europejskiej miał jeszcze jakiś sens, gdy Platforma była siłą, która była w kraju u władzy. Jednak z chwilą wygranej PiS samo stwierdzanie, że „Polak sprawuje jedno z najważniejszych stanowisk unijnych", niewiele wnosi. To taki sam pusty rytuał jak nominacja dla Federiki Mogherini jako domniemanej szefowej dyplomacji europejskiej. W chwilach naprawdę decydujących, np. przy ustalaniu składu „formatu normandzkiego", nikt Mogherini nie traktuje serio. I tak samo bywa z Tuskiem. Gdy w kryzysowych momentach zbierały się państwa założyciele Unii, Tuska tam często nie było. Trudno wskazać na jakieś jego przełomowe wystąpienie czy nazwanie w wyrazisty sposób jakiegoś problemu. Nawet jego wezwanie z marca 2016 r. do uchodźców: „Nie przyjeżdżajcie do Europy, nie wierzcie przemytnikom" pozostało jedynie efektowną pozą. Jeśli coś zatrzymało kolejną falę uchodźców, to raczej przekupienie Turcji, aby zatrzymała ludzki potok prący na Bałkany. Tusk był też bierny w czasie napięcia we wrześniu 2015 r. między Węgrami a RFN w sprawie zabezpieczenia granic państwa Madziarów.

Jarosław Kaczyński nie może mieć żadnej pewności, że za pół roku Donald Tusk nie wesprze jakiegoś nowego „majdanu nad Wisłą"

Teraz wyłania się nowa unijna konstelacja – Niemcy, Francja, Włochy i Hiszpania – która spotka się 6 marca w Wersalu, by dyskutować o przyszłości Unii. Nic nie wiadomo o tym, by miał tam być Tusk.

W dyskusji wewnątrzunijnej pojawiają się pomysły, by połączyć funkcję szefa RE z przewodniczącym Komisji Europejskiej – aby skupić więcej władzy w ręku jednej osoby. Propozycje Polski są inne. Profesor Zdzisław Krasnodębski przedstawił niedawno pomysł, by w miejsce stanowiska szefa RE wrócić do koncepcji silnej prezydencji sprawowanej kolejno przez państwa członkowskie, gdyż kompetencje przewodniczącego Rady Europejskiej dublują się z zadaniami, które wykonuje państwo sprawujące prezydencję.

Istnieją nad Wisłą realiści głoszący: lepiej, by na czele unijnej rady stał Tusk niż ktoś nieznający realiów Europy Środkowej. Niekoniecznie musi to być prawda. Może lepiej, by skończyła się fikcja rzekomo podmiotowej, a de facto „klienckiej polityki", którą symbolizuje były polski premier? Może gdyby szefem RE był ktoś bardziej samodzielny niż Donald Tusk, udałoby mu się odwieść Brytyjczyków od Brexitu?

Nie sposób twierdzić, że Tusk nie miał pewnych osiągnięć. To dzięki niemu mocniejszą pozycję zdobył pogląd, że administracyjne rozdzielanie uchodźców to chybiony pomysł. Można przypuszczać, że walczył też po cichu z pomysłami zniesienia sankcji wobec Rosji. I za to mu chwała. To jednak za mało, by skłonić PiS do poparcia jego kandydatury, zwłaszcza że były szef PO nie rezygnuje z puszczania oka do krajowej opozycji. W polityce trzeba się liczyć z konsekwencjami swoich wyborów. Tusk postawił na wojnę z obecnym rządem, a teraz chciałby poparcia pod szantażem: „Głupio byłoby, by Polska nie wspierała Polaka".

Na to, kto wygra rozgrywkę wokół obsady funkcji szefa RE, nie mamy wpływu.

Czas pokaże, ile jest prawdy w plotkach, że Tuskowi wyrasta poważny konkurent – François Hollande, który nie ma ochoty na bezrobocie po opuszczeniu Pałacu Elizejskiego. Jeśli tak się stanie i na dodatek wybory prezydenckie nad Sekwaną wygra Marine Le Pen, to powtórzyć się może casus Tuska. Szef Rady Europejskiej Hollande będzie walczył z prezydent z Frontu Narodowego. Jak znam unijną lewicę, będą zagrzewali wówczas do świętej wojny z francuskim populizmem. Tyle że Unia Europejska może już tego eksperymentu nie wytrzymać. Prawicowym publicystom przypisuje się radość z takiego możliwego scenariusza wydarzeń. Niesłusznie. Jednak aby taki scenariusz odsunąć od urzeczywistnienia, trzeba zerwać z promowaniem fikcji. Tusk jako silny szef Rady Europejskiej to miniona epoka. Może kolejna będzie dla nas gorsza, tylko że zaklinanie rzeczywistości niczego nie poprawi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

Brud pod togą

FOT. MACIEJ JEZIOREK/FORUM

eprasa.pl 8322bd21d5

Wojciech Wybranowski

Sędziom sprawiedliwość mogą wymierzyć tylko koledzy. I często robią to tak, że winnym nie dzieje się krzywda. Czy to buduje zaufanie społeczne?

Zaufanie społeczne do wymiaru sprawiedliwości w Polsce i do samych sędziów jest bardzo niskie. Według sondażu CBOS z połowy lutego 49 proc. ankietowanych krytycznie ocenia sposób funkcjonowania sądów, a pozytywnie pracę sędziów postrzega zaledwie 28 proc. A jeszcze jesienią w badaniu tej samej pracowni pozytywnie pracę sędziów oceniało 36 proc. badanych.

– Do września te notowania były całkiem dobre, nawet powoli rosły. Wprowadzaliśmy system szkoleń, uczyliśmy, jak tłumaczyć obywatelom sposób działania wymiaru sprawiedliwości, to działało – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy" sędzia Waldemar Żurek, rzecznik Krajowej Rady Sądownictwa.

Skąd więc tak niskie oceny i spadek zaufania do sądów? Przedstawiciel KRS przyczyn nie upatruje po stronie samych sędziów. – Mieliśmy w ubiegłym roku kongres sędziów, na którym padło kilka niefortunnych, niepotrzebnych słów, jednak od dłuższego czasu trwa zorganizowana polityczno-medialna kampania, dziennikarze odgrzewają stare sprawy, atakując sądy. To pewnego rodzaju przygotowywanie politycznego gruntu pod zmiany, które idą w kierunku ograniczenia niezawisłości sędziowskiej – uważa sędzia Żurek.

Jednak statystyki i informacje, do których dotarliśmy, są wstrząsające i wskazują na coraz poważniejszy kryzys wymiaru sprawiedliwości.

Jednym z podstawowych problemów polskich sądów jest bezkarność sędziów, którzy dopuścili się przestępstwa lub popełnili wykroczenie. Jak wynika z danych dotyczących postępowań dyscyplinarnych, do których dotarliśmy, rzadko który z sędziów uchybiających godności sędziego jest usuwany z zawodu. Nawet jeśli do tego dochodzi, to dzieje się to po wielu latach.

W 2011 r. wszczęto postępowania dyscyplinarne w 43 sprawach, ale tylko w trzech przypadkach orzeczono w nich karę złożenia sędziego z urzędu, dwa razy zdjęcia z pełnionej funkcji. 21 razy kończyło się na upomnieniu, 12 razy – na naganie.

Rok później wszczęto 50 postępowań dyscyplinarnych przeciwko sędziom. Tylko dwóch ukarano złożeniem z urzędu. Pięć razy odstąpiono od wymierzenia kary, sześć postępowań umorzono z powodu przedawnienia, czterech sędziów uniewinniono. 23 razy skończyło się naganą, upomnieniem lub przeniesieniem.

W 2013 r. wszczęto aż 75 spraw dyscyplinarnych przeciwko sędziom. I tu sądy dyscyplinarne orzekały łaskawie: jeden sędzia został złożony z urzędu, jeden został pozbawiony prawa do spoczynku i przysługującego mu wynagrodzenia, raz wstrzymano podwyżkę wynagrodzenia. W pozostałych przypadkach sędziów uniewinniono (2), umorzono postępowanie (3), odstąpiono od wymierzenia kary (7) lub wymierzono kary przeniesienia, nagany albo upomnienia (29).

W 2014 r. postępowań dyscyplinarnych przeciwko sędziom było najwięcej w ostatnich pięciu latach, bo aż 92. Tylko trzy sprawy zakończyły się zdjęciem sędziego z urzędu, aż dziewięć razy odstąpiono od wymierzenia kary. W 2015 r. przed sądami dyscyplinarnymi stanęło 50 sędziów. Tylko trzech z nich zostało złożonych z urzędu.

– Dzisiaj nie ma demokratycznej, społecznej kontroli nad sądami, obywatele nie mają żadnego wpływu na to, jak sędziowie są powoływani i jak są rozliczani ze swojej pracy – mówi wiceminister Warchoł. – Obywatel nie ma żadnych uprawnień w postępowaniu dyscyplinarnym dotyczącym sędziów, może być jedynie ich obserwatorem – dodaje.

NIE MA JAK PRZEDAWNIENIE

Postępowania dyscyplinarne sędziów nie dotyczą jednak tylko spraw tak „drobnej" wagi jak opóźnienia proceduralne, a działania sędziów wobec kolegów wbrew twierdzeniom rzecznika KRS wcale nie są tak sprawne, szybkie ani surowe. Jest z tym bardzo źle. Przykłady?

Niezmywalną plamę na wizerunku polskich sądów stanowi sprawa sędzi Lucyny Z. z Poznania, która odegrała istotną rolę w tzw. aferze testamentowej, czyli przejmowaniu miejskich kamienic na podstawie sfałszowanych testamentów. W 2006 r. została skazana przez Sąd Rejonowy w Gorzowie za „trzykrotne nieumyślne niedopełnienie obowiązków sędziego – poświadczenie nieprawdy w postanowieniach o nabyciu spadku, wiedząc, że testamenty były sfałszowane". Okazało się przy tym, że mózgiem gangu przejmującego kamienice był mąż sędzi – Marian Z.

W 2014 r. były aż 92 postępowania dyscyplinarne przeciwko sędziom. Tylko trzy sprawy zakończyły się zdjęciem sędziego z urzędu

– Dominująca liczba postępowań dyscyplinarnych dotyczy opóźnień w pisaniu uzasadnień. Sędziowie są tak obłożeni pracą, że niekiedy po prostu nie nadążają – broni sędziów Waldemar Żurek. – Na pewno w tak dużej grupie sędziów zdarzają się wpadki, ale surowo ścigamy tych, którzy uchybili godności sprawowania urzędu. Które z zawodów zaufania publicznego mają jawne postępowania dyscyplinarne? Ilu dziennikarzy usunięto z zawodu za łamanie prawa?

Innego zdania jest dr Marcin Warchoł, prawnik i wiceminister sprawiedliwości. W rozmowie z „Do Rzeczy" podkreśla, że analiza danych dotyczących pracy sądów i konfliktów urzędników wymiaru sprawiedliwości z prawem wskazuje, iż bezkarność sędziów stała się poważnym problemem.

W 2008 r. sąd dyscyplinarny zdecydował o złożeniu Lucyny Z. z urzędu sędziego. To jednak nigdy nie nastąpiło, bo okazało się, że sędziowie dziwnym trafem spóźnili się o kilka miesięcy z decyzją dyscyplinarną i uległa ona przedawnieniu. Dlaczego tak się stało? Sędziowie uznali, że postępowanie dyscyplinarne może być prowadzone dopiero po zakończeniu postępowania karnego. Tymczasem rozpoczęcie tego sądy w Poznaniu i Gorzowie odwlekały przez wiele miesięcy, nie chcąc badać sprawy koleżanki. Prawomocnie skazana w procesie karnym sędzia została więc przeniesiona do Jarocina, gdzie orzekała aż do ubiegłego roku, kiedy przeszła na sędziowską emeryturę.

W 2013 r. telewizja TVN24 ujawniła, że sędzia Marek Sz.K. z sądu w Puławach zajmował się pożyczaniem pieniędzy na

eprasa.pl 8322bd21d5

lichwiarskie odsetki i ściąganiem długów. Wszczęto przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne. Prowadzono je jednak tak długo, że jesienią ubiegłego roku, po serii odwołań, sędzia kary nie poniósł, bo uznano, że zarzuty się przedawniły.

Niedawno media ujawniły przypadek Pawła M., sędziego ze Szczecina, który pod koniec czerwca ubiegłego roku w jednym ze sklepów ukradł części do wiertarki. Przyłapany przez ochroniarzy wyjął z kieszeni legitymację sędziowską i oznajmił, że chroni go immunitet. Pół roku później, gdy sprawą zainteresowali się dziennikarze, Pawłowi M. postawiono zarzut „uchybienia godności urzędu przez popełnienie wykroczenia". Dopiero w lutym – siedem miesięcy po kradzieży – został zawieszony.

Można powiedzieć, że i tak sprawę sędziego ze Szczecina załatwiono błyskawicznie, bo sędziemu Januszowi K., byłemu przewodniczącemu Wydziału Karnego Sądu Rejonowego w Kościerzynie, oskarżonemu o przyjęcie łapówki, dzięki bulwersującym decyzjom kolegów sędziów od ponad siedmiu lat udaje się uniknąć usunięcia z zawodu. W 2008 r. Janusz K. został przyłapany na przyjęciu łapówki od przedsiębiorcy skazanego za przestępstwa gospodarcze. Proces sędziego rozpoczął się dopiero w 2011 r. Za korupcję został skazany dwukrotnie – w latach 2014 i 2016 (w tym przypadku na pięć lat bezwzględnego pozbawienia wolności). Za każdym razem odwołał się jednak od nieprawomocnych wyroków. Rzecznik dyscyplinarny dla sędziów nie zdecydował się na wystąpienie do sądu o usunięcie Janusza K. z zawodu. Efekt? Sędzia z Kościerzyny, choć zawieszony i nie pracuje, otrzymuje wysoką sędziowską pensję. TVN24 wyliczył w ubiegłym roku, że przez siedem lat zawieszenia sędzia dostał blisko pół miliona złotych.

Podobne sprawy nie są w wymiarze sprawiedliwości rzadkością. Siedem lat trwało, zanim sędzia Zbigniew J. z Tarnobrzega, który tuż przed przejściem na emeryturę został złapany na kradzieży kiełbasy w sklepie, a także dwukrotnie przyłapany przez policjantów na jeździe po pijanemu, stracił wysoką emeryturę sędziowską.

RYBA PSUJE SIĘ OD GŁOWY

Przypadki, gdy postępowania dyscyplinarne przeciwko sędziom, prowadzone przeciwko ich kolegom, budzą wątpliwości, można mnożyć. Podobnie jak mnożą się pytania o częsty brak kwalifikacji moralnych ludzi, którzy orzekają o winie innych. Niedawno media pisały o sprawie sędziego Roberta W. z wrocławskiego sądu apelacyjnego, który w jednym z marketów miał kraść pendrive'y.

– Jak w każdej grupie zawodowej przestępstwa, nawet te najbardziej pospolite, się zdarzają. Niestety, często wynikają one z poczucia bezkarności, z tego posiadania immunitetu – uważa wiceminister Marcin Warchoł.

Przed kilkoma laty w opolskiej palestrze głośno było o dwóch sędziach, którzy pobili się w budynku sądu. Powód? Jeden z nich złożył do prezesa sądu doniesienie na żonę drugiego, sugerując, że ta korzysta z fałszywego zwolnienia lekarskiego. Z kolei sędzia jednego z wrocławskich sądów podrabiała protokoły sądowe.

Cztery lata temu sędzia Sądu Rejonowego w Gdańsku Magdalena P. została skazana na dwa lata więzienia za „płatną protekcję". A sędzia Jerzy Ż., były wiceminister sprawiedliwości w rządzie Marka Belki, a do maja 2014 r. sędzia Sądu Rejonowego w Wąbrzeźnie, pożyczał pieniądze od podsądnych i ich nie oddawał. Tuż przed zakończeniem postępowania dyscyplinarnego w swojej sprawie przeszedł na emeryturę. W 2015 r. został ukarany przez Sąd Najwyższy wstrzymaniem na trzy lata waloryzacji świadczenia emerytalnego. – To człowiek, który w ministerstwie budował cały system wymiaru sprawiedliwości, był też prezesem sądu. Jeśli taki przykład idzie z góry, to jakie wnioski mają z tego wyciągać młodzi ludzie, którzy trafiają do zawodu? – zastanawia się jeden ze znanych warszawskich sędziów.

W 2009 r. krakowska prokuratura wszczęła postępowanie w sprawie podejrzenia korupcji na najwyższym szczeblu wymiaru sprawiedliwości. Agenci CBA zdobyli materiały, które mogły wskazywać, że w latach 2008–2009 we wrocławskim sądzie okręgowym mogło dojść do ustawiania postępowania i powoływania się na wpływy w Sądzie Apelacyjnym we Wrocławiu i w Sądzie Najwyższym. Po trzech latach sprawę umorzono. Jednak jesienią 2014 r. telewizja Republika ujawniła nagrania rozmów prowadzonych między sędzią SN Henrykiem Pietrzykowskim a sędzią Naczelnego Sądu Administracyjnego Bogusławem Moraczewskim oraz treść wysyłanych przez nich SMS-ów. Całość sprawia wrażenie „pertraktacji". Na taśmach, do których dotarł Cezary Gmyz, sędziowie rozmawiają o napisaniu wniosku kasacyjnego w taki sposób, by nie został on odrzucony. A dotyczy on wielkich pieniędzy – 17 mln zł, które biznesmen Józef M. miał zapłacić swojemu wspólnikowi po przegranym procesie. Powiadomił on służby, że grupa prawników, powołując się na wpływy w Sądzie Najwyższym, zaproponowała mu transakcję. Za przyjęcie kasacji miał zapłacić 2 mln zł. Sprawa trafiła na wokandę, gdy jednak M. odmówił przekazania pieniędzy, kasacja została odrzucona. W sierpniu ubiegłego roku Prokuratura Krajowa zdecydowała o podjęciu na nowo umorzonego śledztwa w sprawie podejrzenia korupcji na najwyższych szczeblach wymiaru sprawiedliwości.

AROGANCJA I NIESOLIDNOŚĆ

Obok głośnych afer wizerunku sędziów nie poprawiają buta ani arogancja przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości. W społeczeństwie zawrzało, gdy jesienią ubiegłego roku sędzia Teresa Kamińska z NSA określiła siebie i swoich kolegów mianem „nadzwyczajnej kasty ludzi".

Niedawno swoją cegiełkę do tego wizerunku dołożyła prezes Sądu Najwyższego – prof. Małgorzata Gersdorf. W rozmowie z Onetem poskarżyła się na pensje sędziów w sądach rejonowych wynoszące ok. 7 tys. zł. – Nieco lepiej jest w sądach okręgowych, ale za te ok. 10 tys. brutto dobrze żyć można tylko na prowincji – stwierdziła Gersdorf.

Ankieta przeprowadzona pod koniec ubiegłego roku przez Sąd Okręgowy w Warszawie, w której pytano Polaków, jak oceniają sądy, pokazała, że rodacy mają wiele zastrzeżeń: od terminowości i szybkości prowadzenia spraw do – co bardzo niepokojące – słabego przygotowania merytorycznego sędziów.

Również raport fundacji Court Watch, analizującej pracę polskich sądów w latach 2004–2015, wskazuje na liczne uchybienia. – Często piętnujemy jako fundacja zachowania sędziów, które sprawiają, że zaufanie społeczne do sądów spada – mówi „Do Rzeczy" Bartosz Pilitowski, prezes fundacji Court Watch. – Mam tu na myśli niepunktualność, arogancję, butę, agresję wobec stron postępowania. Bywa jednak tak, że kiedy na takie zachowanie trafia skarga do prezesa sądu, reaguje on tak: „Nie mogę nic z tym zrobić, to nie jest uchybienie". Uchybieniem jest dopiero zrobienie czegoś po terminie. Niestety, system, w którym funkcjonują, kształtuje w sędziach przekonanie, że najważniejsze są statystyki, a nie człowiek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

raport DO RZECZY SĘDZIOWIE

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Z Adamem Tomczyńskim, byłym sędzią, radcą prawnym *rozmawia Wojciech Wybranowski*

Sędziów trzeba kontrolować

WOJCIECH WYBRANOWSKI: W Poznaniu pan Józef Pinior, podejrzany o korupcję, i Mateusz Kijowski z problemami alimentacyjnymi demonstrują w obronie niezawisłości sędziowskiej...

ADAM TOMCZYŃSKI: Sądy i sędziowie takich obrońców nie potrzebują, jeśli chodzi o pana Piniora podejrzanego o korupcję – wręcz nie wypada, żeby zabierał w tej sprawie głos. Pan Kijowski wprawdzie podejrzany nie jest, ale nie wiemy, czy ta sytuacja w najbliższym czasie się nie zmieni. Myślę, że każdy sędzia wolałby obyć się bez takiej „pomocy".

W środowisku sędziów słychać głosy – i to dość liczne – że możliwość swobodnego orzekania jest zagrożona przez próbę upolitycznienia sądów. Chodzi o przygotowany przez resort Zbigniewa Ziobry projekt zmian w Krajowej Radzie Sądownictwa. Podziela pan tę opinię?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, najpierw trzeba odpowiedzieć sobie na inne, dotyczące wymiaru sprawiedliwości. A mianowicie: Czy sytuacja w polskich sądach i szerzej – w wymiarze sprawiedliwości jest dobra? Czy praca sądów i samych sędziów jest pozytywnie oceniana przez społeczeństwo, traktowana jako fundament państwa prawa? Jeżeli uznamy, że wszystko jest piękne i wspaniałe, to rzeczywiście nie ma powodów do zmian. Jeśli natomiast stwierdzimy, że „jest źle", a taką ocenę deklaruje w różny sposób wielu Polaków, to trzeba się zastanowić, co nie funkcjonuje właściwie i w jakich obszarach niezbędne są zmiany. Czy postępowania, które już w pierwszej instancji trwają dwa lata i dłużej, to jest to, czego oczekujemy, czy raczej wolelibyśmy, żeby sądy funkcjonowały sprawniej i szybciej? Czy dowolna interpretacja przepisów prawa przez sędziów w różnych przypadkach, ale przy podobnych stanach faktycznych, w ten sposób, że każdy sędzia orzeka inaczej niż jego kolega, to jest właściwa sytuacja? Czy polityczne zaangażowanie sędziów w takie imprezy jak „kongres sędziów" to sytuacja dopuszczalna? Ja na te wszystkie pytania odpowiadam: nie, to nie jest sytuacja, której oczekuje polski obywatel.

Reformy, które proponuje minister Ziobro, mają szansę tę sytuację zmienić. Oczywiście bardzo ważne jest, żeby nowa Krajowa Rada Sądownictwa, nowi ludzie, którzy będą orzekali, byli niezależni od rozmaitych powiązań, uczciwi i by traktowali swoją pracę jako służbę. W mojej ocenie zmiany, które są proponowane, dają szansę na to, że w obszarze wymiaru sprawiedliwości będzie lepiej.

Jaka jest dziś największa słabość polskich sądów? Przewlekłość rozpraw? Podwójne orzecznictwo? Nieuczciwi sędziowie?

Największym problemem jest dziś niestabilność orzecznictwa. Co mam na myśli? W bardzo podobnych sprawach sędziowie orzekają różnie i uzasadniają to swoją „niezawisłością". Zadaniem Krajowej Rady Sądownictwa powinno być poddanie sędziów takim szkoleniom, by podobne sprawy rozstrzygać w analogiczny sposób. Jest też kwestia przewlekłości postępowań – jeśli czeka się pół roku lub rok na rozpoczęcie rozprawy, to coś nie gra. Ja sam na rozpoczęcie swojej sprawy

eprasa.pl 8322bd21d5

o charakterze cywilnym czekam ponad rok, tymczasem w ciągu 12 miesięcy powinna ona być już rozstrzygnięta.

Niejeden sędzia powie, odpierając pański argument o konieczności podobnego rozstrzygania w podobnych sprawach, że polskie prawo nie uwzględnia zasady precedensu.

Jasne, ale jeśli w identycznych sprawach, np. dotyczących umowy dzierżawy, gdzie pewne punkty są takie same, inaczej orzeka sąd w Poznaniu, a inaczej w Warszawie, to coś tu jest mocno bez sensu. To nie jest niezawisłość, to kwestia błędnego interpretowania prawa. Jeśli słyszę z ust sędziów z KRS, że art. 187 konstytucji nakazuje, by sami sędziowie wybierali sędziów do KRS, to pytam: Jakim cudem dokonują takiej interpretacji, skoro mowa jest wyraźnie, że „sędziowie są wybierani do KRS", ale nie określa jak? A skoro nie mówi, jak są wybierani, to nie możemy tworzyć sztucznej interpretacji konstytucji ani udowadniać czegoś, czego w ustawie zasadniczej nie ma. Dlaczego o tym mówię? Ponieważ dotyka to kwestii, którą poruszyliśmy przed chwilą, czyli interpretacji prawa. Nie może ona być dowolna, musi mieścić się w określonych ramach.

Nie jestem przekonany, czy reforma będzie w stanie naprawić sposób pracy sądów. Problemem jest mentalność wielu sędziów, uważających się – jak to określiła sędzia NSA Irena Kamińska – za „nadzwyczajną kastę ludzi".

Dotknął pan dwóch spraw. Prawdopodobnie skuteczna reforma sądów byłaby możliwa dopiero po zmianie konstytucji, w części dotyczącej np. immunitetów sędziowskich, które powinny zostać bardzo poważnie ograniczone. Moim zdaniem postępowań dyscyplinarnych dotyczących sędziów nie mogą prowadzić sądy, a przynajmniej nie tylko sędziowie powinni być w ciałach orzekających. To jednak wymaga zmiany zapisów ustawy zasadniczej, bez tego możemy co najwyżej wymienić rzecznika dyscyplinarnego. Dopóki sędziowie nie będą kontrolowani z zewnątrz, lecz wyłącznie przez siebie, dopóty bardzo prawdopodobne będą sytuacje takie jak ta z Poznania, gdy sędzia, która została ukarana za „nieumyślne niedopełnienie obowiązków", czyli udział w tzw. aferze testamentowej dotyczącej przejmowania spadkowych kamienic na podstawie sfałszowanych testamentów, nie została wyrzucona z zawodu...

Została przeniesiona do Łodzi...

Tak. Nie została wyrzucona z zawodu ani przez sąd karny, ani dyscyplinarny. Sytuacja absurdalna. I ona potem jeszcze w imieniu Rzeczypospolitej orzekała. Jak się mają czuć inni sędziowie w takiej sytuacji? Jak się mają czuć podsądni? I tutaj brakuje elementu zewnętrznego, w postępowaniach dyscyplinarnych musi taki czynnik występować. Sędziowie są dziś jedyną grupą zawodową, która „sądzi się" zupełnie sama. Tutaj nie ma nawet tego, co występuje w Hiszpanii, gdzie postępowaniem dyscyplinarnym zajmuje się Krajowa Rada Sądownictwa, ale w tym ciele dyscyplinarnym jest kilka osób spoza sądownictwa. Co prawda, nie mają w niej większości, ale jest już spełniona pewna funkcja kontrolna. W Polsce nawet takiej namiastki kontroli nie ma.

Jeśli w identycznych sprawach inaczej orzeka sąd w Poznaniu, a inaczej w Warszawie, to coś tu jest mocno bez sensu

À propos postępowań dyscyplinarnych. W 2011 r. wszczęto 43 postępowania, ale tylko trzech objętych nimi sędziów usunięto z urzędu. W 2013 r. było takich postępowań 75 i tylko jednego sędziego usunięto z urzędu. W 2015 r. na 50 postępowań tak ukarano trzech sędziów. Część z tych spraw dotyczyła co prawda tylko zarzutu jazdy samochodem pod wpływem alkoholu...

Tutaj bym się jednak zatrzymał. To nie jest „tylko". Jazda po pijanemu autem przez sędziego nie jest zdarzeniem błahym. Być może ono nie powinno w każdej sytuacji skutkować złożeniem z urzędu, nie mniej kara powinna być znacząca, wszak sędzia ma świecić przykładem, ma godnie wykonywać swój zawód. A przypomnę, że znana jest sprawa sędziego, którego trzeba było dwa razy wynosić z samochodu przy dwóch różnych okazjach, bo tak był pijany, a w międzyczasie ukradł kiełbasę. Między tymi zdarzeniami doprowadzono do umorzenia postępowania dyscyplinarnego i dopiero w drugim postępowaniu sąd dyscyplinarny pierwszej instancji tylko obniżył temu sędziemu wynagrodzenie. Na szczęście Sąd Najwyższy naprawił ten błąd, ale to znów trwało kilka miesięcy.

Wracając do głównego wątku – błędem postępowań dyscyplinarnych jest czekanie na decyzję sądu karnego. Jak to? Przecież członkami sądu dyscyplinarnego są sędziowie, którzy na co dzień rozstrzygają takie sprawy. Jak można więc zakładać, że sami danej sprawy dotyczącej sędziego nie mogą poprowadzić, zbadać ani wydać orzeczenia? W ten sposób doszło do przedawnienia ścigania tej pani sędzi z Poznania.

Reforma KRS nie sprawi, że sądy odzyskają wiarygodność w oczach zwykłych obywateli, a z tym jest poważny problem. Jakie pana zdaniem działania należałoby podjąć?

Przede wszystkim trzeba wyeliminować takie sytuacje, o jakich było głośno ostatnio – kradzieże spodni, pendrive'ów itp. A jeśli już coś takiego się zdarzy, bo do takich sytuacji dochodzi w każdym środowisku, to trzeba bezwzględnie takie zachowania piętnować, wyrzucać z zawodu. Oczywiście po udowodnieniu winy i w przypadku, gdy kara jest adekwatna do niej. Nie za każde przewinienie należy sędziego wyrzucać z urzędu, ale wyrok skazujący za kradzież powinien skutkować natychmiastowym usunięciem z zawodu.

Druga sprawa to szkolenia. Podkreśliłbym jednak, że trzeba u sędziów wykształcić umiejętność mądrego, rozsądnego orzekania opartego na prawie. Stabilność orzecznictwa daje się pogodzić z niezawisłością, ale sędziów też trzeba tego nauczyć. Jeśli podniesiemy poziom orzecznictwa, to i ocena pracy polskich sądów się podniesie. I jeszcze jedno. Musimy zrezygnować z orzeczeń typu 270 tys. zł odszkodowania dla pana Boguckiego, bo normalny obywatel tego rozumem nie ogarnie. Oczywiście nie mówię tu o braku odszkodowań za niesłuszny areszt, ale o bulwersujących przykładach. Sprawa Boguckiego nie polega na tym, że on niewinnie siedział, ale tego, że siedział w innej celi, niż powinien. Jeżeli za to będziemy przyznawać 270 tys. zł, to na pewno dobrej opinii sądy nie odzyskają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Adam Tomczyński
– były wieloletni sędzia, radca prawny, wykładowca Europejskiej Wyższej Szkoły Prawa i Administracji.

eprasa.pl 8322bd21d5

Krzysztof Masłoń

Kraków się

Wrzawa wokół politycznego wykorzystania wzgórza wawelskiego przybrała kuriozalny charakter. Apel tysiąca krakowian uwłacza rozumowi i dobremu wychowaniu

Tysiąc krakowian podpisało apel do metropolity abp. Marka Jędraszewskiego o „przywrócenie Wawelowi należytego szacunku". Są wśród nich ludzie uważani za ważne postaci świata kultury. Jako takie wymieniani są: poeta Adam Zagajewski, były sekretarz Wisławy Szymborskiej – Michał Rusinek oraz bard Leszek Wójtowicz.

Filozofowie Jan Hartman i Adam Grobler oraz językoznawca Jolanta Antas mają w tym gronie reprezentować naukowców, przedsiębiorców zaś – Ewa Bielecka i Cezary Ulasiński. Z sygnatariuszy listu z nazwiska przedstawiono ponadto: marszanda Andrzeja Starmacha, byłego działacza Solidarności Edwarda Nowaka, ekskonsula w USA i Kanadzie Krzysztofa W. Kasprzyka, działacza sportowego Zdzisława Wagnera oraz aktorkę i tłumaczkę Maję Wodecką, żonę Adama Zagajewskiego.

„Wzgórze Wawelskie i Wawelska Katedra są dla każdego Polaka świętością" – czytamy w apelu i aż serce rośnie na myśl, że oto nawet w środowisku KOD ceni się wartości narodowe i patriotyczne, o co wcześniej towarzyszy pracy i walki Mateusza Kijowskiego trudno było podejrzewać. Lektura całości listu niweczy jednak ten podniosły nastrój. By nie być gołosłownym, zacytujmy to dzieło powstałe w okolicach Sukiennic 10 lutego, a tydzień później rozpowszechnione – chałupniczo, na Twitterze przez Hartmana, a bardziej oficjalnie przez „Gazetę Wyborczą":

„Księże Arcybiskupie,

jako mieszkańcy Krakowa zwracamy się do Waszej Ekscelencji – zwierzchnika Archidiecezji Krakowskiej sprawującego pieczę nad Bazyliką archikatedralną – miejscem koronacji i pochówku królów Polski, miejscem spoczynku członków rodzin królewskich, wodzów, przywódców politycznych i wieszczów narodowych.

Wzgórze Wawelskie i Wawelska Katedra są dla każdego Polaka świętością. Z niepokojem obserwujemy, jak to symboliczne dla Polski i drogie sercu każdego Polaka miejsce jest zawłaszczane przez jedną partię polityczną. Jest to kolejny krok w kierunku podziału społeczeństwa. Nie zgadzamy się na polityczne wykorzystywanie Wawelu. Jeszcze nigdy żadna partia polityczna ani żaden polski rząd nie posunął się tak daleko i nie nadużywał Wawelu i Katedry Wawelskiej w taki sposób. To nie jest miejsce na uroczystości partyjne organizowane, nawet, a może zwłaszcza, pod pretekstem odwiedzin grobu pary prezydenckiej. Zwracamy się do Waszej Ekscelencji o ukrócenie tych niegodnych praktyk i przywrócenie Wawelowi należnego mu szacunku. Wawel jest własnością całego narodu, a nie jednej partii, nawet tej, która wygrała wybory i sprawuje władzę".

WESOŁO I POGODNIE

Kto politycznie wykorzystuje Wawel? Zdaniem Hartmana et consortes – oczywiście Jarosław Kaczyński, który śmie przyjeżdżać tam na grób brata oraz bratowej i to w towarzystwie bliskich sobie osób. Ostatnio był z nim m.in. wicemarszałek Sejmu Joachim Brudziński, który po tym, gdy zetknął się z manifestantami trzymającymi w rękach tablice z hasłami w rodzaju najdelikatniejszego: „Wawel królów, nie prezesów" i skandującymi: „Będziesz siedzieć", napisał na Twitterze: „Przyjechałem prywatnie razem z dziećmi pomodlić się na grobie śp. PLK. Dzicz pod Wawelem poznała mnie i wyła, widząc przestraszone dzieci". Czy wśród „dziczy" objawił się subtelny eseista i poeta Adam Zagajewski? Ależ nie, autor „Płótna" ma – zdaje się – inną wizję obecności KOD na mapie ważnych wydarzeń dziejących się w Polsce. „Trzeba chodzić na demonstracje KOD – nauczał już w zeszłym roku w »GW« ten wieczny, zdaniem tejże »Gazety…«, kandydat do literackiego Nobla, a na razie laureat Nobla chińskiego, Zhongkun – być na ulicy, wesoło i pogodnie, nie wzywać do gwałtu ani przemocy, ale mówić otwarcie i dawać świadectwo. Ważne, aby nasi sojusznicy europejscy wiedzieli, co się dzieje w Polsce, nie możemy milczeć". No rzeczywiście, nie tylko Europa, lecz także cały świat powinny wiedzieć o tym, że Jarosław Kaczyński śmie modlić się przy mogile brata bliźniaka i jego małżonki. Czym zakłóca... No właśnie, co zakłóca? Czyżby uniemożliwiał krako-

eprasa.pl 8322bd21d5

FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

stacza

wianom wstęp na Wawel, a poecie Zagajewskiemu deklarującemu się, a jakże, jako katolik odmówienie modlitwy za zmarłych Marię i Lecha Kaczyńskich, co z pewnością zwykł czynić nawet nie w miesięcznicę ich pochówku na Wawelu, ale co tydzień?

Leszek Wójtowicz chciałby z kolei pewnie akurat tego dnia odśpiewać przy sarkofagu w krypcie pod Wieżą Srebrnych Dzwonów swoją „Litanię", którą od 36 lat zadręcza kolejne pokolenia Polaków, a Michał Rusinek wyrecytować sztandarowe dzieło swej patronki, Wisławy Szymborskiej – „Nic dwa razy się nie zdarza" (zdarzyło mu się głośno zastanawiać: „Nie wiem, czy Wisława Szymborska wybrałaby się na demonstrację KOD, kto wie…") lub fragment już własnego poradnika dla dzieci „Jak przeklinać" czy którąś z kryminalnych zagadek napisanych pospołu z Antoniną Kondrat (de domo Turnau).

Za to już nie w trybie przypuszczającym, ale jako pewnik możemy przyjąć stałą aktywność Macieja Maleńczuka w blokadach niedopuszczających Jarosława Kaczyńskiego na Wawel. Autor wiekopomnego dzieła „Ćpałem, chlałem i przetrwałem", wsławiony pobiciem w grudniu działacza pro-life, uważa, że prezes Prawa i Sprawiedliwości jest „jak Polska: mały, brzydki i o zwężonych horyzontach" i z tego powodu, zapewne, chętnie przyłożyłby mu z piąchy, o co byłoby łatwiej, gdyby miał do niego niczym niekrępujący dostęp.

Jeden z organizatorów protestu pod Wawelem, Tomasz Pula, indagowany o to, jak wyobraża sobie dalsze przyjazdy Jarosława Kaczyńskiego do Krakowa, ujął to zgrabnie, acz enigmatycznie: „Powinno się to odbywać w inny sposób". Ktoś tam uściślił, że Jarosław Kaczyński mógłby przychodzić na Wawel pieszo, z wiązanką kwiatów i – jak rozumiemy – samotnie. W następnej kolejności zażąda się od niego pewnie nałożenia worka pokutnego. Wszystko przed nami.

MIEJSCE WSPÓLNEJ TAJEMNICY

Nieodżałowany Zygmunt Kubiak powtarzał i powiedział nawet w PEN Clubie, że wobec pogardliwych zachowań intelektualistów zaczyna się wstydzić przed ludźmi prostymi, że sam jest inteligentem. Po śmierci Lecha Kaczyńskiego i uroczystościach pogrzebowych na Wawelu mniej więcej to samo wyartykułował Jarosław Gowin. Co można do tego dodać dzisiaj? To, że sygnatariusze listu bredzą i nie dają świadectwa prawdzie, lecz jedynie własnej głupocie. A o jakich „niegodnych praktykach" mówią w swoim apelu? Niegodne jest zachowanie pseudointelektualnej hołoty, bo inaczej niepodobna jej nazwać. Tej samej, która gdy chowano na Skałce Czesława Miłosza, lała krokodyle łzy, że oto w królewskim Krakowie znaleźli się ludzie, którzy zakwestionowali zasługi noblisty. Twórcę „Zniewolonego umysłu" złożono jednak obok Stanisława Wyspiańskiego oraz Wincentego Pola i nikomu nie utrudnia się oddawania hołdu poecie, który ubzdurał sobie, że największym nieszczęściem Polaków jest… polskość. A jeśli do jego pochówku się wraca, to w kontekście utyskiwania na polski ciemnogród, z wojny z którym Krakówek uczynił sobie nową świecką tradycję.

A miastu temu ze świeckością jest wybitnie nie do twarzy, dlatego też taki prof. Hartman nie powinien wykładać na Uniwersytecie Jagiellońskim. A w kwestii Wawelu zabierać głosu. Dlaczego? „Wawel, miejsce wiary, łaski, modlitwy. Związek wiary, łaski i modlitwy. Wierzę, więc jestem obdarzony; wierzę, iż jestem obdarzony; proszę, abym został obdarzony – modlił się, notując te zdania w dzienniku 25 lipca 1980 r., Andrzej Kijowski. – Wawel – miejsce tajemnicy. Tajemnica spełnia się w miejscu i czasie. Bóg przenika tę ziemię – przeszywa ją promieniem łaski. Przenika, przeszywa dzieje ludzkości – w Chrystusie, we Wcieleniu, w historii świętej, na Ziemi Świętej. Bóg przenika, przeszywa dzieje każdej ludzkiej wspólnoty, każdej ludzkiej jedności. Miejsca święte narodów. Bóg przenika, przeszywa swoją łaską życie każdego człowieka, każdej duszy z osobna. Spraw, aby miejsce osobistego spotkania z łaską było bliskie spotkania twego rodu, twego narodu, twego gatunku. Im bliższy jesteś ludzkości w tym osobistym przedmiocie łaski – objawieniu – wcieleniu, odkupieniu – tym jesteś duchowo bogatszy, szerszy, szczęśliwszy.

Dlatego te miejsca wspólnej tajemnicy to są także miejsca wierności.

Dochować wiary ojców – to nie jest frazes retoryczny: to zasada osobistego i zbiorowego trwania. Nie ma szczęśliwego człowieka, który by zaparł się wiary swej matki. Może ją – i powinien – wyrazić na nowo, ale zachować wierność dla podstawy. Albowiem ludzkość posuwa się naprzód, trwając w miejscu. Budować zawsze na tym, co zbudowali poprzednicy. Nie wyprzedzać, nie wracać dalej niż poprzednicy. Posuwać się krok za krokiem, nie tracąc łączności".

eprasa.pl 8322bd21d5

Kraków świecki to Kraków z absurdu, z Kantora rodem, dziwaczny, ale jakoś tam funkcjonujący, zasługujący na uwagę. Na co jednak, poza wzgardą, zasłużył sobie Krakówek, który katolicki jest tylko nominalnie, ten powtarzający za Adamem Zagajewskim slogany rodem z ulicy Wiślnej: „Uważam się za patriotę i jestem katolikiem, ale z całą pewnością nie jestem narodowym katolikiem"?

SIEWCA ZŁEJ NOWINY

„Jak czuwać w czasach trudnych i jak na przekór możnym tego świata budować wielkość Rzeczypospolitej, pokazywali nam marszałek Józef Piłsudski i generał Władysław Sikorski, którzy również spoczywają w murach tej Katedry. Jak troskliwie pamiętać o polskich bohaterach z czasów drugiej wojny światowej i czasu zniewolenia za rządów tzw. władzy ludowej oraz jak mocą tej pamięci budzić nas z duchowego letargu, ukazywał prezydent Rzeczypospolitej Polskiej profesor Lech Kaczyński, który oddał swe życie na służbie Ojczyźnie w katastrofie smoleńskiej i wraz ze swoją małżonką spoczywa na Wawelu od prawie siedmiu już lat" – tak mówił ks. abp Marek Jędraszewski w homilii wygłoszonej podczas ingresu do katedry krakowskiej 28 stycznia 2017 r. Minęło ledwie kilkanaście dni i już lewaccy katolicy z Krakówka postanowili poddać nowego metropolitę próbie, która w istocie żadną próbą nie jest. Marek Jędraszewski już wcześniej ogłoszony wszak został „biskupem z PiS-u", a płynąca z jego ust krytyka ideologii gender i zachowań środowisk LGBT przysporzyła mu zaciętych wrogów powtarzających w ślad za „znawcą" problematyki kościelnej, Adamem Szostkiewiczem z „Polityki" (kiedyś „Tygodnik Powszechny"), że jest on „siewcą złej nowiny", a sama jego nominacja w miejsce przechodzącego na emeryturę kard. Stanisława Dziwisza nazwana została „pomyłką papieża Franciszka".

Sygnatariusze apelu do abp. Jędraszewskiego zachowują się tak, jakby nie słyszeli o konflikcie wokół pochówku na Wawelu Józefa Piłsudskiego. Pierwsza, łagodniejsza jego część zakończyła się – po negocjacjach Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego kierującego Naczelnym Komitetem Uczczenia Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego z metropolitą krakowskim ks. abp. Adamem Sapiehą – wspaniałym pogrzebem Marszałka 18 maja 1935 r. Drugie starcie, znacznie dotkliwsze, odbyło się po dwóch latach, kiedy arcybiskup przeniósł kryształową trumnę z zabalsamowanymi zwłokami Piłsudskiego z krypty św. Leonarda pod Wieżę Srebrnych Dzwonów. Najważniejszym powodem były – według Sapiehy – tłumy odwiedzające Wawel bez poszanowania powagi katedry.

Protestowano jak Polska długa i szeroka, domagając się – głównie za to, że ośmielił się sprzeciwić woli prezydenta – zamknięcia bp. Sapiehy w więzieniu, zesłania do Berezy, pozbawienia go polskiego obywatelstwa, wygnania z kraju. Premier Felicjan Sławoj Składkowski w obliczu „bezprzykładnej" samowoli arcybiskupiej podał swój rząd do dymisji, co jednak odrzucił prezydent Ignacy Mościcki. Po erupcji zupełnie niesłychanych emocji powrócono do sprawdzonego trybu negocjacyjnego i przy pomocy Watykanu osiągnięto kompromis kończący gorszący spór, o którym zdaje się podpisujący list do abp. Jędraszewskiego nie słyszeli, w przeciwnym bowiem razie nie wypisywaliby andronów o rzekomo niemającym precedensu „politycznym wykorzystywaniu Wawelu". Niewątpliwie cały tamten spór był największym konfliktem w II RP w stosunkach państwa z Kościołem, a nie przybrałby takich rozmiarów, gdyby ksiądz i książę w jednej osobie, Adam Stefan Sapieha, miał do Piłsudskiego stosunek mniej wrogi.

Sygnatariusze apelu zachowują się tak, jakby nie słyszeli o konflikcie wokół pochówku na Wawelu Józefa Piłsudskiego

Jaki jest stosunek części opinii publicznej do Jarosława Kaczyńskiego, pokazuje głośna ostatnimi dniami sprawa wystawienia przez Teatr Powszechny „Klątwy" (na motywach Wyspiańskiego!), obscenicznego bluźnierstwa wyreżyserowanego przez chorwackiego prowokatora Olivera Frljicia, w trakcie którego deliberuje się publicznie o ewentualności zabójstwa prezesa PiS.

Z czego się biorą zachowania wywołujące w nas wstyd, cóż z tego, że za kogoś? Krzysztof Kamil Baczyński w wierszu „Polacy" przestrzegał:

Bo kto nie kochał kraju żadnego i nie żył
chociaż przez chwilę jego ognia drżeniem
i chociaż w dniu potopu w tę miłość nie wierzył –
to temu żadna ziemia nie będzie zbawieniem.

We wstępie do „Żniwa lat pięćdziesięciu", książki sumującej jego dorobek literacki, nieżyjący, niestety, Jerzy Narbutt stwierdził (w 2007 r.): „W toczącej się obecnie bitwie o Polskę możemy przechylić szalę i sprawić, by było w niej więcej Polski i tylko o tyle, o ile będzie w niej więcej prawdy". Co się od tamtej pory zmieniło?

CZASÓW NIKCZEMNOŚĆ ZROBIŁA SWOJE

Jest takie zapomniane dzieło Artura Górskiego, który w zupełnie innych warunkach, w innym czasie pisał: „Czasów nikczemność zrobiła swoje. Tak długo panowała ona niewzruszona nad biegiem wydarzeń, że poczęto w nią wierzyć jako w jedno z kardynalnych praw żywota...

Jest więc gra na śmierć i życie – ale na śmierć bez chluby, na zadławienie się marnością, stoczenie okropne w upodlenie, ze stopnia na stopień, coraz niżej, gdzie już bolą nawet resztki własnego szacunku.

Tu trzeba zejść w samą głąb. Dalej niż do ludu, dalej niż do mogił – głębiej – głębiej, aż tam, gdzie w otchłaniach śpią metale...

Z tych metali trzeba wykuć zbroję tak hartowaną, by nie pękła pod naciskiem podłości w powietrzu, a w piersi, w miejscu Świętym-Świętych zbudować ołtarz przymierza z Wiecznym – narodu Monsalwat.

A potem?".

No właśnie. Arturiańska legenda mówi, że to na tej dzikiej i niedostępnej górze ukryty jest w postaci kamienia Święty Graal. Abstrahując od innej znanej legendy – czakramu wawelskiego, nasz polski Monsalvat może być tylko w jednym miejscu – na wawelskim wzgórzu. Trudno zaakceptować tutaj właśnie pikietę KOD. Co tam, trudno; to wykluczone.

Kraków liczy sobie ponad 760 tys. mieszkańców. W porównaniu z tą liczbą tysiąc tych, którzy złożyli podpis pod głupstwami uwłaczającymi rozumowi i dobremu wychowaniu, to niewiele. Robi on jednak wiele hałasu i to, niestety, nie o nic. Tu idzie bowiem o Polskę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

Czy można outsourcować pracownika?

W dobie, kiedy firmy zlecają na zewnątrz obsługę księgową, informatyczną czy prawną, powstaje pytanie, czy można innej firmie przekazać swoich pracowników. Teoretycznie outsourcing pracowniczy nie istnieje w polskim prawie. W praktyce niektórzy próbują go stosować

FOT. FOTOLIA

Słowo „outourcing" w języku polskim, oznacza ni mniej, ni więcej: korzystanie ze źródeł zewnętrznych. Są na rynku oferty outsourcingu pełnego i outsourcingu selektywnego. W pierwszym przypadku cały wybrany segment działalności zlecamy do kompleksowej obsługi na zewnątrz, w drugim – wybieramy poszczególne aspekty do obsługi przez zewnętrzną firmę.

Outsourcing usług, bo o nim mówimy, obejmuje najczęściej: księgowość, kadry, szkolenia, administrację systemów informatycznych, marketing, obsługę prawną czy obsługę klienta. W ostatnich jednak latach część przedsiębiorstw zdecydowała się outsourcować swoich pracowników. W praktyce wyglądało to tak, że pracownicy przechodzili do firmy zewnętrznej, a ta teoretycznie świadczyła usługi dla przedsiębiorstwa, które ich przekazało. De facto więc pracownicy zmieniali pracodawcę bez zmiany miejsca zatrudnienia. Nowy pracodawca w rzeczywistości prowadził tylko obsługę kadrowo-płacową pracowników. Dzisiaj podmioty, które zdecydowały się na taki zabieg, mający zoptymalizować koszty działania firmy, muszą opłacić zaległe podatki i składki na ubezpieczenia społeczne, a sądy gremialnie potwierdzają, że do żadnej zmiany pracodawcy nie doszło. Dlaczego?

W polskim prawie nie funkcjonuje termin „outsourcing pracowniczy". Mamy outsourcing usług, ale nie mamy outsourcingu pracowników. Jak stwierdzili przy okazji jednej z kontroli eksperci z Najwyższej Izby Kontroli, próba outsourcowania pracowników oznacza ich uprzedmiotowienie, stają się oni wówczas podobni do narządzi pracy, a tego nie można akceptować. Prawa pracownicze są przez ustawodawstwo każdego cywilizowanego państwa, szczególnie chronione. Jeżeli więc przedsiębiorca chciałby przekazać – zgodnie z prawem – swoich pracowników firmie zewnętrznej, to musiałby zastosować art. 23^1 Kodeksu pracy, który mówi o przejściu części lub całości zakładu pracy na innego pracodawcę. Z zatrudnieniem pracownika najczęściej wiąże się zapewnienie konkretnego miejsca pracy i narzędzi jej wykonywania. Zgodnie więc z przytoczonym artykułem nie można oderwać pracownika od miejsca pracy i narzędzi jej wykonywania. Jeżeli bowiem przekazalibyśmy firmie zewnętrznej samego pracownika, to gdzie i jak miałby wykonywać on swoją pracę? W przypadku przedsiębiorstw, które zdecydowały się na przekazanie (wyoutsourcowanie) samych pracowników, doszło do sytuacji, w której oni, jako zatrudnieni w innej firmie, wykonywali swoje zadania u dotychczasowego pracodawcy i na dotychczas używanym sprzęcie. Nie było więc żadnego przejęcia ani całości, ani nawet części zakładu pracy. Co więcej, nadzór nad tymi osobami sprawowali nadal ci sami kierownicy. Uprawnione jest więc twierdzenie, że nowy pracodawca był pracodawcą teoretycznym – tylko na papierze. Część z firm, które skorzystały z tzw. outsourcingu pracowniczego, twierdzi, że przecież na podobnej zasadzie działają agencje pracy tymczasowej. Jest to jednak błędne twierdzenie. Praca tymczasowa bowiem, z samej już tylko nazwy, jest tymczasowa (sezonowa, okresowa, doraźna) i dotyczy tych zadań, których zatrudnieni w danej firmie pracownicy nie mogliby terminowo wykonać, lub zadań wykonywanych w zastępstwie nieobecnego pracownika.

Konsekwencje zawarcia pozornych umów outsourcingowych (podkreślam, że outsourcingu pracowników w Polsce nie ma) są niejednokrotnie bardzo dotkliwe finansowo. Jeżeli bowiem Zakład Ubezpieczeń Społecznych i Urząd Skarbowy stwierdzą, że pracodawcą wcale nie jest podmiot, który widnieje na papierze, ale ten, u którego realnie nadal wykonują zadania pracownicy, to właśnie ten drugi musi zapłacić wszystkie zaległe składki na ubezpieczenia społeczne i podatki wraz z odsetkami. Pracownik musi być chroniony przed przerzucaniem między różnymi firmami i traktowaniem go jako przedmiot.

eprasa.pl 8322bd21d5

Kamila Baranowska

Frontowy Platformy

Borys Budka ma cechę ważną w polityce – potrafi w dobrym momencie wskoczyć na falę, która go potem niesie. Taką falą było dla niego wejście do rządu Ewy Kopacz, a później sprawa Trybunału Konstytucyjnego

Ostatnią falą, na którą wskoczył, był wypadek samochodowy kolumny, w której jechała premier Beata Szydło. Wypadek wydarzył się późnym wieczorem w piątek, a już w sobotę na miejscu zdarzenia konferencję prasową organizowało dwóch posłów opozycji. Jednym z nich był Borys Budka z Platformy Obywatelskiej. – Ten młody człowiek został pozostawiony wczoraj samemu sobie. To, co się dzieje od wczoraj, jest czymś na niespotykaną skalę – grzmiał. Wraz z posłem Nowoczesnej, Markiem Sową, znaleźli młodemu kierowcy prawnika i obiecali swoje wsparcie w „zderzeniu z państwem PiS". – To była reakcja na słowa ministra Błaszczaka, który od razu uznał tego chłopaka za winnego, a resztę konferencji poświęcił na demagogiczne wywody. Widziałem minę tego chłopaka, gdy tego wspólnie słuchaliśmy. Musieliśmy zareagować – tłumaczy „Do Rzeczy" Budka.

Internauci i dziennikarze natychmiast jednak przypomnieli mu, że nie zareagował tak ochoczo, kiedy o pomoc prosił go – jako ministra – ojciec Macieja Dobrowolskiego, kibica, który bez wyroku spędził w areszcie trzy lata. – Byłem u ministra Budki, prosząc, by przyjrzał się sprawie Maćka. Poklepał mnie po ramieniu, powiedział, że współczuje, ale nie może nic zrobić – wspominał w 2015 r. w „Do Rzeczy".

Budka przyznaje, że pamięta tamto spotkanie. – Było wobec mnie oczekiwanie, bym wpłynął na decyzję sądu, a to wykraczało poza moje kompetencje. Nie będąc prokuratorem generalnym, nie miałem też wpływu na to, co robi prokuratura. Sprawdziłem harmonogram postępowania, bo to jedyne, co mogłem zrobić – tłumaczy się.

NIEZNANY MINISTER

Na szerokie polityczne wody Borys Budka wypłynął stosunkowo niedawno, w kwietniu 2015 r., gdy premier Ewa Ko-

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 8322bd21d5

pacz pilnie potrzebowała nowego ministra sprawiedliwości, bo Cezarym Grabarczykiem zaczęła się interesować prokuratura. Ktoś podsunął jej nazwisko Budki – niewyróżniającego się i nierozpoznawalnego także w samej Platformie (Ewa Kopacz podczas prezentacji nazwała go Borysławem) posła ze Śląska z wykształceniem prawniczym. Rząd Kopacz opierał się na zasadzie równoważenia wpływów poszczególnych partyjnych frakcji, a jego nominacja nie stanowiła dla nikogo zagrożenia.

To był moment przełomowy w politycznej karierze Borysa Budki. Jeszcze w 2011 r. zdobył mandat poselski, uzyskując nieco ponad 10 tys. głosów, po pół roku ministrowania w wyborach w 2015 r. dostał ich już prawie 38 tys. Dzisiaj Budka należy do grona najczęściej występujących w mediach polityków Platformy Obywatelskiej. – To była dobra intuicja kadrowa pani premier Kopacz. Świetnie wszedł najpierw w rolę ministra, a później w rolę jednej z twarzy opozycji, polityka, który z energią i zaangażowaniem walczy o przestrzeganie konstytucji. To poseł z ogromnym potencjałem, jest politycznym odkryciem 2016 r. – chwali go Tomasz Siemoniak, poseł PO i były minister obrony.

– To, że zacząłem się często pojawiać w mediach, jest efektem pewnej konsekwencji i okoliczności – mówi Budka. – W poprzedniej kadencji pracowałem w czterech komisjach, byłem posłem, który najczęściej występował w Trybunale, i kierowałem resortem sprawiedliwości, więc naturalnie zostałem wyznaczony do pilnowania tych spraw. A PiS i minister Ziobro od początku swoimi pomysłami dają mi spore pole do popisu – mówi Budka.

W PIERWSZEJ LINII

Rzeczywiście, to Budka stanął na pierwszym froncie walki o Trybunał Konstytucyjny, stając się bohaterem najradykalniejszego antypisowskiego elektoratu. A im ostrzej się wypowiadał, tym chętniej był zapraszany do mediów. – Ten bubel prawny, ten zamach na demokrację to tak naprawdę realizacja chorego planu Jarosława Kaczyńskiego i podległych mu funkcjonariuszy stanu wojennego. To idée fixe: zniszczyć niezawisły organ, by już nic nie przeszkadzało PiS w łamaniu konstytucji – mówił o nowelizacji ustawy o TK. Ostatnio zaś zapowiadał, że gdy tylko PO dojdzie do władzy, Duda, Kaczyński i Szydło staną przed Trybunałem Stanu. – Historia pokazuje, że takie rzeczy trzeba robić od razu – stwierdził.

Piotr Pyzik, poseł PiS z tego samego okręgu co Budka, stwierdza: – Zawsze robił wrażenie człowieka merytorycznego, ale dziś jest elementem opozycji niekonstruktywnej, więc jego cała aktywność sprowadza się do walki z PiS.

Budki broni Siemoniak. – Wszyscy się radykalizujemy, bo czasy w polityce są, jakie są. Ja też pewnie wypowiadam się ostrzej niż parę lat temu, dziś polityka wymaga wyrazistych komentarzy – podkreśla.

Jacek Żalek, kiedyś poseł Platformy, dziś wiceszef klubu PiS, uważa, że ostry ton Budki to czysta kalkulacja. – On kiedyś należał do posłów, którzy stawiają na merytoryczną pracę, odwołują się do przepisów prawa, nie emocji, i za to był ceniony np. przez kolegów z komisji ustawodawczej – mówi „Do Rzeczy". – Mam wrażenie, że po pewnym czasie doszedł do takiego samego wniosku jak kiedyś Palikot, któremu poklask przyniosła nie praca w komisji Przyjazne Państwo, lecz atakowanie śp. prezydenta. Budka kalkuluje dziś podobnie. Wie, że im mocniejszych słów użyje, tym lepiej się przebiją w mediach, dlatego się radykalizuje i nie zważa już na to, czy to, co mówi, ma związek z rzeczywistością. Wiadomo, że jeśli zarzuci PiS dyktaturę, to będzie miał cytowania – dodaje.

– Jeśli ktoś posługuje się radykalnym i populistycznym językiem, a tak robi PiS, to obnażyć to można, tylko używając takiego samego języka. Pewnie, że wolałbym pracować w spokoju, tak jak kiedyś w Sejmie, ale to, co dziś robię i mówię, nie wynika z żadnego wyrachowania, lecz z pełnego przekonania, iż PiS dokonuje demontażu, a raczej demolki państwa – odpowiada Budka. – Mam albo wielbicieli, którzy mówią, że jestem zbyt łagodny, albo totalnych hejterów. Szkoda, ale tak wygląda dziś polityka – dodaje.

Politycy Platformy chwalą Budkę za to, że potrafi szybko reagować na wydarzenia i zawsze jest tam, gdzie coś się dzieje. Czy sprawa dotyczy Trybunału, czy wycinki drzew, czy wypadku pani premier, czy reformy służby zdrowia – zawsze jest gotów do natychmiastowego zorganizowania konferencji prasowej. Czasami prowadzi go to zresztą na manowce. Jak wtedy, gdy dołączył do protestu emerytowanych pracowników służb mundurowych przed Sejmem przeciwko ustawie dezubekizacyjnej i stanął na scenie obok płk. Adama Mazguły, który dowodził, że „w stanie wojennym dochowywano kultury" oraz panowała „solidarność narodu z wojskiem i policją [nie milicją – przyp. red.] na ulicach". Budka nie zareagował na te słowa, z czego później musiał się tłumaczyć, a od płk. Mazguły odcinać. A zdjęcia, na których stoi ramię w ramię z obrońcą stanu wojennego, poszły w świat.

CZŁOWIEK SCHETYNY

Budka, choć do wielkiej polityki wciągnęła go Ewa Kopacz, dziś gra w jednej drużynie z Grzegorzem Schetyną. I to mimo że w 2015 r., po przegranych przez PO wyborach, wystartował przeciwko niemu w wyborach na przewodniczącego partii. Szybko się z tego wyścigu wycofał, popierając Schetynę. Po wygranej Schetyna zrobił Budkę wiceprzewodniczącym partii. W gabinecie cieni PO jest odpowiedzialny za sprawy wewnętrzne i administrację. Dlaczego nie sprawiedliwość? Budka odpowiada, że gabinet cieni to praca zespołowa i chodzi o wzajemne uzupełnianie się, a on lubi nowe wyzwania.

– Dzisiaj Budka jest Schetynie potrzebny, by neutralizować protuskowych posłów, takich jak Nitras czy Pomaska. Budka jest równie rzutki i medialnie sprawny, więc zagarnia pole, które tamci chcieliby zagospodarować – uważa poseł Żalek.

Budka trafił do Sejmu w 2011 r., wcześniej działał w samorządzie jako radny Zabrza. W 2014 r. jako kandydat Platformy startował przeciwko wieloletniemu prezydentowi Gliwic Zygmuntowi Frankiewiczowi. Przegrał. Do samorządu wracać raczej nie zamierza. – Są osoby, które mnie namawiają, ale boję się, że samorząd po zmianach wprowadzonych przez PiS będzie wyglądał już całkiem inaczej. Jednak w polityce nigdy nie mówi się nigdy – komentuje.

Z wykształcenia jest prawnikiem i doktorem nauk ekonomicznych. Przez wiele lat aktywnie wykonywał zawód radcy prawnego, zawiesił praktykę, gdy został ministrem, cały czas wykłada też na uczelni. Profesor Krystyna Pawłowicz (PiS), też prawnik, tyle że z drugiej strony politycznej barykady, przyznaje, że Budka jest elokwentny, potrafi dobrze mówić i ma wiedzę praktyczną. – Tyle że jest to wiedza niezakorzeniona głęboko w doktrynie. Ludzie, którzy nie znają się na prawie, słuchając jego aktorskich przemówień, mogą ulec wrażeniu, że ma rację, a często tak nie jest. Odnosi się do różnych kwestii wybiórczo i interpretuje je politycznie, co jednak trzeba nazwać manipulacją – ocenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

Piotr Gociek

„Belle Epoque" rozczarowuje niemal wszystkim. Poza wynikami oglądalności

Niepiękna

Dwaj dżentelmeni mierzą do siebie z pistoletów, gdy pada hasło: „Pal!", jeden zabija drugiego. Czym jest niezwykle zdumiony, bo zabijać nie zamierzał. Pechowym strzelcem jest Jan Edigey-Korycki (Paweł Małaszyński). Tylko widzowie wiedzą, że sytuacja jest dużo bardziej skomplikowana i tajemnicza – otóż jednocześnie z pojedynkującymi się panami wystrzelił jakiś kryjący się w oddali za drzewami osobnik. Jak się domyślamy, to on odpowiada za jatkę. Ale dlaczego?

Szybkiej odpowiedzi nie będzie. Na razie skonfundowany Jan słyszy jeszcze od kobiety, którą kocha (Konstancja – Magdalena Cielecka, zabity zaś był jej bratem), żeby się jej więcej na oczy nie pokazywał. I tak też robi. Wyjeżdża z Krakowa. Mamy rok 1898.

Z EGZOTYCZNYCH MÓRZ DO KRAKOWA

Tak rozpoczyna się nowy serial TVN „Belle Epoque", jedna z głównych atrakcji wiosennej ramówki stacji. Po czołówce wracamy do Krakowa, a napis informuje widzów, że jest już 10 lat później. Jan Edigey-Korycki wraca na stare śmieci. Podczas jego nieobecności (żeglował po egzotycznych morzach, czego pamiątką jest efektowny tatuaż na plecach) wiele się zmieniło – jego matka została zamordowana, a najlepszy przyjaciel, Henryk Skarżyński (Eryk Lubos), wraz z siostrą Weroniką (Anna Próchniak) otworzył laboratorium kryminalistyczne. Policja właśnie próbuje rozwikłać sprawę krwawej zbrodni – w miejskim stawie znaleziono kobiecą głowę – a organy ścigania objawiają się w osobie nadkomisarza policji Ferdynanda Jelinka (Olaf Lubaszenko niemiłosiernie naśladujący Mariusza Dmochowskiego).

Pierwszy odcinek zawiązuje akcję i wprowadza na scenę wszystkie istotniejsze figury opowieści. Do osób wymienionych wyżej powinniśmy jeszcze dodać ojca głównego bohatera (starszym Edigeyem jest Edward Linde-Lubaszenko), współpracownika nadkomisarza Jelinka, niejakiego Kazaneckiego (Eryk Kulm jr) oraz prostytutkę imieniem Mila, która często osładza chwile żeglarzowi marnotrawnemu, który po powrocie do Krakowa zatrzymał się w hotelu – tym samym, gdzie niegdyś baraszkował potajemnie z ukochaną Konstancją.

Sprawa zabójstwa matki Edigeya-Koryckiego oraz sprawa bezgłowych zwłok okażą się ze sobą związane – zagadkę uda się wyjaśnić dzięki naszemu obieżyświatowi i jego zaprzyjaźnionym fachowcom laboratoryjnym. Pod koniec pierwszego odcinka pojawi się także na horyzoncie dawna miłość Jana, z jej powodu zdecyduje się on jednak w Krakowie pozostać. Drugi odcinek pokazuje już, jak struktura opowieści wygląda – Edigey zostaje zatrudniony w krakowskiej policji jako asystent kryminalny, każdy kolejny epizod będzie opowiadał o nowej zagadce kryminalnej, a jednocześnie podsuwał nowe tropy, jeśli idzie o rozwiązanie zagadki głównej, czyli pechowego pojedynku sprzed lat. W trzecim odcinku do grona postaci związanych z losem bohatera dołączy jeszcze tajemniczy antykwariusz, który jest w posiadaniu broni użytej we wspomnianym pojedynku. Ciąg dalszy w środy wieczorem w telewizji TVN, całość liczy 10 odcinków.

W PORYWACH PRZECIĘTNY

Kiedy próbuję rzecz streścić, wygląda obiecująco, rzeczywistość jest jednak mniej różowa, niż chciał tego dział

eprasa.pl 8322bd21d5

W „Belle Epoque" zbyt wiele miejsc wygląda jak teatralna dekoracja. Na zdjęciu Eryk Lubos jako Henryk Skarżyński (z lewej) i Paweł Małaszyński jako Jan Edigey-Korycki FOT. MIROSŁAW SOSNOWSKI/TVN

epoka

promocji TVN suflujący dziennikarzom, że to polska odpowiedź na brytyjskie kryminały historyczne „Peaky Blinders" i „Ripper Street". Do tych wzorów serialowi „Belle Epoque" daleko, choć na razie nie przeszkodziło to widzom – pierwszy odcinek oglądało 2,9 mln osób, więc jak na polskie warunki liczba naprawdę pokaźna. Co piąty telewidz wybrał wtedy propozycję TVN.

Owo zainteresowanie dowodzi bez wątpienia dwóch rzeczy: po pierwsze – jak sprawna była machina promocyjna TVN, po drugie – jak mocno polscy widzowie spragnieni są seriali historycznych, nawet niezbyt udanych. Równie mocno reklamowany „Bodo" w TVP1 zaczął od 3,8 mln widzów w niedzielne wieczory, potem oglądalność spadała. Zauważmy przy okazji, że zarówno „Belle Epoque", jak i „Bodo" to produkcja Akson Studio Michała Kwiecińskiego obsługującego w zależności od zamówień rozmaite anteny. Tam powstawały zarówno polsatowski „Hotel 52", jak i hit telewizji publicznej – „Czas honoru", oraz „Magda M." i „Teraz albo nigdy!" dla TVN, a także „Misja Afganistan" dla Canal+.

Nie wiem, na ile starczy widzom cierpliwości do śledzenia losów Jana Edigeya-Koryckiego, wiem natomiast, że „Belle Epoque" to serial zły, chwilami najwyżej przeciętny. Zły dlatego, że zbyt wiele rzeczy brzmi w nim fałszywie. Poczynając od muzyki (niepotrzebnie współczesnej i po prostu przeszkadzającej w odbiorze), kończąc na realiach świata przedstawionego.

Nadużyciem jest mówienie, że to kostiumowa superprodukcja – kostiumy są, owszem, ale w narracji pośpiech i taniznę widać na każdym kroku, o wiele bardziej niż w serialu „Bodo" tej samej ekipy. Przyczyna jest oczywista – prywatny inwestor, czyli TVN, lepiej liczy pieniądze i uważniej pilnuje budżetu niż TVP. Nie ma pieniędzy, więc nie ma miejsca i na oddech, ujęcia są wąskie, kamera prześlizguje się tylko po budynkach, trzeba bardzo pilnować, żeby nie zjechała na współczesne jezdnie ani kubły na śmieci. Pośpieszny jest montaż, jakby twórcy gnali od sceny do sceny wystraszeni, że za każdą zmianę tempa zostaną wyrzuceni z roboty.

Fałszywie wyglądają wnętrza, bardziej przypominające kancelarię adwokacką Magdy M. z zupełnie innego serialu niż biura z czasów c.k. monarchii. Recenzentka „Polityki", Aneta Kyzioł, celnie zauważa, że produkcja musiała się „zmieścić w estetycznym kanonie wypracowanym przez stację. Który w skrócie można nazwać glamour". I dalej: „Kadry są niczym wypolerowane, bohaterowie oprani i odprasowani, z każdej sceny niemal czuć zapach perfum [...] prostytutki z burdelu – jak z żurnala. Zniszczone, sponiewierane, na wpół bezzębne koleżanki po fachu z seriali brytyjskich i amerykańskich mogłyby wziąć z nich przykład" – kpi Kyzioł, a ja się pod tą kpiną chętnie podpiszę. To prawda, taki jest świat TVN, ta estetyka „sukces polo", której najlepszym przykładem są kinowe komedie romantyczne ze stajni TVN. Świat, w którym byle biuro, byle redakcja, byle mieszkanie (ale warszawskie!) musi wyglądać co najmniej jak hotel Westin.

Taką przesadę mamy też w „Belle Epoque", tanią przesadę, bo zbyt wiele miejsc wygląda jak teatralna dekoracja. Choćby knajpohotel, w którym zatrzymał się Edigey-Korycki – odtworzenie wnętrza z epoki z pieczołowitością znaną z produkcji BBC kosztowałoby słono,

eprasa.pl 8322bd21d5

postawiono więc parę wypolerowanych stolików w studiu, dołożono schody i bar, wszystko wygląda jak scenografia benefisu Jerzego Połomskiego i ma udawać „piękną epokę".

Czasem ta oszczędność i teatralność ma efekt komiczny. Mamy oto laboratorium kryminalistyczne, w którym salkę, gdzie dokonywane są autopsje, dzieli kilkanaście kroków od miejsca badań (i rozmów objaśniających sprawy). Tam na stole leży sobie ciało sprzed trzech miesięcy, dodatkowo gnijące przez ten czas w wodzie, a tu nasi wymuskani bohaterowie nawet noska nie skrzywią, o chustce na twarzy nie wspominając. Widać, brzydkie odory ulotniły się na mocy jakiegoś cesarsko-królewskiego edyktu. (Może by tak dziś z krakowskim smogiem?).

BOHATER Z PAPIERU

Nie przeszkadzałoby mi to wszystko, gdyby bohaterowie i emocje były w tym serialu prawdziwe – znaczy wiarygodne. Nie na takie inscenizacje człowiek przymykał oko, kiedy wciągała go intryga albo uwiodły dialogi. Niestety, w tych dziedzinach twórcy „Belle Epoque" także fałszują co niemiara.

O motywacjach postaci wiemy bardzo niewiele, więc robią wrażenie papierowych. Na wiarę musimy przyjmować rzeczy podstawowe – np. to, że Edigey-Korycki jest geniuszem detektywistycznym. Nadkomisarz Jelinek mówi, że to tylko intuicja, sam bohater – że „obserwowanie i wyciąganie wniosków". Gdzie jednak uczą fachu Sherlocka Holmesa? Cóż takiego przydarzyło się krakowskiemu asystentowi kryminalnemu, że naraz taki z niego as dedukcji? Czy można poważnie traktować jego tłumaczenie, że przez jakiś czas był w chińskim więzieniu, gdzie nie rozumiał języka, więc nauczył się czytać emocje z ludzkich twarzy? A może był świetnym detektywem już przed wyjazdem z Krakowa? Po co więc wyjeżdżał, zamiast od razu zająć się rozwikłaniem zagadki podejrzanego pojedynku?

Dialogi wołają o solidną redakcję, bo za często postacie powtarzają to, co już do widza dotarło („Sporo już wiemy, ale nadal nie wiemy, kim była" – z mądrą minką obwieszcza Małaszyński), albo wpadają w wielosłowie. To jest w końcu film – telewizyjny, odcinkowy, ale film – po to mamy obraz, żeby nam coś przekazywał, a nie żeby jak w telenoweli bohater zapowiadał, że coś zrobi, potem mówił, że to robi, a potem innych informował, że coś właśnie zrobił. Z tym, co i jak mówią postacie w „Belle Epoque", jest jednak większy problem – otóż wszystko to jest kompletnie odklejone od świata, który podobno ma nam serial odtworzyć.

Pamiętają państwo komedię Janusza Majewskiego „C.k. dezerterzy"? Proszę sobie przypomnieć zróżnicowanych bohaterów z austriackiej armii – Polaków, Węgrów, Niemców, Czechów, Słowaków, Żydów, a nawet milkliwego gościa, o którym wszyscy mówią, że niczego nie rozumie, bo to Hucuł. Monarchia austro-węgierska była tyglem narodów, Kraków był jednym z jej ważniejszych miast – mieszały się tu nacje, gwary, profesje. Spiskowali rewolucjoniści, knuli dynamitardzi, działało polskie niepodległościowe podziemie. Majewski w swoim filmie oddał wielobarwność c.k. monarchii po mistrzowsku. W „Belle Epoque" wszyscy bohaterowie mówią tak, jakby byli członkami jednej nacji – absolwentów szkoły aktorskiej w Łodzi (w dodatku niektórzy ewidentnie powinni mieć poprawkę z dykcji). Żydowski stolarz Hirsch mówi polszczyzną równie XXI-wieczną jak nadkomisarz Jelinek – przebierz go we współczesne ciuchy, a nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że to obywatel wyznania mojżeszowego urodzony w XIX stuleciu.

Dotykamy innej istotnej kwestii – ów wielonarodowy tygiel nie był idyllą, a Kraków nie był wolnym miastem, lecz dawną polską stolicą pod austriackim zaborem. Nawet jeśli była to okupacja lżejsza od pruskiej czy rosyjskiej, to jednak zabór, a nie członkostwo w Unii Europejskiej. Gdzież ta prawda historyczna, gdzież te napięcia, gdzież wreszcie polityka, o którą tak ostro kłócono się w Krakowie i w całej monarchii? Kim są nasi bohaterowie – spolszczonymi Austriakami, Polakami współpracującymi z austriacką policją? Jakim językiem mówią w domu, a jakim w pracy? Cóż to za absurdalna telewizyjna, serialowa utopia, w której Kraków roku 1908 jest owych wszystkich pól konfliktu pozbawiony? To tak, jakby kręcić film „Michael Collins", nie zauważając, że Irlandia okupowana jest przez Anglików.

Dobre wyniki oglądalności „Belle Epoque" oznaczają, że proces demoralizacji polskiego rynku serialowego trwa w najlepsze

KIEPSKI FAST FOOD

Oczywiście jest jeden wyjątek od wspomnianej wyżej zasady – kwestia żydowska. Serial nie może się obejść bez tłumu wołającego: „Zabić Żyda!" (w drugim odcinku), ulubioną lekturą nadkomisarza Jelinka jest „antysemicki szmatławiec", a on sam rzuca teksty w rodzaju: „Oszczędzi nam niepotrzebnego ajwaju. Nie potrzebujemy tu drugiej sprawy Dreyfussa". Naprawdę to wyczerpuje kwestię etnicznego zróżnicowania Krakowa sprzed stu lat?

Podczas krakowskiej premiery serialu Edward Miszczak z TVN porównywał „Belle Epoque" z serialem „Tabu" (BBC), którego współtwórcą jest m.in. Ridley Scott. „Tom Hardy a Paweł Małaszyński – nie ma żadnej różnicy. W »Tabu« tajemnicza postać pojawia się na ulicach Londynu. Tu – na ulicach Krakowa" – opowiadał Miszczak. I z dumą obwieścił, że już zamawia drugi sezon. Cóż, „Belle Epoque" dzieli od „Tabu" tyle, ile Michała Gazdę (reżysera serialu TVN) od Ridleya Scotta, i tyle, ile różni charyzmę Toma Hardy'ego od minek Pawła Małaszyńskiego. Ja rozumiem, że w celach autopromocyjnych można powiedzieć bzdurę, ale może jednak nie każdą?

Na koniec mam dla państwa kilka wiadomości. Wszystkie złe. Pierwsza: nie wydaje się, żeby dotychczasowe piranie (bo przecież nie rekiny) polskiego rynku producenckiego były w stanie wznieść się ponad poziom wyznaczany przez „Belle Epoque". Druga: nie widać nikogo, kto mógłby je zastąpić. Trzecia: dobre wyniki oglądalności owej propozycji TVN oznaczają, że proces demoralizacji polskiego rynku serialowego trwa w najlepsze. Twórcy zdemoralizowani tym, że nakręcą byle co, a będzie się podobało, odpuszczają sobie porządną robotę. A zdemoralizowani wachlarzem wątpliwej jakości propozycji widzowie łykają te produkty bezrefleksyjnie, a nawet są chyba przekonani, że ów fast food da się porównywać z kulinarną sztuką wykwintnych restauracji. W końcu Miszczak nie pozwoliłby sobie na absurdalne porównanie, gdyby nie wiedział, że ktoś tam jednak może mu uwierzyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

Wandal w teatrze

Agnieszka Niewińska

Reżysera „Klątwy" Polacy mieli już okazję poznać za sprawą innego kontrowersyjnego spektaklu. I szybko o Oliverze Frljiciu nie zapomnimy, bo będzie jednym z kuratorów tegorocznego Malta Festival

FOT. MAGDA HUECKEL

To nie teatr, to burdel" – transparent z takim napisem przynieśli w miniony wtorek protestujący przed Teatrem Powszechnym w Warszawie, który zaprezentował swoim widzom sztukę „Klątwa" w reżyserii chorwackiego skandalisty Olivera Frljicia. Chociaż premiera odbyła się w sobotę, to dopiero nagranie spektaklu, które portalowi Tvp.info przesłał jeden z jego widzów, wywołało burzę. Na nagraniach można zobaczyć, jak jedna z aktorek prezentuje seks oralny z figurą Jana Pawła II, której przyczepiono sztucznego penisa. Inny z występujących podciera się watykańską flagą. Krzyż w spektaklu służy m.in. do pocierania krocza. Jakby tego było mało, figura przedstawiająca papieża zawisa na stryczku, a na koniec jedna z aktorek mówi o zbiórce pieniędzy na płatnego zabójcę, który mógłby zamordować Jarosława Kaczyńskiego. „Wspaniałe i ważne przedstawienie" – pęka z dumy w swoim twitterowym wpisie Tomasz Thun-Janowski, dyrektor Biura Kultury Urzędu m.st. Warszawy, któremu teatr jako instytucja miejska podlega. Komentatorzy kojarzeni z lewą stroną także prześcigają się w pochwałach. „»Klątwa« Olivera Frljicia to bez wątpienia

eprasa.pl 8322bd21d5

najwspanialsze teatralne dzieło ostatnich lat, prawdziwa artystyczna bomba rzucona na przykurzone teatralne deski" – emocjonuje się na swoim blogu Mike Urbaniak. Witold Mrozek w „Gazecie Wyborczej" pisze, że to „przedstawienie wybitne, błyskotliwe oraz w najwłaściwszym sensie tego słowa – rewolucyjne".

Głosom sprzeciwu wobec sztuki towarzyszą napominania, że ten, kto spektaklu nie widział, nie powinien się na jego temat wypowiadać, bo publicznego wycierania pupy flagą ani fellatio z papieską figurą w żadnym razie nie można wyrywać z kontekstu. Reżyserka teatralna Anna Smolar na falach TOK FM wyraziła nadzieję, że o „Klątwie" będziemy rozmawiać kulturalnie (sic!), choć jest gotowa tworzyć żywy łańcuch w obronie aktorów przed protestującymi, bo na przedstawieniu „zaraziła się odwagą".

Na promotorkę spektaklu wyrosła nawet posłanka Nowoczesnej Joanna Scheuring-Wielgus „»Polski teatr po 18 lutego 2017 to już inny teatr«. Kupujcie bilety, póki są. Jeśli są. Ja już byłam. We środę idę po raz drugi" – zachęcała do obejrzenia „Klątwy" na Twitterze. Dzisiaj jednak od początkowego zachwytu przedstawieniem się dystansuje. – Nigdzie nie wypowiadałam się entuzjastycznie na temat spektaklu „Klątwa", na Twitterze przytoczyłam tylko recenzję – mówi nam. – Jestem menedżerem kultury, więc chodzę i do teatru, i do kina. Byłam nie tylko na „Klątwie", lecz także na filmie „Smoleńsk". Chcę mieć własną opinię – zaznacza.

OBJAZDOWY SKANDALISTA

O warszawskim Teatrze Powszechnym im. Zygmunta Hübnera w ostatnich latach nie było szczególnie głośno. Zmiana dyrekcji w 2014 r. sprawiła, że warszawska scena najwyraźniej zapragnęła dołączyć do tych publicznych teatrów, które hołdują scenicznym eksperymentom i reżyserskim dekonstrukcjom. Jeśli w Powszechnym można było zobaczyć coś z klasyki, to w znacznie zdeformowanej wersji. Tym razem jednak dyrektor Paweł Łysak, decydując się na zaproszenie Frljicia, poszedł na całość. – Jego działalność jest znana, dlatego nie można mówić o tym, że reżyser wykorzystał warszawski teatr, by podtrzymać wizerunek skandalisty. Dyrekcja doskonale wiedziała, kogo zaprosiła do współpracy – mówi Mateusz Matyszkowicz, publicysta, dyrektor TVP Kultura.

Chorwacki twórca jest rzeczywiście znany z tego, że gdziekolwiek się pojawi, tam wywołuje skandal. Dał się już zresztą poznać polskiej publiczności. We wrześniu ubiegłego roku na Festiwalu Prapremier w Bydgoszczy zaprezentował spektakl „Nasza przemoc i wasza przemoc". Widzowie mogli w nim zobaczyć m.in. scenę, w której Chrystus schodzi z krzyża zrobionego z kanistrów i gwałci na scenie muzułmankę. Głośno było też o przygotowywanej przez Frljicia w 2013 r. premierze „Nie-Boskiej komedii" w Starym Teatrze w Krakowie. Już w czasie prób ze współpracy z nim zrezygnowało siedmioro aktorów spośród 18 – wśród nich Anna Dymna i Tadeusz Huk. Między innymi kontrowersje wokół spektaklu sprawiły, że po 50 latach z krakowską sceną rozstała się Anna Polony. Ostatecznie dyrektor Starego Teatru, Jan Klata, zerwał współpracę z Frljiciem i do premiery „Nie-Boskiej komedii" nie doszło.

Frljić ze swoimi prowokacjami wciąż objeżdża teatry w naszej części Europy. Chociaż często bierze na warsztat klasyczne dramaty, to służą mu one ledwie jako punkt wyjścia. Frljić pracuje bez scenopisu, stawia na aktorskie improwizacje i polityczną prowokację. Burze wywołały jego inscenizacje w Zagrzebiu, Belgradzie i Splicie. W tym ostatnim mieście aktorzy mieli wymiotować na serbską flagę. Barwy narodowe to – jak widać – jedna z fiksacji Frljicia, bo i w bydgoskim przedstawieniu aktorka grająca muzułmankę wyciągała z krocza polską flagę. „Skoro większość penisów czuje się w waginie całkiem dobrze, dlaczego to nie jest dobre miejsce? Pewnie część z tych polityków sama wkładała tam penisy"– tak w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" Frljić komentował tę scenę oraz zawiadomienie złożone do prokuratury przez polityków. O kontrowersyjnym reżyserze z pewnością jeszcze usłyszymy. W tym roku ma być jednym z kuratorów Festiwalu Malta.

FRLJIĆ DALEKO OD POWAŻNEJ DYSKUSJI

„Klątwa" zdaniem twórców Teatru Powszechnego miała być przyczynkiem do debaty nad rolą Kościoła, a także pedofilią w Kościele. Matyszkowicz, który już widział spektakl, zwraca jednak uwagę, że choć tak entuzjastycznie został przyjęty przez środowiska lewicowe, to jest niespójny z ich deklaracjami. – Chętnie mówią o budowaniu więzi społecznych, o dialogu. Sami autorzy spektaklu w Teatrze Powszechnym tłumaczyli mediom, że chodzi o dialog. Ten spektakl dialogowi jednak nie służy, prowadzi raczej do wzrostu agresji. Lewica potępia przemoc symboliczną, tymczasem właśnie w „Klątwie" mamy z nią do czynienia – mówi publicysta i zwraca uwagę na figurę Jana Pawła II. – Reżyser chce, by publiczność krzyczała wraz z aktorami: „To jest fikcja, to jest fikcja", ale przecież wiadomo, że chodzi o uderzenie w konkretną osobę. Z głośników słychać zresztą homilię wygłaszaną przez Jana Pawła II – opowiada.

„O poważnej dyskusji na styku państwo – Kościół i naszej kondycji wiary Frljiciowi nawet się nie śniło. Chodziło raczej o artystyczną prowokację" – napisał po obejrzeniu spektaklu recenzent

W spektaklu krzyż służy m.in. do pocierania krocza, a jedna z aktorek prezentuje seks oralny z figurą Jana Pawła II FOT. MAGDA HUECKEL

eprasa.pl 8322bd21d5

teatralny „Rzeczpospolitej" Jan Bończa-Szabłowski. Matyszkowicz uważa jednak, że nie jest to żadna prowokacja. – Jeśli prowadzi pani kiosk, a ja przychodzę z kijem bejsbolowym i go niszczę, to jest to prowokacja czy wandalizm? – pyta. – Sztuka z zasady ma prowokować, zmuszać do myślenia. „Klątwa" nie zmusza. To raczej akt wandalizmu, którego dopuścił się reżyser. Jeśli czytam w „Gazecie Wyborczej", że po premierze „Klątwy" teatr polski będzie już innym teatrem, to pytam: Jaki on będzie? Więcej osób zawiśnie na szubienicy? Czy rzeczywiście to jest język debaty, jakiego byśmy sobie życzyli? – zastanawia się.

Scheuring-Wielgus inscenizację Frljicia porównuje jednak do działalności Jerzego Grotowskiego i Pabla Picassa. – „Klątwa" to spektakl bardzo kontrowersyjny, jest jak wrzucenie granatu w nasze społeczeństwo. Historycznie teatr odgrywał taką rolę. Już kiedy Wyspiański napisał „Klątwę", wywołała ona poruszenie. Tak samo przecież było z Jerzym Grotowskim, Picasso dawniej również oburzał. Twórcy, reżyserzy, filmowcy mają prawo pokazywać fikcyjne historie i wykorzystywać symbole. Artysta widzi więcej niż przeciętny widz. Nam się może to podobać lub nie, możemy czuć, że obrażono nasze uczucia. Dla mnie Jan Paweł II to także bardzo ważna postać. Jednak ani ja jako polityk, ani nikt inny nie ma prawa ingerować w prace artystów. Wolność twórczości gwarantuje nasza konstytucja – argumentuje posłanka Nowoczesnej.

MILIONOWE DOTACJE

Głos w sprawie „Klątwy" zabrał Episkopat Polski. Jego rzecznik, ks. Paweł Rytel-Andrianik, stwierdził, że przedstawienie ma znamiona bluźnierstwa. „Podczas spektaklu dokonuje się publiczna profanacja krzyża, przez co ranione są uczucia religijne chrześcijan, dla których krzyż jest świętością. Oprócz symboli religijnych znieważa się osobę św. Jana Pawła II, co jest szczególnie bolesne dla Polaków. Ponadto nie może być przyzwolenia na nawoływanie do nienawiści i deprecjonowania ludzkiego życia" – napisał w komunikacie.

Podpisy pod protestem przeciwko spektaklowi skierowanym do premier, ministra sprawiedliwości, prezydent Warszawy i dyrektora Teatru Powszechnego są zbierane na stronie Petycje.pl. Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga już wszczęła z urzędu dochodzenie w sprawie obrazy uczuć religijnych w trakcie przedstawienia. Bada także sprawę publicznego nawoływania do popełnienia zabójstwa. Za obrazę uczuć religijnych grozi do dwóch lat więzienia, za nawoływanie do zabójstwa – do trzech.

Posłanki Nowoczesnej jednak nie oburzyło to, że podczas spektaklu aktorka mówiła o zbiórce na zabójstwo prezesa PiS. – To nie było żadne ogłoszenie o zbiórce, tylko postawienie hipotezy, takie „co by było, gdyby…?". Ja się takimi fikcyjnymi historiami nie oburzam – mówi. Co, gdyby zbierano na zabójstwo szefa Nowoczesnej? – W teatrze czy filmie by mnie to nie oburzyło, bo rozumiem, że to jest rodzaj artystycznej prowokacji, a sztuka, od kiedy powstała, prowokuje. Bardziej martwi mnie to, co dzieje się w świecie rzeczywistym, kiedy pali się flagi ukraińskie i inne, kiedy używa się języka nienawiści. Ja się temu przeciwstawiam – również kiedy nienawiści używa się wobec prezydenta czy premier. Druga strona jakoś nie chce tego dostrzec – żali się.

Kontrowersje wokół spektaklu przysłużyły się Teatrowi Powszechnemu. Bilety na najbliższe pokazy „Klątwy" zostały wyprzedane. Matyszkowicz zaznacza jednak, że teatr stawiający na skandal jest krótkowzroczny. – Skandale przynoszą krótkotrwały efekt. Nie budują widowni, negatywnie wpływają na wizerunek teatru, część widzów od takiej sceny się po prostu odwraca – mówi.

Ministerstwo Kultury nie podejmie żadnych kroków wobec warszawskiej sceny, bo jak informuje rzecznik resortu, Radosław Różycki, Teatr Powszechny w Warszawie nie jest instytucją podległą MKiDN ani przez nie finansowaną. – Minister nie ma wglądu w plany instytucji ani żadnych narzędzi nadzorczych wobec działań placówki – mówi Różycki. I dodaje: – Kierownictwo MKiDN zna kształt premiery spektaklu „Klątwa" jedynie z przekazów medialnych, z których wynika, że intencją twórców było przede wszystkim wywołanie szumu medialnego i aury politycznego skandalu wokół przedstawienia.

Warszawski Teatr Powszechny jest instytucją finansowaną przez miasto. W 2017 r. z miejskiego budżetu ma otrzymać przeszło 8,6 mln zł dotacji. Miasto już zapowiedziało, że nie zamierza jej teatrowi odbierać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Geniusz nie zna rasy.
Siła nie zna płci.
Odwaga nie zna granic.

KSIĄŻKA, NA PODSTAWIE KTÓREJ POWSTAŁ FILM NOMINOWANY DO OSCARA W TRZECH KATEGORIACH!

Porywająca opowieść o wyjątkowych kobietach, które zrobiły tak wiele, a o których wiemy mało lub nic. Bez pracy tych wybitnie utalentowanych matematyczek amerykański sen o podboju kosmosu pozostałby w sferze marzeń. To świetnie opowiedziana historia, która powstała dzięki setkom rozmów, wywiadów i mrówczej pracy badawczej.

JUŻ W KSIĘGARNIACH!

HarperCollins

eprasa.pl 8322bd21d5

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Zmierzch bogów parkietu

★★★★☆

REŻ. GERMAN KRAL
„OSTATNIE TANGO"
ARGENTYNA/ NIEMCY 2015

wyst. María Nieves, Juan Carlos Copes, Pablo Verón, Alejandra Gutty

Tango musi być faktycznie czymś więcej niż tańcem, skoro od stu lat z hakiem wciąż wzbudza namiętności.

Jesienią ubiegłego roku mieliśmy na ekranach dokument o argentyńskim folku, nakręcony przez weterana Carlosa Saurę. Bodaj najbardziej eksploatowanym instrumentem był tam bandoneon, kojarzony z tangiem bardziej niż Chopin z Polską. Brzmiał szlachetnie, w sam raz do malbeca popijanego w hotelowym barze w Buenos Aires. Złośliwcy twierdzą, że muzyka grana onegdaj w spelunkach i zamtuzach dziś jest już tylko muzealnym eksponatem, podtrzymywanym przy życiu rządowymi dotacjami i pieniędzmi turystów. Faktycznie, kompozycje Astora Piazzolli są wykonywane w najbardziej snobistycznych salach koncertowych. Jednak to za mało, by uznać je za martwe.

Dopiero co ukazała się u nas powieść „Bogowie tanga". Akcja rozgrywa się na początku XX w., bohaterką jest młoda włoska emigrantka, która przebiera się za mężczyznę, by móc dołączyć do grupy grających tango muzyków. W zeszłym roku trafił do nas inny bestseller literatury kobiecej – „Dwanaście minut miłości. Opowieści o tangu". Autorka opisała naukę argentyńskiego tańca w konwencji wielkiej życiowej przygody.

„Ostatnie tango" to dokument biograficzny, ale też nie stroni od melodramatu. Juan Carlos Copes i Maria Nieves królowali na tanecznych parkietach przez prawie pół wieku. Kiedy się poznali, ona była nastolatką, on zaś typem latynoskiego kochanka. Milonga była wówczas rozrywką biedaków. Matka Marii gotowała zupę na kościach znalezionych na śmietniku. Juan Carlos, siedem lat starszy od partnerki, dbał o repertuar i wymyślał sceniczny wizerunek. Razem podbili Buenos Aires i Broadway. Tańczyli na stołach i w Białym Domu na urodzinach Reagana.

Reżyser bardziej jednak skoncentrował się na relacjach między tancerzami niż na ich karierze. A te oscylowały między miłością i nienawiścią. Juan Carlos, otoczony w ojczyźnie kultem niemal bałwochwalczym, jest zaskakująco rzeczowy. Przyznaje, że za młodu deptał partnerkom po nogach, a sława i pieniądze omal go nie zabiły. Nazywa Marię swoim Stradivariusem. Ona nadrabia miną, ale widać, że jest rozgoryczona. Kochała Copesa, wzięła na serio ślub w Las Vegas. Potem on założył rodzinę, a Maria została na lodzie. Zgadzają się tylko w jednym: że urodzili się, by tańczyć tango.

Historia stara jak świat, ale przedstawiona z taktem i klasą. Wspomnieniom Marii i Juana Carlosa przysłuchują się młodzi tancerze, po czym odgrywają je na scenie i w plenerze. Trudno o lepszy hołd dla sędziwych bogów parkietu. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „LOGAN: WOLVERINE"

Raz jeszcze o mutantach, ale bardziej realistycznie, więc i smutniej. Najnowszy dodatek do kinowej serii o X-Menach ma być pożegnaniem (ciekawe na jak długo) z postacią Wolverine'a graną przez Hugh Jackmana. Postapokaliptyczna przyszłość. Starzejący się, niechętny superbohater pomaga ukryć się staremu druhowi. To założyciel szkoły dla mutantów, prof. Charles Xavier (Patrick Stewart), przeżywający wyjątkowo trudne dni. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Logan: Wolverine" („Logan"), reż. James Mangold, wyst. Hugh Jackman, Patrick Stewart, Dafne Keen, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„T2: Trainspotting", reż. Danny Boyle, Wielka Brytania 2017***
- ***„Bodo", reż. Michał Kwieciński, Polska 2017***
- ***„Maria Skłodowska-Curie", reż. Marie Noelle, Francja/Belgia/Polska 2016***

eprasa.pl 8322bd21d5

Jak zostać katem

W Cannes nagrodzono „Praktykanta" ośmiominutową owacją na stojąco. Zdaje się, że nie był to jedynie gest uznania dla młodego reżysera, lecz polityczna demonstracja. Singapur zażywał bowiem do niedawna wątpliwej sławy państwa, będącego rekordzistą w orzekaniu i wykonywaniu kary śmierci.

Film zaczyna się od fałszywej nuty. Były żołnierz, tłumacząc, dlaczego postanowił zostać klawiszem, mówi: „Chcę pomagać ludziom w przemianie". Jakoś w to nie wierzymy, choć Aiman współczuje więźniom, a może nawet darzy ich sympatią. Młodego strażnika ciągnie do więziennej strefy śmierci. Rządzi tu Rahim, kat z ponad 30-letnim stażem, fachowiec, jakich mało. Patrzy na człowieka i już wie, jak długi powinien być sznur użyty do egzekucji. Zbyt krótka lina przedłuża cierpienia skazańca, podobnie jak źle założony stryczek, a przecież chodzi o to, żeby zabijać szybko. Rahim mówi z dumą: „Jesteśmy humanitarni". Nad kwestiami winy i kary się nie zastanawia, bo w tej branży lepiej myśleć mniej niż więcej.

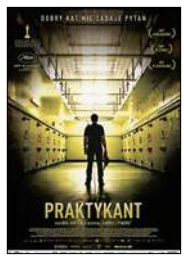

★★★★★★

REŻ. BOO JUNFENG
„PRAKTYKANT" („APPRENTICE")
SINGAPUR/ NIEMCY/FRANCJA 2016

Firdaus Rahman, Wan Hanafi Su, Mastura Ahmad

Mistrz Małodobry dostrzega w Aimanie bratnią duszę, chce z niego zrobić swego asystenta. To fatalny pomysł. Jednak wchodzenie z kamerą do celi śmierci też jest ryzykowne. Junfeng ominął pułapki, nie uległ fascynacji katowskim rzemiosłem, choć Kieślowski i Piesiewicz pewnie potrafiliby wycisnąć z tego tematu więcej. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DOM POZA CZASEM

Nastolatek na tropie tajemnicy większej niż tylko nieznany epizod z historii własnej rodziny. Jake (dobry Asa Butterfield) odkrywa niezwykły sierociniec poza czasem. Tam magiczne istoty (jedną z nich jest tytułowa pani Peregrine – w tej roli Eva Green) opiekują się dziećmi o nadzwyczajnych umiejętnościach.

wyst. Eva Green, Asa Butterfield, Samuel L. Jackson

★★★★★★

REŻ. TIM BURTON
„OSOBLIWY DOM PANI PEREGRINE" („MISS PEREGRINE'S HOME FOR PECULIAR CHILDREN")
USA 2016, IMPERIAL

Opowieść z początku mocno intryguje, jest i straszna, i zabawna, potem okazuje się, że film jest wymyślony tylko do połowy, bo naraz grzęźnie w nielogicznościach, a intryga idzie naprzód jedynie dzięki chciejstwu reżysera. Złoczyńcy czyhający na sieroty są zdecydowanie przekombinowani (zwłaszcza ich motywacja). Polskiego widza niepokoić powinno to, że zgodnie z obowiązującą (niestety) w Hollywood wykładnią, kiedy wspominający czasy II wojny światowej Terence Stamp mówi o Holokauście, lokalizuje go w Polsce, ale bez wyjaśnienia, że jego sprawcami byli Niemcy.

TĘSKNOTA ZA DRANIEM

Nowa wersja klasycznego westernu (opartego na japońskim samurajskim oryginale) ma swoje zalety. Bardzo dobrze wygląda finałowa długa batalia straceńców przeciw przeważającym siłom wroga. Świetni są Denzel Washington w roli głównej oraz Ethan Hawke u jego boku, niezłe są dialogi. Wszystko to jednak pozbawione jest uroku i lekkości obu poprzednich filmów, a już na pewno zaginął zupełnie mityczny oraz moralny wymiar historii najemników walczących ze złem. U Kurosawy i w filmie Johna Sturgesa rewolwerowcy wykonywali swoją robotę. Niezależnie od tego, co ich do tej roboty skusiło, uznali ostatecznie, że jest to „the right thing", że po prostu ktoś powinien bronić skrzywdzonych. W nowej wersji szef rewolwerowców zbiera gromadę, by zemścić się na dawnym wrogu, który w dodatku jest przebrzydłym kapitalistą. ©℗

wyst. Denzel Washington, Chris Pratt, Ethan Hawke

★★★★★★

REŻ. ANTOINE FUQUA
„SIEDMIU WSPANIAŁYCH" („THE MAGNIFICENT SEVEN")
USA 2016, IMPERIAL

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „FOR HONOR"

Historycy nie znoszą pytania: „Co by było, gdyby...?", ale producenci gier komputerowych nie mają ograniczeń metodologicznych. Mogą stworzyć uniwersum, w którym wikingowie, samurajowie oraz rycerze walczą na śmierć i życie w ogarniętym wieczną wojną pseudośredniowieczu. Tak w skrócie wygląda fabuła „For Honor", ale nie o nią w tej grze chodzi, lecz o intensywne pojedynki na broń białą. Pod tym względem produkcja Ubisoftu prezentuje się bardzo przyzwoicie. Dostępne są tryby 1 vs 1, 2 vs 2 i Dominion. Ogromna dawka akcji niestety z czasem staje się powtarzalna. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *TPP*
- ***Platforma:*** *PS4/XONE/PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Ubisoft/Ubisoft*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 8322bd21d5

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Polityka i poezja

Dwóch autorów szukałem zawsze, biorąc do ręki „Tygodnik Solidarność": Waldemara Żyszkiewicza i Grzegorza Eberhardta. Dzisiaj tego drugiego nie ma między nami, a Żyszkiewicz jego pamięci dedykował tom swoich tekstów publicystycznych, w przeważającej większości mających swój pierwodruk w „Tysolu" właśnie, gdzie pracował w latach 1997–2012.

„Krótki bilans Polski tranzytowej" zawiera ponad 130 artykułów, najstarsze z 1999 r., najnowszy – nawiasem mówiąc z „Do Rzeczy" – z roku 2016. Żyszkiewicz pisze o katastrofie smoleńskiej i o Wałęsie, o Janie Pawle II i Solidarności, o skutkach braku lustracji i o zbrodniarzach chowanych w alejach zasłużonych, o zbrodni wołyńskiej i o bezczelnym okradaniu Polski przez złodziei mieniących się politykami. Ta publicystyka wali między oczy, autor mówi wyraźnie: „Dość! Żadnej taryfy ulgowej!".

★★★★☆☆
WALDEMAR ŻYSZKIEWICZ „KRÓTKI BILANS POLSKI TRANZYTOWEJ" PROHIBITA, WARSZAWA 2017

Tekst zatytułowany tak jak cała książka: „Krótki bilans Polski tranzytowej" powstał w grudniu 2009 r. Pisał w nim Waldemar Żyszkiewicz: „Złodzieje się nakradli, gangsterzy narabowali. Ci z zagranicy też. Handel, banki, częściowo energetyka są dziś w obcych rękach. O dywersyfikacji dostaw ropy i gazu nie chce się już pisać. Cementowni, wobec spodziewanego przecież boomu budowlanego, pozbyliśmy się jeszcze w latach 90. […] Kraj rozprzedany. Środowiska pracownicze zdezintegrowane. Klasy średniej brak. Trwają przymiarki do podniesienia kryteriów tzw. reprezentatywności związków zawodowych, czyli ostatecznego odebrania centralom związkowym – w istocie idzie o dobicie Solidarności! – jakiegokolwiek wpływu na politykę społeczną, prowadzoną w naszej części państwa UE. Taką operację, konieczną do finalnego ubezwłasnowolnienia »pacjenta Europy«, przeprowadzi gabinet Tuska sprawnie zarządzający Polską tranzytową". No co, naprawdę tęsknicie, robaczki, do tego wszystkiego?

★★★★☆☆
WALDEMAR ŻYSZKIEWICZ „TAKI LAJF. TEJK 7.0" BIBLIOTEKA „TOPOSU", SOPOT 2016

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

Publicysta Waldemar Żyszkiewicz jest również, a może przede wszystkim – poetą. Na szczęście nie samą polityką żyjemy i on, i my wszyscy, co z kolei uświadamia tomik „Taki lajf. Tejk 7.0". Tomik bardzo dobry, osadzony w biografii poety, w którym odbijają się i Lwów, który opuścili jego rodzice w 1944 r., i Rzeszów, gdzie przyszedł na świat, i Kraków, gdzie mieszkał przez 30 lat, i oczywiście Warszawa. A jeszcze Poznań, bo tam osiedlili się jego dziadkowie. Bardzo to osobisty zbiór poetycki, ale i ważny dla każdego z nas, gdyż relacjonuje to, co się działo w czasie nam danym – tej wspólnocie, jaką tworzymy tu, na tej ziemi.

Tak np. opowiadał Żyszkiewicz w 1981 r. o niedawnej wtedy dekadzie gierkowskiej:

Asceza wyszła z mody.
Zniknęli hippisi.
Skłoniła się konsumpcja
spokornieli cisi. Ludność
dosiadła fiata szturmując
ulice. Młodzież poszła na zachód
Hutę Katowice budować. Pod Radomiem
zakręt ostro wzięty. Wielki Piotr
niewzruszony Chrystus z krzyża
zdjęty. Sposobem gospodarskim
wszczęto budowanie zmieniono
nazwy tekst podziałkę banknoty
i branie wielkie się rozpoczęło.
Włodarzem się poczuł każdy
Kto chciał mógł miał mieć
brał co tylko zoczył.
Przy tym zapamiętaniu
przyszła chwila taka:
z miski znikła
wpierw noga świni
wnet skrzydełko ptaka.

Ta „Noga świni czy skrzydełko ptaka" to tytuł tego utworu, osadzonego w poetyce Nowej Fali, a przecież zarazem ustawionego wobec niej w opozycji, a datowanego w pamiętnym roku 1981. Wzruszają pomieszczone w tomie wiersze „Wigilia 11 listopada 1992" i „Mama leci do Ameryki", w krakowski spleen wpędzają takie utwory jak „Krakowiak napowietrzny", czułe, nostalgiczne struny potrąca warszawska „Kameralna, Foksal 11".

„Krótki bilans Polski tranzytowej" prof. Andrzej Zybertowicz tak spuentował: „Nieszczęśliwy to, czy szczęśliwy kraj, w którym o politykę troszczyć się muszą poeci? Czy lepiej odczuwam wiersze Waldemara Żyszkiewicza, czytając jego publicystykę, czy też łatwiej mi uchwycić oddech jego refleksji »prozą«, pamiętając jego tomiki poetyckie? Najlepiej będzie, jak rozstrzygniecie to sami – »Krótki bilans Polski tranzytowej« pochłaniając". Dla higieny psychicznej – dodam – stosując czytelniczy płodozmian w postaci takich tomów jak „Pieśni między mężczyzną", „Zmienny kształt powabu" i teraz – „Taki lajf. Tejk 7.0". ©℗

eprasa.pl 8322bd21d5

CHWAŁA ORĘŻA POLSKIEGO **DODATEK SPECJALNY**

Bitwa Warszawska

- Jak Polacy uratowali Europę
- Zbrodnie bolszewickich najeźdźców
- Masakra pod Zadwórzem

PGNiG

eprasa.pl 8322bd21d5

SPIS TREŚCI

IV–VII MACIEJ ROSALAK
ÓW ROK 1920
O zwycięstwie w Bitwie Warszawskiej zadecydowało uderzenie znad Wieprza dokonane rankiem 16 sierpnia. Manewr ten odwrócił losy wojny polsko-bolszewickiej.

VIII–XI BOGDAN MUSIAŁ
POLSKA TRAUMA BOLSZEWIKÓW
Po sromotnej klęsce pod Warszawą możemy wręcz mówić o sowieckiej traumie. Moskwa widziała odrodzoną Polskę jako bastion wzniesiony przeciwko komunizmowi.

XII–XV PIOTR ZYCHOWICZ
SOWIECKIE ZBRODNIE PRZECIWKO POLAKOM
Najazd na Polskę miał charakter ludobójczy. Bolszewicy mordowali wziętych do niewoli żołnierzy Wojska Polskiego i cywili. Dopuszczali się grabieży, gwałtów i podpaleń.

eprasa.pl 8322bd21d5

Marszałek Józef Piłsudski odznacza żołnierzy. Wśród oficerów stojących za marszałkiem widać m.in. płk. Juliusza Rómmla (pierwszy z lewej) i mjr. Bogusława Miedzińskiego (drugi z lewej)

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Sukces Polaków

Do dziś zwycięstwo, jakie Wojsko Polskie odniosło w Bitwie Warszawskiej w 1920 r., nazywane jest „Cudem nad Wisłą". Wielu prawych ludzi powtarza to sformułowanie w dobrej wierze, nie zdając sobie sprawy, że jest ono nie tylko nietrafione, lecz także – w gruncie rzeczy – upokarzające dla Polaków.

Wynika z niego bowiem, że jeżeli raz na kilkaset lat udało nam się wygrać jakąś poważną bitwę, to zawdzięczamy to cudowi. To siły nadprzyrodzone miały w 1920 r. powstrzymać bolszewicką nawałę i przegnać „hordy Tuchaczewskiego". W rzeczywistości było inaczej. Nawałę bolszewicką powstrzymali Polacy.

W 1920 r. mieliśmy armię większą i sprawniej zorganizowaną niż bolszewicy. Mieliśmy nowocześniejszą broń i lepszy sprzęt. Mieliśmy wybitniejszych dowódców i lepszy plan operacyjny. Mieliśmy wreszcie bardziej zdeterminowanych żołnierzy. W obronę młodego państwa polskiego zaangażowała się zresztą nie tylko armia, lecz także szerokie rzesze społeczeństwa, które nie dały się uwieść bolszewickim hasłom i stanęły murem za rządem.

Bitwę 1920 r. wygrali więc Polacy – pokolenie naszych pradziadków i dziadków. To był ich sukces. Oczywiście w walce z bezbożnym, krwiożerczym bolszewizmem Opatrzność była po naszej stronie. Aby osiągnąć militarne zwycięstwo, należało jednak tej Opatrzności pomóc.

Konsekwencje zwycięstwa z 1920 r. są nie do przecenienia. Spróbujmy uruchomić wyobraźnię i zastanowić się, „co by było, gdyby…". Polacy przegrywają pod Warszawą i nasza ojczyzna w całości dostaje się pod bolszewicką okupację. Krwawy Feliks Dzierżyński jako dyktator polskiej republiki sowieckiej instaluje się w Warszawie i zakłada polską Czerezwyczajkę…

Jednocześnie Armia Czerwona po „trupie Polski" – jak głosiło bolszewickie hasło – wkracza do ogarniętych rewolucyjnym wrzeniem Niemiec i Węgier. Bolszewizm rozlewa się na pół Europy. Gdyby doszło do takiej katastrofy, historia świata potoczyłaby się zupełnie innymi torami. Los Polaków i wielu milionów Europejczyków byłby przypieczętowany.

Dlatego właśnie uważam, że brytyjski dyplomata Edgar Vincent D'Abernon, uznając batalię pod Warszawą za 18. decydującą bitwę w dziejach świata, zdecydowanie nie docenił jej znaczenia.

Piotr Zychowicz

XVI–XIX TOMASZ STAŃCZYK
POLSKIE TERMOPILE
Oddział złożony ze lwowskiej młodzieży pod Zadwórzem stoczył heroiczny bój z przeważającymi siłami bolszewików. Po zakończeniu bitwy furia Sowietów skupiła się na jeńcach.

REDAKCJA:
Redaktor: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Włodzimierz Zakrzewski** (grafik)
Fotoedycja: **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**
Okładka: **East News**

eprasa.pl 8322bd21d5

Ów rok 1920

O zwycięstwie w Bitwie Warszawskiej zadecydowało polskie uderzenie znad Wieprza dokonane rankiem 16 sierpnia...

Polscy żołnierze na przedpolach stolicy czekają na bolszewików FOT. ARCHIWUM

Maciej Rosalak

Na kresy, opuszczane przez oddziały niemieckie, które wracały do domu po przegranej na Zachodzie wojnie, bolszewicy zaczęli wkraczać już z początkiem 1919 r. Starcia z polską samoobroną rozgorzały m.in. w Wilnie, gdzie walczył młodziutki Witold Pilecki. Polacy musieli się cofnąć, ale z czasem to oni wzięli górę nad najeźdźcami, walczącymi wtedy z formacjami białych Rosjan. Skazane na fiasko rozmowy pokojowe w Mikaszewiczach poprzedzały rozstrzygające starcie, do którego prędzej czy później musiało dojść.

Naczelnik państwa polskiego Józef Piłsudski nie miał zaufania do białych, którzy rozstrzygnięcia w sprawie Polski odsyłali do przyszłej rosyjskiej konstytuanty, a na razie uzurpowali sobie prawo do pobierania rekruta na ziemiach I Rzeczypospolitej. W tej sytuacji Piłsudski nie wsparł Denikina, choć namawiali go do tego alianci. Bolszewików uważał za barbarzyńców, ale nie w marszu na Moskwę razem z białymi upatrywał szansy na utworzenie silnej Polski. Widział ją w marszu na Kijów wespół z tymi Ukraińcami, którzy chcieli, by ich państwo połączone było sojuszem z Polską.

Polityka Naczelnika zmierzała do przeciwstawienia się Rosji wraz z krajami, które powstawały na dawnych kresach państwa polsko-litewskiego. Tę koncepcję nazwano dość trafnie ideą jagiellońską. Widział przy tym, że granice z Rosją – czy białą, czy czerwoną – wytyczyć trzeba będzie bagnetem. „Historię swoją piszcie sami, bo inaczej napiszą ją za was inni – i będzie źle" – mówił Komendant. Historia przyznała mu rację...

WOJNA NA CAŁEGO

I tak 25 kwietnia 1920 r. ruszyli Polacy na Kijów, który zajęli 7 maja wraz z oddziałami Ukraińskiej Republiki Ludowej Symona Petlury, rozbijając po drodze 12. Armię bolszewicką. W prastarej stolicy Rusi przebywali niewiele ponad miesiąc, by w pośpiechu opuścić ją po niespodziewanym pojawieniu się na prawobrzeżnej Ukrainie groźnej 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego. Wyprowadzenie naszych wojsk ze śmiertelnego okrążenia zawdzięczamy ofiarnym w marszach, obronie i kontratakach żołnierzom Edwarda Śmigłego-Rydza (ich trzon stanowili weterani – legioniści), niezawodnym lotnikom polskim i amerykańskim oraz artylerzystom przytomnie strzelającym szrapnelami pod końskie kopyta podczas szarży Kozaków, co obalało ich pierwsze szeregi.

14 maja ofensywę na północ od rozległych błot Polesia przeprowadził również Michaił Tuchaczewski. Zmuszony do odwrotu, zebrał siły i 4 lipca rozpoczął ogromną ofensywę pod hasłem: „Przez trupa białej Polski prowadzi droga do zarzewia światowego pożaru".

Siły Tuchaczewskiego – tworzące front zachodni armie 3., 4., 15. i 16.,

eprasa.pl 8322bd21d5

3. Korpus Kawalerii (Gajchana) i Grupa Mozyrska – liczyły na początku sierpnia 558 tys. żołnierzy, z których 136 tys. służyło w linii. Polski front litewsko-białoruski gen. Stanisława Szeptyckiego miał w linii 110 tys. żołnierzy. Niezaprawione w boju polskie jednostki jak zaczęły się cofać znad Berezyny, tak cofały się nadal, nie potrafiąc skutecznie kontratakować z kolejnych rubieży, a w końcu też znad Bugu – ostatniej naturalnej przeszkody na drodze do Warszawy. 12 lipca padło Wilno, 23 lipca Pińsk, 29 lipca Łomża, Białystok i Bielsk Podlaski. W Białymstoku zainstalował się Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Feliksem Konem, Julianem Marchlewskim i Feliksem Dzierżyńskim na czele. 1 sierpnia padł Brześć…

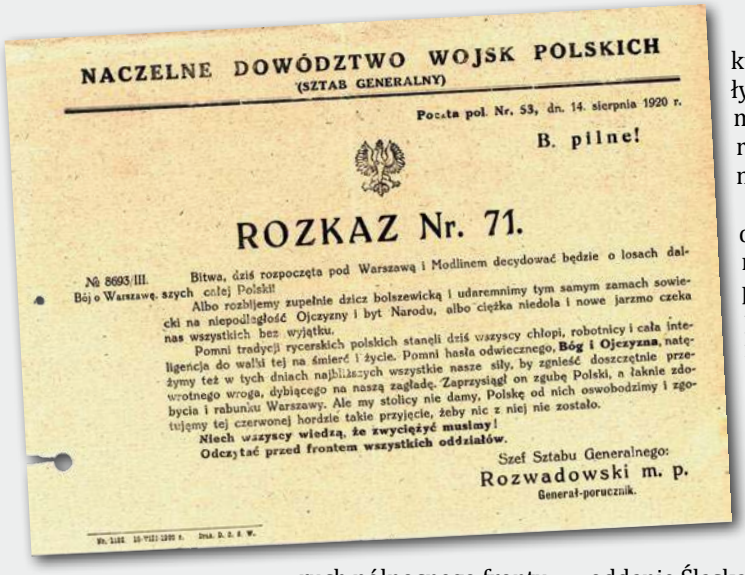

NACZELNE DOWÓDZTWO WOJSK POLSKICH
(SZTAB GENERALNY)

Poczta pol. Nr. 53, dn. 14. sierpnia 1920 r.

B. pilne!

ROZKAZ Nr. 71.

№ 8693/III.
Bój o Warszawę.

Bitwa, dziś rozpoczęta pod Warszawą i Modlinem decydować będzie o losach dalszych całej Polski!

Albo rozbijemy zupełnie dzicz bolszewicką i udaremnimy tym samym zamach sowiecki na niepodległość Ojczyzny i byt Narodu, albo ciężka niedola i nowe jarzmo czeka nas wszystkich bez wyjątku.

Pomni tradycji rycerskich polskich stanęli dziś wszyscy chłopi, robotnicy i cała inteligencja do walki tej na śmierć i życie. Pomni hasła odwiecznego, **Bóg i Ojczyzna**, natężymy też w tych dniach najbliższych wszystkie nasze siły, by zgnieść doszczętnie przewrotnego wroga, dybiącego na naszą zagładę. Zaprzysiągł on zgubę Polski, a łaknie zdobycia i rabunku Warszawy. Ale my stolicy nie damy, Polskę od nich oswobodzimy i zgotujemy tej czerwonej hordzie takie przyjęcie, żeby nic z niej nie zostało.

Niech wszyscy wiedzą, że zwyciężyć musimy!

Odczytać przed frontem wszystkich oddziałów.

Szef Sztabu Generalnego:
Rozwadowski m. p.
Generał-porucznik.

Dla dzisiejszej czytelnika Dziennika Polskiego

Dlaczego tak się działo? Warto przeczytać „Pochód za Wisłę” Tuchaczewskiego i odpowiedź Piłsudskiego „Rok 1920”, aby zdać sobie sprawę z charakteru wojennych działań. Ich pole rozciągało się od Łotwy i Prus Wschodnich na północy do Karpat na południu, od Wisły na zachodzie do Dniepru na wschodzie. Setki kilometrów przemierzali startymi do krwi nogami obdarci żołnierze. 13 sierpnia Piłsudski – dokonując w Puławach przeglądu swych wojsk przed zwycięskim uderzeniem na północ – widział żołnierzy bez butów. Po klęsce rozdrażniony Lenin mówił Klarze Zetkin o czerwonoarmistach, którzy podczas całej kampanii nie mieli dość suchego chleba i rabowali polskich chłopów.

Na rozległym teatrze wojny walczyły siły stosunkowo niewielkie. Pod koniec działań wojennych 1920 r. armia polska wzrosła wprawdzie do 900 tys., ale wraz z oddziałami zapasowymi, szkolonymi i zabezpieczeniem tyłów. Dywizje liczyły kilka tysięcy, armie kilkadziesiąt, a fronty (były po dwa z każdej strony) po sto kilkadziesiąt tysięcy szabel i bagnetów. Niewspółmierność sił i przestrzeni powodowała, że wojna była ruchoma, właściwie bez stałych pozycji. Nie broniący się, ale atakujący zyskiwali przewagę; trochę na zasadzie inercji, bezwładu masy i przyspieszenia. Stąd niepowstrzymany ruch północnego frontu Tuchaczewskiego od początku lipca do połowy sierpnia i równie niepowstrzymany odwrót do jesieni, po przesławnym laniu, na pozycje wyjściowe. To samo dotyczy 1. Armii Konnej Budionnego (na południu), który po klęsce w ostatniej w historii wielkiej bitwie kawaleryjskiej pod Komarowem (31 sierpnia) uciekł aż za Zbrucz.

Żołnierzy po obu stronach nękały głód, tyfus i zmęczenie. Zdarzały się przypadki nieuzasadnionej paniki i dezercji. Broni brakowało, była zużyta, pochodziła z różnych arsenałów – dawnych armii zaborczych i demobilu francuskiego – a nowi poborowi i ochotnicy nie potrafili się nią posługiwać. Generał Tadeusz Kutrzeba wspominał: „Łatwiej było w tak mało skutecznym ogniu nacierać w lokalnej przewadze, niż niedoskonale strzelając, bronić się na miejscu słabymi siłami”.

BARBARZYŃCY U BRAM

Niekorzystny obrót sytuacji wojennej spowodował w Polsce zaniepokojenie, a z upływem czasu trwogę, a także determinację. 1 lipca powołano Radę Obrony Państwa złożoną z przedstawicieli Sejmu, wojska i Naczelnika Państwa, a od 3 lipca organizowano Armię Ochotniczą pod dowództwem gen. Józefa Hallera. 24 lipca utworzono Rząd Obrony Narodowej z Wincentym Witosem jako premierem oraz Ignacym Daszyńskim jako wicepremierem, odwołując się do patriotyzmu chłopów i robotników. Odniosło to pożądany skutek: do wojska zgłosiło się ponad 100 tys. ochotników. Całe społeczeństwo skonsolidowało się do walki z wrogiem, któremu towarzyszyły: łuna pożarów, krew mordowanych, płacz i łzy rabowanych oraz gwałconych.

Mocarstwa zachodnie ograniczyły się do wysłania bolszewikom oferty pokojowej, wystosowanej przez lorda George’a Curzona, proponując im za zawarcie rozejmu oddanie naszych kresów. Bolszewicy zażądali rozbrojenia i sowietyzacji Polski, czyli owoców zwycięstwa bez walki o nie. Blamaż aliantów kosztował nas oddanie Śląska Cieszyńskiego Czechom, co Brytyjczycy i Francuzi wymogli na przygnębionym premierze Władysławie Grabskim podczas konferencji w Spa 10 lipca.

Dopiero odrzucenie oferty Curzona spowodowało 25 lipca przyjazd misji sprzymierzonych do Warszawy, w której składzie byli m.in. ambasador brytyjski w Berlinie Edgar Vincent d’Abernon i szef sztabu Rady Wojennej Ententy gen. Maxime Weygand (zostanie on doradcą szefa polskiego Sztabu Generalnego). Dostawy broni były blokowane przez Czechów i Niemców, a wojsk nie przysłano w ogóle. Natomiast w nasze szeregi – jak wcześniej Amerykanie do lotnictwa – wstępowali tak waleczni Francuzi jak Charles de Gaulle, który w randze polskiego majora będzie walczył w grupie uderzeniowej znad Wieprza i zostanie odznaczony Orderem Virtuti Militari.

Śmiertelne zmagania z niszczącym świątynie wrogiem wiary miały wyraźny kontekst kulturowy i religijny. Dlatego też 27 lipca biskupi polscy wystosowali z Jasnej Góry prośbę o kanonizację błogosławionego Andrzeja Boboli do papieża Benedykta XV. Naczelnik Państwa prosił ze swej strony: „Ufamy, że [Andrzej Bobola] jako Patron Kresów Wschodnich, na których poniósł śmierć męczeńską, wyprosi nam u Boga, że Polska w dalszym ciągu będzie przedmurzem chrześcijaństwa na rubieżach wschodnich”. Prośbę uwzględnił 17 kwietnia 1938 r. papież Pius XI. W 1920 r. był on, wtedy jako abp Achille Ratti, nuncjuszem papieskim w Polsce, który niemal jako jedyny z zagranicznych posłów pozostał w atakowanej przez bolszewików Warszawie.

eprasa.pl 8322bd21d5

Postępy Armii Czerwonej na początku sierpnia sprawiały, że niektórzy politycy i wojskowi uznawali sytuację za tragiczną. Zarówno jednak Piłsudski, jak i doskonały szef sztabu – gen. Tadeusz Jordan Rozwadowski – dostrzegli szanse odwrócenia losu. Oto na południu Budionny doznał porażki pod Brodami i Beresteczkiem, a poza tym cały front pod dowództwem Jegorowa i Stalina jako politruka bardziej był zainteresowany zdobyciem Lwowa niż wykonaniem rozkazu najwyższego dowództwa w osobach Trockiego i Kamieniewa, którzy chcieli cały wysiłek wojsk skierować jak najszybciej na Warszawę. Rysowała się więc możliwość oderwania znacznych sił

FOT. ARCHIWUM

z frontu południowego, aby uderzyć na północ w słabo chronione Grupą Mozyrską skrzydło północnego frontu Tuchaczewskiego i zniszczyć jego armie. Ten zaś chciał na północ od Narwi pokonać Wisłę i zająć Warszawę od zachodu – tak jak Paskiewicz w 1831 r. Wedle dyrektywy z 10 sierpnia 4. Armia i korpus Gaja miały zająć Toruń oraz Grudziądz i do 15 sierpnia sforsować Wisłę. Armie 15. i 3. miały przekroczyć ją bliżej Warszawy, a 16. Armia – uderzać wprost na nią.

Wódz Naczelny we właściwym czasie podjął śmiałą decyzję o uderzeniu wojskiem zabranym z frontu południowego na północ. Wymagało to jeszcze – po pierwsze – kontrataku 5. Armii gen. Władysława Sikorskiego z rejonu Modlina i znad Wkry na wschód, aby związać walką czerwonoarmijne dywizje na północnym Mazowszu. Po drugie, odparcia uderzenia na prawobrzeżną Warszawę. Pełen entuzjazmu gen. Rozwadowski uzupełnił i rozpisał w szczegółach ten plan, a Weygand – mimo pewnych obiekcji – go zaaprobował. I tak wydano słynny rozkaz nr 8358/III z 6 sierpnia 1920 r.

Na początku drugiej dekady sierpnia naszym frontem północnym dowodził gen. Józef Haller mający pod komendą dwie armie. 5. Armia pod dowództwem gen. Władysława Sikorskiego znajdowała się w rejonie Modlina i miała bronić przepraw przez Wisłę oraz osłaniać stolicę od północy. 1. Armia gen. Franciszka Latinika broniła przedmościa warszawskiego i na nią spadło pierwsze potężne uderzenie bolszewickie.

Dla wykonania rozkazu z 6 sierpnia utworzono front środkowy, którego dowództwo objął sam marszałek Piłsudski z trzema armiami. 4. Armia gen. Leonarda Skierskiego miała nacierać trzema dywizjami (14., 16., 21.) z rejonu Dęblina i Kocka na siły lewego skrzydła wojsk Tuchaczewskiego atakujące Warszawę. 12 sierpnia przybył do tej armii Piłsudski. Grupa uderzeniowa gen. Edwarda Śmigłego-Rydza miała atakować dalej na wschód – aż do rejonu Włodawy. Skoncentrowano tu wyborowe dywizje legionowe – 1. i 3. Natomiast 3. Armia gen. Zygmunta Zielińskiego ubezpieczała strategiczne uderzenie od południowego wschodu, w pasie od Kocka aż do Brodów, a więc do ofensywy z południa na północ wydzielono pięć dywizji – te od Skierskiego i Śmigłego-Rydza. Jak wspominał de Gaulle: „Wierne wojska polskie, których wyższe kadry były jednymi z najlepszych na świecie, odczuwają natychmiast, że silna i logiczna wola ma zamiar skoordynować wysiłki... Jeszcze zanim rozpoczęła się bitwa, czuję, jak tych żołnierzy znaczy powiew zwycięstwa".

Front południowy gen. Wacława Iwaszkiewicza miał nadal bronić Małopolski od Brodów do granicy rumuńskiej i wiązać siły południowo-zachodniego frontu bolszewickiego złożone z dwóch armii strzeleckich i jednej konnej. Generał Iwaszkiewicz miał zaś pod rozkazami 6. Armię gen. Władysława Jędrzejewskiego oraz Armię Ukraińskiej Republiki Ludowej gen. Mychajła Omelianowicza-Pawlenki.

CHWAŁA POLSKIEGO ORĘŻA

I oto 13 sierpnia zagrzmiały pod Warszawą bolszewickie działa, a na polskie okopy runęła z impetem piechota wroga. Siły bolszewickie liczyły tu 47 tys. żołnierzy, ok. 200 dział i 700 ciężkich karabinów maszynowych, a polskie – 39 tys. żołnierzy, 259 dział i 450 ckm-ów. Dwie sowieckie dywizje w ciężkich walkach przełamały obronę 11. Dywizji płk. Bolesława Jażwińskiego i wdarły się do Radzymina. Właśnie o tę miejscowość toczyły się najbardziej krwawe, trzydniowe boje, a Radzymin kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk.

14 sierpnia trafił tu ks. Ignacy Skorupka, tydzień wcześniej mianowany kapelanem 1. Batalionu 36. Pułku Piechoty Legii Akademickiej, złożonego z warszawskiej młodzieży gimnazjalnej

FOT. ARCHIWUM

i studenckiej. Kapłan zginął trafiony w głowę pociskiem ekrazytowym zapewne w chwili, kiedy udzielał śmiertelnie rannemu żołnierzowi ostatniego namaszczenia. W naszej pamięci zbiorowej pozostał jednak obraz księdza, „który w stule i z krzyżem w ręku przodował atakującym oddziałom" – jak napisano w komunikacie Sztabu Generalnego WP dwa dni później.

Wreszcie 15 sierpnia kontratakował pod stolicą nasz odwód – 10. Dywizja Piechoty gen. Lucjana Żeligowskiego oraz 1. Dywizja Litewsko-Białoruska gen. Jana Rządkowskiego – i Radzymin był wolny. Jednocześnie, z wyprzedzeniem jednego dnia wobec planu, od 14 sierpnia rozwijało się natarcie 5. Armii gen. Sikorskiego, która 16 sierpnia

eprasa.pl 8322bd21d5

zdobyła Nasielsk i atakowała dalej na Serock i Płońsk. O dzień szybciej, niż planowano, rozpoczęło się także uderzenie znad Wieprza.

Do przyspieszenia uderzeń skłonił nas nasz wywiad radiowy, który 13 sierpnia przechwycił depeszę sztabu Tuchaczewskiego nakazującą rozpoczęcie natarcia na Warszawę. Wywiad radiowy przyczynił się w dużym stopniu do zwycięstwa polskiego w tej wojnie. Nasi specjaliści złamali kody szyfrów wroga i wiedzieli z wyprzedzeniem o jego kolejnych krokach. Największa polska radiostacja przez 36 godzin zakłócała pracę bolszewickich radiostacji, emitując bez przerwy tekst Nowego Testamentu. I tak kropki i kreski Ewangelii w alfabecie Morse'a polskiej radiostacji nakładały się na meldunki i rozkazy bezbożnego najeźdźcy. Symboliczny moment...

Decydujące znaczenie dla zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej i w całej wojnie miało uderzenie grupy znad Wieprza rozpoczęte rankiem 16 sierpnia. Już tego dnia zaczęły pierzchać kompletnie zaskoczone oddziały Grupy Mozyrskiej oraz 16. Armii. Zajęto Włodawę, a 17 sierpnia Białą Podlaską i Siedlce. Imponujące były marsze 1. i 3. Dywizji legionowych – od 35 i 25 km pierwszego dnia do ponad 50 km po tygodniu, gdy marsze miały charakter pościgu. 17 sierpnia oddziały 14. Dywizji Piechoty z armii gen. Skierskiego spotkały się z żołnierzami spod Warszawy, których do udanego kontrataku wysłał gen. Rozwadowski. Bolszewicy, którzy w ciągu paru dni mieli zająć polską stolicę, uciekali spod niej w popłochu.

Urzeczony sukcesem gen. Maxime Weygand pisał: „W ciągu tych trzech dni, które marszałek Piłsudski spędził wśród wojsk 4. Armii, zelektryzował je, przelał z własnej duszy w dusze walczących ufność i wolę pokonania wszelkich przeszkód. Nikt poza nim nie mógł tego dokonać. Pod żadnym innym dowódcą wojska polskie nie dokonałyby z tym uniesieniem zażartym ofensywy, która miała doprowadzić w ciągu kilku dni aż do niemieckiej granicy, przedzierając z boku i rozwalając siły czterech armii sowieckich, które dopiero co miały się za zwycięzców".

Znajdująca się na północnym Mazowszu większość sił Tuchaczewskiego nie wiedziała o tym, co dzieje się na południe od nich. Otóż zagon 203. Pułku Ułanów zdobył 15 sierpnia w Ciechanowie radiostację 4. Armii bolszewickiej, jedyne wtedy połączenie ze sztabem frontu. Armie 4., 15. i 3. nadal nacierały więc w kierunku Wisły, gdy podstawę frontu zachodniego rozbijali Polacy. Na północy dochodziło jednak do dramatycznych momentów.

Bolszewicki antypolski plakat propagandowy z czasu kampanii 1920 r. FOT. ARCHIWUM

18 sierpnia wczesnym popołudniem na Płock natarł Gaj-chan mający 3,5 tys. Kozaków. Siły polskie były dwukrotnie słabsze i z początku zapanowała wśród nich panika. Dzicy jeźdźcy mordowali kogo popadnie, nie darując nawet stu ciężko rannym w szpitalu. Pielęgniarki – oraz inne kobiety – gwałcili i kaleczyli. Obrońcy jednak, obok których stanęli liczni mieszkańcy i harcerze, stawili dość szybko skuteczny opór. Nocą nadeszła odsiecz kilku kompanii z artylerią i jeszcze przed południem 19 sierpnia odepchnięto napastników od Płocka. Rychło Gaj-chan musiał wraz ze swymi mołojcami ratować się ucieczką do Prus Wschodnich. Marszałek odznaczył mężny Płock Krzyżem Walecznych i tym samym odznaczeniem uhonorował kilkudziesięciu jego obrońców, w tym 11-letniego harcerza Tadeusza Jeziorowskiego. (Natomiast pierwszym i jedynym miastem odznaczonym przezeń Virtuti Militari stał się Lwów).

Po 10 dniach Bitwy Warszawskiej bolszewicki atak zamienił się w paniczny odwrót, a następnie w sromotną klęskę. Rozbite zostały armie 3., 15. i 16. oraz Grupa Mozyrska. Ich straty wyniosły 25 tys. zabitych i 66 tys. wziętych do niewoli. Liczne czerwone sztandary, 231 dział i 1023 ckm-y dostały się w polskie ręce. 25 sierpnia wojska polskie doszły do granicy Prus Wschodnich, gdzie schroniło się 45 tys. czerwonoarmistów (Niemcy ich natychmiast przepuścili – przez nieprzyjazną nam Litwę – do walczących z nami szeregów). Tuchaczewski wycofał się na Grodzieńszczyznę. Tam w końcu września stoczono bitwę nad Niemnem, zakończoną równie wspaniałym zwycięstwem oręża polskiego jak batalia pod Warszawą, ostatecznie pieczętującym bolszewicką klęskę wojenną.

D'Abernon Bitwę Warszawską określił w tytule swych wspomnień jako „osiemnastą, która zaważyła na losach świata". We wstępie zaś zauważył: „Bitwa pod Tours ocaliła naszych przodków brytyjskich oraz ich galijskich sąsiadów od jarzma Koranu. Bitwa natomiast pod Warszawą, rzec można śmiało, wybawiła Środkową, a także częściowo i Zachodnią Europę od jeszcze bardziej wywrotowego niebezpieczeństwa, to jest od fanatycznej tyranii Sowietów". W tym kontekście Józef Piłsudski jawi się jako pater patriae Europae… Gdyby nawet pominąć wszystkie inne jego zasługi dla ojczyzny, a tylko tę jedną – pogrom bolszewików pod Warszawą – wziąć pod uwagę, to i ona wystarczy, aby uznać Józefa Piłsudskiego za jednego z największych Polaków w dziejach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

Z prof. Bogdanem Musiałem
rozmawia Piotr Włoczyk

Polska trauma bolszewików

Gdyby Piłsudski nie ruszył na Kijów, trzeba byłoby... cudu nad Wartą

PIOTR WŁOCZYK: Kto kogo zaatakował w 1920 r.?

BOGDAN MUSIAŁ: Wszystko zależy od adresata tego pytania. Wśród rosyjskich badaczy powszechny jest pogląd, że to Polska była wtedy agresorem. Polska ofensywa z 25 kwietnia 1920 r. była według nich wyrazem ekspansjonistycznej polityki państwa polskiego. Niestety również w Niemczech nie brakuje historyków, którzy powiedzieliby, że to Polska napadła na Sowietów, a ci, broniąc się, doszli do Warszawy. Niemiecka propaganda lat 20. i 30. nałożyła się na PRL-owską propagandę skierowaną przeciwko II RP i efekt jest taki, że przez długie lata ugruntowywał się pogląd, iż to bolszewicy byli wtedy ofiarami napaści. Nie było możliwości zrewidowania tego obrazu aż do początku lat 90.

Dlaczego właściwie uważamy wojnę polsko-bolszewicką za walkę obronną, skoro w podręcznikach historii wyraźnie jest napisane, że to Polska zaatakowała Sowietów 25 kwietnia 1920 r.?

Wojna polsko-bolszewicka to klasyczny przykład wojny prewencyjnej. Z naszego punktu widzenia była to więc wojna obronna. Według jej definicji ten, kto się czuje zagrożony nadciągającym atakiem strony przeciwnej, sam atakuje pierwszy, wyprzedzając cios. Latem 1919 r. polscy kryptolodzy złamali sowiecki szyfr, dzięki czemu polskie władze

eprasa.pl 8322bd21d5

Bolszewicka kawaleria FOT. GETTY IMAGES, ARCHIWUM

miały dokładny wgląd w sowieckie plany koncentracji wojsk na terenie dzisiejszej wschodniej Białorusi.

Informacje zdobyte przez nasz wywiad jednoznacznie wskazywały, że Sowieci planowali atak na polskie pozycje – Moskwa przygotowania do tego zaczęła na dobre w styczniu 1920 r. Z tego odcinka frontu miało zostać wyprowadzone uderzenie na polskie siły. Bolszewicy górowali nad nami liczebnością wojsk i pod względem uzbrojenia, a ich przewaga z dnia na dzień rosła. Dlatego Józef Piłsudski zdecydował się przejąć inicjatywę i uderzyć, zanim Sowieci w pełni przygotują się do zmasowanego ataku.

Z wojną prewencyjną jest jednak taki problem, że czasem trudno wytłumaczyć światu, iż faktycznie chodziło o wyprzedzenie ataku, a nie o usprawiedliwienie zwykłej napaści.

Na początku 1920 r. Józef Piłsudski nie zastanawiał się, czy da się przekonać resztę świata, że atak Polaków to uderzenie prewencyjne. Jego celem było ratowanie Polski, a nie kalkulowanie, jak przyjmie to opinia publiczna w Niemczech lub Wielkiej Brytanii. To była trzeciorzędna sprawa. Poza tym Polacy, jeżeli chcieliby tłumaczyć reszcie świata, że była to wojna prewencyjna, musieliby od razu wyłożyć karty na stół i poka-

eprasa.pl 8322bd21d5

zać, że udało im się złamać sowieckie szyfry. Z wojskowego punktu widzenia byłoby to samobójstwo. Bolszewicy dopiero pod koniec sierpnia zrozumieli, że ich komunikacja jest przechwytywana przez przeciwnika. Zauważyli, że polskie wojska uderzały zawsze na najsłabszych odcinkach frontu.

Co było celem naszego uderzenia na Kijów?

Chodziło o odrzucenie Sowietów z centralnej Ukrainy za Dniepr i wsparcie Ukraińskiej Republiki Ludowej w zorganizowaniu władzy na tych terenach. To była próba ponownego utworzenia państwa ukraińskiego, które byłoby sprzymierzeńcem Polski. W ten sposób Polacy planowali odciążenie południowego odcinka frontu. Oddziały polskie walczyłyby w takim wariancie na północnym odcinku, gdzie w późniejszym okresie miało dojść do kolejnego ataku.

Jak Zachód przyjął nasze uderzenie wyprzedzające?

Największy krzyk podniesiono w Niemczech. Ten kraj był żywotnie zainteresowany zniszczeniem Polski, więc bolszewicy byli dla Niemców sprzymierzeńcami w tej sprawie. Berlin zresztą doskonale wówczas wiedział, że Sowieci przygotowują się do wojny z Polską, ponieważ Moskwa tuż przed polską ofensywą sondowała w Niemczech, czy istnieje szansa na wspólną wojnę przeciwko Polsce. Trzeba tu zaznaczyć, że Niemcy mimo wszystko dosyć sceptycznie odnosili się do tych inicjatyw, ponieważ Międzynarodówka Komunistyczna podburzała akurat wtedy niemieckich robotników i wzywała ich do obalenia rządu.

Moskwa tak samo szukała sprzymierzeńców po stronie litewskiej i łotewskiej. Litwini przyjęli postawę wyczekującą, ale Łotysze odmówili wsparcia bolszewików. Niemiecka opinia publiczna była urabiana, żeby jak najwięcej obywateli uważało Polskę za agresora w wojnie polsko-bolszewickiej. Niestety, ten przekaz rezonuje w Niemczech do dziś.

A reszta Zachodu?

Opinia publiczna we Francji i w Wielkiej Brytanii zdawała sobie sprawę z tego, że Polska będzie celem następnego ataku bolszewików. Oczywiście kręgi lewacko-komunistyczne starały się przedstawić nas jako agresorów, ale mało kto wierzył w takie opowieści.

Przy okazji naszego ataku wyprzedzającego odpadł chyba Sowietom problem ogłoszonej przez Moskwę doktryny o „samostanowieniu narodów" – skoro to bolszewicy zostali zaatakowani przez Polaków, to mogli nas przecież oficjalnie ujarzmić, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Według mnie ta sprawa była jednak drugorzędna, ponieważ na całym świecie i tak zdawano sobie sprawę z tego, że bolszewickie obietnice to czysta propaganda.

W jakim stanie były siły sowieckie, gdy Polacy wyprowadzili uderzenie?

Największym ich problemem była dyscyplina. Większość żołnierzy to byli chłopi, którzy generalnie niechętnie patrzyli na bolszewizm z powodu dokonywanych rekwizycji. Pamiętajmy, że w okresie wojny z Polską Sowieci mieli na karku nie tylko Wrangla, lecz także powstania chłopskie.

Sztandar wojsk polskich FOT. ARCHIWUM

Według instrukcji Trockiego zaczęto budować oddziały zaporowe, aby próbować powstrzymać masowe dezercje. Uciekinierzy z szeregów Armii Czerwonej tworzyli bandy rabunkowe, destabilizując tym samym zaplecze sowieckie. Brano więc zakładników z rodzin rekrutów, żeby zapewnić sobie spokój w szeregach.

Polacy dobrze wychwycili słabość przeciwnika – dwa dni przed naszym atakiem Trocki alarmował kierownictwo partii, że należy nasycić szeregi Armii Czerwonej komisarzami, prawdziwymi komunistami, bo zdecydowana większość żołnierzy prezentowała poglądy „niepewne politycznie". Ten alarm został jednak wszczęty za późno.

Co by się stało, gdyby Polacy nie złamali sowieckich szyfrów i gdybyśmy nie dokonali uderzenia wyprzedzającego?

W kwietniu sowieckie wojska nie były jeszcze w pełni przygotowane do ataku – nie były odpowiednio ustawione, brakowało ludzi, sprzętu i – co najważniejsze – motywacji. Brakowało im jeszcze kilku tygodni spokoju – atak nastąpiłby w maju lub czerwcu. W takim wariancie Polacy zostaliby zaatakowani przez przygotowane do tego armie, które miałyby po swojej stronie inicjatywę. Co by dało Polsce, że to my bylibyśmy tymi napadniętymi? Moim zdaniem kompletnie nic. Można byłoby gdybać, że Zachód chętniej wsparłby nas sprzętem wojskowym, ale przy szybkich postępach wojsk sowieckich i blokowaniu transportów przez Niemcy i Czechosłowację – co przecież działo się w rzeczywistości – ta pomoc nigdy by do nas nie dotarła.

Nie byłoby Cudu nad Wisłą?

Prawdopodobieństwo naszej przegranej byłoby dużo większe. Nie zapominajmy, że Polska miałaby w takim wariancie mniej czasu na zmobilizowanie własnej opinii publicznej wokół obrony narodu. Na zebranie ochotników trzeba przecież trochę czasu. Dzięki temu atakowi wydarliśmy dla siebie dodatkowe dwa miesiące na mobilizację naszych sił. To były kluczowe dwa miesiące – w przypadku niepodjęcia uderzenia wyprzedzającego w sierpniu 1920 r. bolszewicy znaleźliby się zapewne nie pod Warszawą, ale pod Poznaniem. Poza tym gen. Wrangel miałby jeszcze mniej czasu na przeprowadzenie swojej ofensywy na południu, przez co Sowietom byłoby łatwiej z nami walczyć.

Lenin popełnił błąd, szykując się do ataku na Polskę jeszcze przed rozgromieniem gen. Wrangla?

Bolszewicy nie docenili gen. Wrangla. W czerwcu 1920 r. Stalin krytykował takie podejście, mówiąc, że nie można prowadzić wojny z Polską przed wygraniem wojny domowej. Jego głos nie przebił się jednak i w momencie, gdy 4 lipca 1920 r. bolszewicy przeprowadzili zmasowane uderzenie frontu zachodniego na Polskę, Wrangel sprawiał Sowietom duże trud-

eprasa.pl 8322bd21d5

ności na ich południowym froncie, który był ogołocony z wojsk. Sowieci zanadto spieszyli się do wojny z Polską.

O co chodziło Leninowi?

Zwykło się myśleć, że chodziło mu o zaniesienie „ognia rewolucji" aż do Atlantyku. Lenin jednak był przede wszystkim skupiony na jednym celu – dojściu do Niemiec. To była kluczowa kwestia w wojnie z Polską. Bolszewicy chcieli zniszczyć Polskę przede wszystkim dlatego, że była ona barierą odgradzającą ich od Zachodu – Leninowi zależało na zyskaniu granicy z Niemcami. Mówił, że Polska to „państwo buforowe, które ma odgrodzić Niemcy od zderzenia z sowieckim komunizmem". To był z jego perspektywy arsenał – kraj z potężnym przemysłem i największą w Europie klasą robotniczą, która w planach Moskwy miała dostarczyć rewolucji żołnierzy. To była fabryka zbrojeniowa Europy, bez której bolszewicy uważali światową rewolucję za nierealną. Lenin tłumaczył, że sojusz z Niemcami – niezależnie od tego, czy rewolucja by tam zwyciężyła, czy nie – otworzyłby ogromne perspektywy gospodarcze, które miały służyć odbudowie Rosji sowieckiej. Niemcy jednak również liczyli na odtworzenie granicy niemiecko-rosyjskiej, co w ich mniemaniu było warunkiem odzyskania statusu mocarstwowego. I rzeczywiście oba państwa dosyć szybko zaczęły ściśle ze sobą współpracować gospodarczo i wojskowo (układ w Rapallo z 1922 r.). Tuż przed Bitwą Warszawską politbiuro zdecydowało nawet o stworzeniu bezpośredniego połączenia kolejowego z Niemcami. Zaczęto dzielić skórę na niedźwiedziu.

Jaka byłaby Polska Dzierżyńskiego i Marchlewskiego?

Wyglądałaby jak wschodnia Ukraina. Całkowicie wynarodowiona, bez elit, spustoszona. Od razu po rozbiciu naszych elit bolszewicy uderzyliby w polskich chłopów. Polska wieś zostałaby zupełnie zniszczona i zapanowałby głód, jakiego w Polsce nikt wcześniej nie znał. Miliony Polaków straciłyby życie.

Dzierżyński i Marchlewski mieli ambicje, żeby rządzić Polską?

Wszystko było podporządkowane rewolucji, a nie celom narodowym. Ci ludzie myśleli innymi kategoriami, więc z ich punktu widzenia nieważne było to, kto rządziłby w Polsce, byle był to bolszewik.

Czy Stalin miał jakieś wyrzuty sumienia po klęsce pod Warszawą?

Przypomnijmy, że Stalin przeciwstawił się przesunięciu części sił frontu południowo-zachodniego dla zabezpieczenia południowej flanki frontu zachodniego. To pozwoliło na decydujący polski kontratak. Stalin zapłacił za swój błąd – został odwołany w trybie natychmiastowym ze stanowiska członka Rewolucyjnej Rady Wojennej Republiki. Uznano go za jednego z głównych winnych niepowodzenia tej operacji. Dlatego Stalin usiłował znaleźć wytłumaczenie tej klęski gdzie indziej – wyraźnie mówił o tym, że Moskwa nie doceniła „potęgi czynnika narodowego w Polsce". Sami bolszewicy przyznali też w końcu, że zbyt wcześnie chcieli uderzyć na Polskę, że nie zdążyli wtedy jeszcze ustabilizować swojej władzy.

Czym był „sowiecki kompleks Polski", o którym pisze pan w swojej książce?

Po sromotnej klęsce pod Warszawą możemy wręcz mówić o sowieckiej traumie. Moskwa widziała odrodzoną Polskę jako bastion wzniesiony przeciwko komunizmowi, uważała Polskę za centralny punkt światowego systemu imperialistycznego. Pojawiło się przekonanie, że bezpośrednia sowietyzacja Polski jest niemożliwa, jako przyczynę bolszewicy wskazywali zbyt silny polski nacjonalizm.

Ta klęska wyraźnie wzbudziła w bolszewikach respekt przed Józefem Piłsudskim i polską armią. Sowieci doceniali też polski korpus oficerski, relatywnie wysokie morale żołnierzy, a także aktywność naszych organizacji paramilitarnych. To wszystko spowodowało, że bolszewicy przez lata żyli w przekonaniu, iż Polska – w przypadku poczucia zagrożenia – jest gotowa rzucić się na nich z niezwykłą determinacją.

Jakie wnioski wyciągnęli z tej klęski Sowieci?

Zrozumieli, że najpierw trzeba ustabilizować sytuację na własnym terenie i należy stworzyć własny przemysł zbrojeniowy, co pozwoliłoby na prowadzenie wojny przez czas dłuższy niż kilka miesięcy.

W 1939 r. Stalin nie popełnił już w stosunku do Polski tych samych błędów, które popełnił Lenin w czasie wojny polsko-bolszewickiej.

Tak, w 1939 r. bolszewicy byli już gotowi do dłuższej wojny, a poza tym skutecznie dogadali się z Niemcami. I ostatecznie po 20-letnim oczekiwaniu wciągnęli nas do komunistycznego piekła.

Oddział polskiej kawalerii FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Bogdan Musiał – jest historykiem, specjalizuje się w historii Niemiec i ZSRS. Wśród wielu jego publikacji znajduje się książka „Na Zachód po trupie Polski", opisująca sowieckie plany ataku na Zachód.

eprasa.pl 8322bd21d5

Sowieckie zbrodnie przeciwko Polakom

Podczas najazdu 1920 r. żołnierze Armii Czerwonej i czekiści zamordowali tysiące jeńców wojennych

Piotr Zychowicz

Pędzą jeńców, zrywają z nich mundury, buty. Przed nami straszne zdarzenia. Pobojowisko. Jeździłem wzdłuż pierwszej linii, błagam, żeby nie zabijać jeńców. Szeko bąknął:

– Dlaczego nie?

Odegrało to potworną rolę. Nie patrzyłem im w twarze, przebijali jeńców pałaszami, dostrzeliwali, trupy na trupach, jednego jeszcze obdzierają, drugiego dobijają, jęki, krzyki, charkot, to nasz szwadron szedł do »natarcia«. Piekło. Jakąż to wolność przynosimy, okropieństwo.

Drobniutki Polaczek przebiera polerowanymi paznokciami wśród rzadkich włosów na różowej głowie; odpowiada wymijająco, wykręca się, mamrocze, no, owszem. Szeko natchniony i blady:

– Mów, jaką masz rangę.

– Ja – zmieszał się – jestem czymś w rodzaju chorążego.

Oddalamy się, tamtego odprowadzają, za jego plecami chłopak o przyjemnej twarzy repetuje broń, ja krzyczę:

– Towarzyszu Szeko! Szeko udaje, że nie słyszy, jedzie dalej, wystrzał, Polaczek w kalesonach pada w drgawkach na ziemię. Żyć się odechciewa, mordercy, niesłychana podłość, przestępstwo.

To fragment opowiadania Izaaka Babla. Sowieckiego pisarza, który jako bolszewicki politruk brał udział w inwazji na Polskę. A następnie opisał swoje wrażenia i przeżycia.

Z zachowanych dokumentów wiemy, że podobne patologie w 1920 r. były na porządku dziennym.

Historycy oceniają, że podczas wojny polsko-bolszewickiej ok. 20 tys. polskich jeńców zostało w bestialski sposób zamordowanych przez bolszewików na polu bitwy od razu po wzięciu do niewoli.

Jest to liczba kolosalna, niewiele ustępująca wszystkim ofiarom operacji katyńskiej NKWD, do której doszło 20 lat później. Nazwisk tych zamordowanych nie znajdziemy jednak w żadnych sowieckich ewidencjach, nigdy nie spisano ich personaliów. Byli masakrowani na miejscu zaraz po zakończeniu bitwy lub potyczki.

Schemat był na ogół podobny. Po wzięciu Polaków do niewoli bolszewicy

Modlitwa za polskich jeńców zamordowanych przez bolszewików FOT. IPN

eprasa.pl 8322bd21d5

oddzielali od żołnierzy oficerów, podoficerów i szeregowców o wyglądzie inteligentów. Ponieważ oficerowie, wiedząc, co ich czeka, często przed poddaniem się zdzierali dystynkcje, czerwoni odróżniali ich „na oko". Jak wynika z relacji, wystarczyło mieć gładkie, niespracowane ręce, okulary czy czystą bieliznę.

Wyselekcjonowani w ten sposób „wrogowie ludu" byli na ogół rozrąbywani szablami. Bolszewicy puszczali ich w pole i urządzali „polowanie na ludzi". Czasami nabijali oficerów na pal lub – gdy było nieco więcej czasu – stosowali wymyślne tortury.

Po odparciu wroga i przywróceniu starych pozycji znaleziono [jeńców] z rozprutymi brzuchami, powyrywanymi wnętrznościami, porąbanymi czaszkami, pokłutymi pachwinami, poprzestrzeliwanych kulami dum-dum. (Mózg porąbany leżał obok trupa)" – napisano w raporcie z 8 czerwca 1920 r. spod wsi Zamosze i Zawidno.

„W czasie posiłku wyniesionego przez ludność wsi wpadło do wsi około 30 Kozaków – relacjonował inny polski żołnierz. – Ułanów było kilkunastu, zanim pozdejmowali karabiny z pleców, Kozacy ich otoczyli, zabrali im broń i kazali się rozbierać do goła. Ubrania powiązali i przywiesili do swych siodeł, a następnie każdego ułana brało po dwóch Kozaków i rąbało w kawałki. Zabrawszy konie po zabitych, w godzinę przed naszym przybyciem odjechali. Przerażona ludność oglądała tę zbrodnię z okien domów. Widowisko to zrobiło na nas przygnębiające wrażenie".

Pistolet Nagant często używany przez Czeka

FOT. ARCHIWUM

Inny przykład. Porucznik Pasternacki zginął po tym, jak dostał się do niewoli pod Śniadowem. Przed egzekucją bolszewicy obcięli mu język, uszy i nos.

Podobne opisy do złudzenia przypominają to, co bolszewicy robili na frontach rosyjskiej wojny domowej. Okaleczanie genitaliów, ściąganie „rękawiczek" (zdzieranie skóry z dłoni po uprzednim oblaniu ich wrzątkiem), wbijanie gwoździ w ramiona w miejscu pagonów.

W przypadku Polaków często stosowano również inny makabryczny sposób uśmiercania – zakopywanie żywcem, ale w ten sposób, aby nad ziemię wystawała ręka lub noga. Obserwując ją, bolszewicy mogli bawić się w zgadywanie, czy ofiara jeszcze żyje, czy już skonała.

Zeznaje ogniomistrz Włodzimierz Garbowiak, który powrócił z sowieckiej niewoli w październiku 1920 r.:

[Z grupy jeńców] wywołali por. Grabowskiego. Zapytali się: »Ej, ty oficer?«. Na co por. Grabowski odpowiedział, że jest studentem. Komisarz wydał rozkaz skinieniem głowy, poczem dwaj kozacy stojący z tyłu z obnażonymi szablami poczęli rąbać go. Po pierwszym uderzeniu szablami głowa została rozpołowiona na dwie części i po upływie kilku sekund por. Grabowskiego [po]rąbali na drobne części.

Podziału na oficerów i traktowanych nieco lepiej szeregowców nie dokonywano jednak zawsze. Znanych jest wiele przypadków, w których Sowieci

Polskie ofiary bolszewickich zbrodni w roku 1920

FOT. KSIĄŻKA „W CIENIU CZERWONEJ ZARAZY" (8)

eprasa.pl 8322bd21d5

wycinali w pień całe poddające się im oddziały. Szczególnym okrucieństwem wykazał się kawaleryjski korpus Gaj-chana. Jego żołnierze wymordowali jeńców w Lemanie, Chorzelach, Cichoszkach pod Kolnem i pod Mławą.

Generał Lucjan Żeligowski, który przybył do Chorzeli dzień po zakończeniu walk, wspominał:

Widok pola walki robił przykre wrażenie. Leżała wielka na nim ilość trupów. Byli to w większości nasi żołnierze, ale nie tyle ranni i zabici w czasie walk, ile pozabijani po walce. Całe długie szeregi trupów, w bieliźnie tylko i bez butów, leżały wzdłuż płotów i w pobliskich krzakach. Byli pokłuci szablami i bagnetami, mieli zmasakrowane twarze i powykłuwane oczy.

Zamordowano tam kilkuset Polaków. Do podobnych zbrodni doszło również w Ostrołęce, Żytomierzu, pod Fastowem i w wielu innych miejscowościach. W Berdyczowie kawalerzyści Siemiona Budionnego spalili żywcem 600 rannych Polaków wraz z opiekującymi się nimi siostrami. Egzekucje sióstr zakonnych były zresztą na porządku dziennym.

W Bystrzyku zaś Kozacy otoczyli dom, w którym schroniło się 30 polskich żołnierzy. Gdy Polakom skończyła się amunicja, poddali się. „Nieszczęśni wychodzili jeden po drugim – pisał Karol Marcinkowski – a Kozacy spostrzegłszy, iż mieli na sobie niemal nowe mundury, kazali im rozbierać się do bielizny. I gdy to uczynili, zaczęli ich pojedynczo masakrować, kolejno jednego po drugim. Zabijali ich wśród bicia nahajkami, wśród przekleństw i dzikiego wycia oraz wprost bydlęcej radości. Niektórzy z nieszczęsnych klękali i o litość prosili. Na próżno prosili o uratowanie życia".

A oto wstrząsający meldunek dowódcy II Batalionu z 32. Pułku polskiej piechoty:

Po odparciu wroga i przywróceniu starych pozycji znaleziono jeńców z rozprutymi brzuchami, powyrywanymi wnętrznościami, porąbanymi czaszkami, pokłutymi pachwinami, poprzestrzeliwanych kulami dum-dum i ogólnie potłuczonych kolbami karabinów.

Jeden z nich Adler Lejba ranny w nogę, obdarty z odzieży do naga przez ukrycie się w stodole uniknął bestialskiego mordu.

- ***Szeregowy Karasin ranny w nogę – dobity przez rozprucie brzucha i wyrwanie wnętrzności.***
- ***Szeregowy Kuldacik Stanisław – dobity przez porąbanie pokrywy czaszki szablą. Mózg porąbany leżał obok trupa.***
- ***Szeregowy Abiedziński Teofil – dobity przez potłuczenie głowy kolbą. Ciało jego przedstawiało jedną masę zbitą.***
- ***Szeregowiec Lechmański Paweł – dobity przez pokłucie pachwiny bagnetem.***
- ***Szeregowy Wąsowski – dobity dwoma kulami dum-dum w pierś i brzuch.***
- ***Szeregowy Duda Stanisław – dobity dwoma kulami w głowę.***
- ***Szeregowy Laskowski Józef – dobity przez rozrąbanie moszny szablą i przebicie bagnetem piersi.***
- ***Szeregowy Włodarczyk Jan – dobity kulami dum-dum w brzuch.***

GWAŁTY NA POLKACH

Bolszewicy w bestialski sposób mordowali rannych z polowych szpitali wojskowych, których Polacy nie zdążyli ewakuować ze straconych terenów. W dramatycznej sytuacji znalazł się również personel tych placówek.

eprasa.pl 8322bd21d5

Czerezwyczajka w Grodnie funkcjonowała bardzo energicznie – wspominał mjr Mieczysław Boerner. – Liczba rozstrzelanych dotychczas nie została potwierdzona, ludność twierdzi, że od 200 do 300. Ambulatorium Czerwonego Krzyża funkcjonowało do ostatniej chwili. Pracowały w nim dwie siostry miłosierdzia. Obydwie zostały w haniebny sposób zgwałcone. Znęcało się nad nimi po kilku kozaków. Majątek ambulatorium został rozgrabiony.

Podobnie było w Płocku. Jak pisał świadek:

Kto stał na drodze, brał w łeb szablą albo bagnetem w brzuch. Jeńców w mieście nie brano w ogóle. Brano za to gwałtem kobiety. Szalona panika i ludzkie krzyki dopełniły grozy. Gdy w ręce rosyjskie wpadł szpital wojskowy, ponad 100 rannych padło ofiarą mordu. Pielęgniarki zaś, które nie ukryły się, gwałcono i kaleczono.

Jak widać, Armia Czerwona zajmowała się polowaniem na kobiety nie tylko podczas „wyzwalania" Europy Środkowo-Wschodniej w latach 1944–1945. Proceder ten zaczął się już w roku 1920. Potwierdza to jeden z raportów Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego.

Gwałcenie kobiet chrześcijańskich było na porządku dziennym – napisano w dokumencie. – Bolszewicy uważali to za zaszczyt względem miejscowej ludności, powtarzając, że wytwarzają nową, wyzwoloną rasę.

Sanitariuszka Maria Brzozowska w następujący sposób przedstawiała zaś okoliczności śmierci polskiego żołnierza Tadeusza Grochowskiego:

Trupa oglądałam osobiście. Miał rozcięte gardło, przeciętą prawą rękę, skóra z głowy zdarta, jakby oskalpowana naumyślnie, narządy płciowe obcięte, rana postrzału w brzuch, twarz, szczególnie górna część, zmasakrowana najwidoczniej uderzeniem kolby tak, że poznać z powodu zniekształcenia jest niemożliwe, tylko zęby i biała broda zachowały właściwy kształt.

Skóra z palców pozdzierana, gdy mu zdzierano pierścionki. Pozostał w mundurze tak pociętym i pokrwawionym, że przedstawiał się łachmanem.

OCALENI

Niektórzy polscy żołnierze przeżyli podobne masakry, a następnie – po przepędzeniu bolszewików i trafieniu do lazaretu – mogli zdać relację z tego, co przeszli. Oto fragment pisma polskiego szpitala polowego nr 208:

U plutonowego Swiecha Władysława stwierdziliśmy 5 ran rąbanych w głowę. Jedna z ran tych otwarła się tak, że mózg się uwidocznił i został uszkodzony. Leżącemu już zadano 4 rany w głowę. Wedle opowiadania rannego zrobiono szarżę na odprowadzanych do niewoli i przy tej sposobności zraniono go.

U szeregowego N.N. stwierdzono dwie rany postrzałowe w udo i przedramię. Ranny ten z powodu licznych obrażeń kolbą – o czym świadczyły niezliczone sińce, rozlewające się po całym ciele, nie mógł leżeć w łóżku. Zbito go w czasie półgodzinnej niewoli bolszewickiej, z której oswobodziły go postępujące naprzód wojska nasze.

Przywieziono zwłoki szeregowego N.N. Oględziny zewnętrzne wykazały ranę rąbaną głowy z obnażeniem mózgu i bardzo liczne rany cięte tylnej części tułowia.

Wojna polsko-bolszewicka przez bolszewików była prowadzona w sposób ludobójczy. Ich ofiary – zamordowani polscy jeńcy – są męczennikami naszej historii. I należy im się taka sama pamięć jak ofiarom zbrodni katyńskiej. Tymczasem ich gehenna została całkowicie zapomniana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Dziękuję panu Tomaszowi Matuszakowi, dyrektorowi Archiwum Państwowego w Piotrkowie Trybunalskim, za udostępnienie zdjęć, które posłużyły do zilustrowania tego artykułu.

eprasa.pl 8322bd21d5

Obraz „Zadwórze – polskie Termopile" pędzla Stanisława Batowskiego FOT. EAST NEWS

Ochotnicy pod Zadwórzem

Było ich tylu co Spartan. Podlwowska miejscowość, w której stoczyli swój ostatni bój, została nazwana „polskimi Termopilami"

eprasa.pl 8322bd21d5

Obchody rocznicy bitwy pod Zadwórzem, które odbyły się 17 sierpnia 1930 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Tomasz Stańczyk

Kiedy myślimy o obronie Lwowa i lwowskich Orlętach, kojarzymy te pojęcia z walkami z Ukraińcami w listopadzie 1918 r. Na Cmentarzu Obrońców Lwowa spoczywa jednak także kilku żołnierzy poległych w 1920 r. podczas wojny Polski z bolszewicką Rosją. Nie zginęli wprawdzie we Lwowie, lecz ponad 30 km od miasta, które zyskało chlubną nazwę „Lwów semper fidelis" (Lwów zawsze wierny).

Ci spod Zadwórza reprezentują jednak na Cmentarzu Obrońców Lwowa bohaterski oddział składający się w znakomitej większości z mieszkańców Lwowa. Ochotników, którzy zgłosili się w szeregi armii podczas dramatycznego lata 1920 r., gdy miasto drugi raz zostało zagrożone. Tym razem przez bolszewików. Byli wśród nich także ci, którzy bronili Lwowa niespełna dwa lata wcześniej. Miasto zostało odznaczone za tamtą obronę – wbrew powszechnemu przekonaniu, nie zakończyła się ona po trzech tygodniach listopadowych walk, lecz wiosną 1919 r. – Orderem Virtuti Militari.

22 listopada 1920 r. podczas uroczystości we Lwowie marszałek Józef Piłsudski, dekorując herb miasta odznakami orderu, mówił: „Lwów! Któreż polskie serce nie drgnie na to miano!". Wspomniał, że tu właśnie marzył i myślał o walce o niepodległość.

Gdy Marszałek przemawiał we Lwowie, minęły trzy miesiące od bohaterskiego boju pod Zadwórzem, stoczonego przez ochotniczy batalion dowodzony przez kpt. Bolesława Zajączkowskiego. W nierównej walce poległo ok. 300 żołnierzy. Także dlatego Zadwórze zostało nazwane „polskimi Termopilami". Zadwórze jest symbolem poświęcenia i bohaterstwa wszystkich ochotników wojny 1920 r.

Po błyskawicznej ofensywie Wojska Polskiego i sprzymierzonych ukraińskich oddziałów na Kijów – jej celem politycznym była pomoc w budowie państwa ukraińskiego – nastąpiła równie szybka riposta ze strony Armii Czerwonej.

„Ten nieustanny, robaczkowy ruch większej ilości nieprzyjaciela, przerywany od czasu do czasu jak gdyby skokami, ruch trwający tygodnie sprawia wrażenie czegoś nieodpartego, nasuwającego się jak jakaś ciężka potworna chmura gradowa, dla której przegrody się nie znajdzie [...]. Pod wrażeniem tej chmury gradowej łamało się państwo, chwiały się charaktery, miękły serca żołnierzy" – tak opisywał Józef Piłsudski dramatyczny odwrót polskich armii.

100 TYS. W SZEREGACH

Niedawno odzyskana niepodległość Polski została zagrożona. Sięgnięto po ostatnie rezerwy. Nie chodziło jednak tylko o zasilenie szeregów, ale wlanie w nie nowego ducha walki.

Na początku lipca 1920 r. ukazał się rozkaz Ministerstwa Spraw Wojskowych o formowaniu – zgodnie z decyzją Rady Ochrony Państwa – Armii Ochotniczej. Na jej czele stanął gen. Józef Haller. Do szeregów Armii Ochotniczej zgłosiło się ok. 100 tys. ludzi, głównie młodzież.

Jednym z ośrodków formowania armii był Lwów. Organizatorem Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej został kpt. Czesław Mączyński. Ten przedwojenny nauczyciel gimnazjalny zdobył sobie sławę jako dowódca obrony Lwowa w listopadzie 1918 r.

eprasa.pl 8322bd21d5

Jerzy Pogonowski, ochotnik roku 1920, pisał:

Nikt z nas tu we Lwowie nie zapomni dni lipcowych, dni narodowej trwogi i narodowej mobilizacji wszystkich twórczych sił społeczeństwa. Zabrakło na ulicach »cywilnego człowieka«, sczezło gdzieś partyjne urągowisko. Lwów po raz wtóry, jak ongiś w listopadzie 1918 r. – stężał w »posąg z jednej bryły« i obwarował się niby twierdzą niezdobytą z serc żywych i piersi nieulękłych.

W 1918 r. Czesław Mączyński miał pod swoimi rozkazami oddział rtm. Romana Abrahama, lwowianina, który zdobył i utrzymał Górę Stracenia. Oddział zyskał miano „Straceńców" ze względu i na miejsce walk, i brawurę, jaką okazywał. Mączyński nazwał abrahamczyków „oddziałem wyborowym i z lwowskich najdzielniejszym". Latem 1920 r. nazwisko Abrahama przyciągało ochotników jak magnes. Wezwał swoich niedawnych podkomendnych, by powrócili pod jego rozkazy. Do formowanego przez Abrahama oddziału zwanego détachement zgłaszali się studenci i lwowskie „batiary", z Łyczakowa, Kleparowa, Zamarstynowa. Sława Abrahama była tak wielka, że młodzież chciała walczyć tylko pod jego rozkazami.

Dramatyczna sytuacja militarna powodowała, że ochotnicy mogli przejść jedynie szybkie, elementarne przeszkolenie. Ubolewał nad tym gen. Robert Lamezan de Salins, dowódca Okręgu Generalnego „Lwów". Uważał wysłanie ochotników na front za „smutną konieczność".

Do Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej wstąpiło ok. 12 tys. ludzi. Stworzono dwa pułki piechoty, dwa pułki jazdy, trzy dywizjony artylerii i oddział wydzielony – détachement Abrahama.

20 lipca 1920 r. na pl. Kapitulnym przy katedrze łacińskiej we Lwowie odbyła się przysięga ochotników MOAO. Tydzień po przysiędze oddział Abrahama liczący 34 oficerów i ok. 1,3 tys. żołnierzy wyruszył na front. Miał w swoim składzie batalion piechoty, oddział karabinów maszynowych, dywizjon jazdy i baterię dział.

Dowództwo batalionu piechoty objął kpt. Bolesław Zajączkowski. Nie był lwowianinem, ale walczył o Lwów w listopadzie 1918 r. w szeregach oddziału Abrahama. Przedtem służył w Legionach Polskich. Batalion Zajączkowskiego zdobył Radziechów. Potem oddział Abrahama walczył o Chodaczków. Po początkowym sukcesie w nocnym boju, rozbiciu dwóch pułków bolszewickich i wzięciu 250 jeńców dostał się pod silny ogień. Wtedy rtm. Abraham okrzykiem: „Piechota w tyralierze za mną!" poderwał żołnierzy. Mimo zranienia dowódcy nie wpadli oni w panikę i wywalczyli sobie drogę odwrotu.

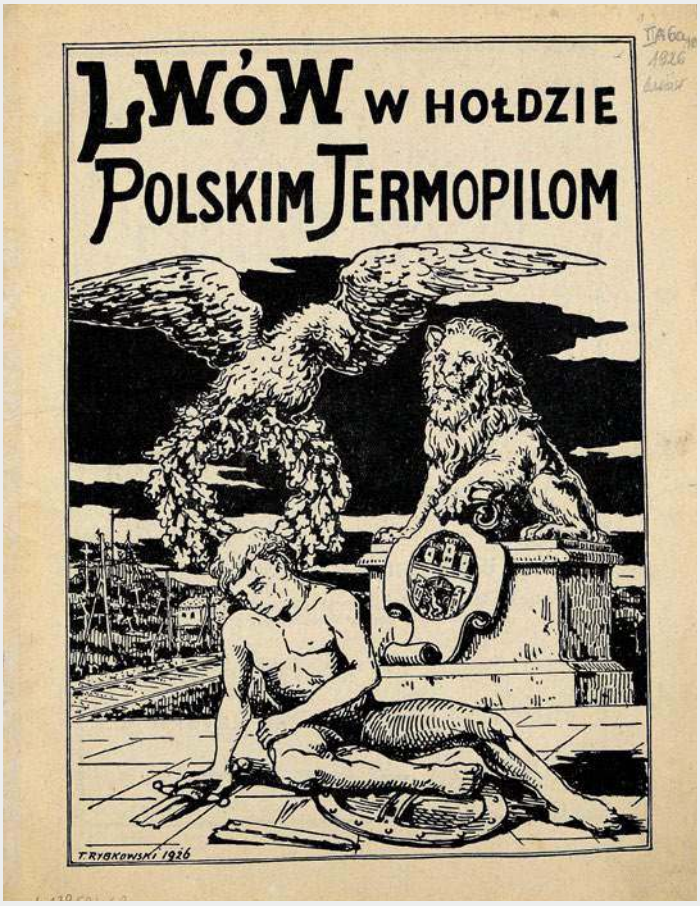

Okładka jednodniówki literackiej poświęconej pamięci bohaterów poległych pod Zadwórzem FOT. POLONA

PRZECIW KAWALERZYSTOM KONARMII

16 sierpnia Armia Konna Budionnego parła na Lwów. Polski front cofał się w kierunku coraz bardziej zagrożonego Lwowa, by zająć pozycje obronne pod miastem. Jednym z oddziałów był détachement Romana Abrahama. W Krasnem nastąpiło jego rozłączenie. Kawaleria poszła na Gliniany, batalion Bolesława Zajączkowskiego miał iść wzdłuż toru kolejowego prowadzącego do Lwowa.

17 sierpnia 1920 r. ok. południa żołnierze Zajączkowskiego doszli do stacyjki kolejowej w Zadwórzu, położonej nieco ponad 30 km od Lwowa. Tu napotkali oddziały 6. Dywizji Kawalerii bolszewickiej Armii Konnej.

Seweryn Faliński, uczestnik boju, wspominał:

Granaty wyją i wyją nad głowami, nareszcie dosięgły i nas [...]. Nie ma metra łanu, gdzie by schować się można, nie ma piędzi ziemi, gdzie by granat nie uderzył. Coraz więcej rannych i zabitych. Jeszcze chwila, a zalegający pod ogniem batalion zostanie unicestwiony. W tej sytuacji por. Dawidowicz wydaje jedyną sensowną komendę. »Chłopcy, hurra ma baterię!«. Żołnierze zrywają się, biegną. Okrzyk »hurra« wzniecony zapałem dowódcy rodzi w nas jakowyś potężny odruch zranionego lwa, rodzi szaleńczy czyn.

Polscy żołnierze, pod rzęsistym ogniem, dopadli do bolszewickich armat i zmusili je do milczenia.

Niestety, zanim do nich dotarli, celny strzał zniszczył wózki z amunicją. Żołnierzom zostały tylko naboje w karabinach i ładownicach.

Natarcie na stację pod dowództwem por. Antoniego Dawidowicza zakończyło się sukcesem. Odparto też pierwszą szarżę bolszewickich kawalerzystów. Chwilę wytchnienia batalionowi dały trzy samoloty, które nadleciały ze strony Lwowa. Ich karabiny siekły po czerwonoarmiejcach. Niestety, po wystrzelaniu amunicji odleciały i już więcej nie powróciły nad niebo nad Zadwórzem.

Kapitan Zajączkowski postanowił przebijać się w stronę lasu barszczowickiego. Drzewa mogły dać ratunek przed bolszewicką kawalerią. Poszczerbionemu już batalionowi udało się odejść

eprasa.pl 8322bd21d5

może o kilometr od stacji w Zadwórzu, gdy koło budki kolejowej zaatakowali go kawalerzyści. Polskim żołnierzom zostały już ostatnie naboje...

Kapitan Zajączkowski krzyknął: „Strzelać do ostatniego ładunku!". Żołnierze odrzucili wezwania do poddania się. Kolejna szarża unicestwiła ich opór. Kilku nie zamierzało zdawać się na łaskę bolszewików. Kapitan Zajączkowski strzelił sobie w głowę. Samobójstwo popełnili także ppor. Antoni Liszka, pchor. Władysław Marynowski i sierż. Jan Filipów. Prawdopodobnie skrócili sobie życie tylko o kilka chwil.

BOLSZEWICKA ZBRODNIA

Świadkiem ostatnich chwil polskich żołnierzy pod Zadwórzem był Isaak Babel, przyszły wybitny pisarz.

Pobojowisko. Jeździłem z wojenkomem wzdłuż pierwszej linii, błagamy, żeby nie zabijać jeńców. Apanasenko umywa ręce, Szeko bąknął: – Dlaczego nie?
Odegrało to potworną rolę. Nie patrzyłem im w twarze, przebijali bagnetami, dostrzeliwali trupy na trupach, jednego jeszcze obdzierają, drugiego dobijają, jęki, krzyki, charkot [...]. Wyciągają z ukrycia. Apanasenko – nie trać ładunków, zarżnij go. Apanasenko zawsze tak mówi – siostrę zarżnąć, Polaków zarżnąć.

Apanasenko był dowódcą 6. Dywizji Armii Konnej. Szeko szefem jego sztabu.

Zadwórze było miejscem jednej z wielu zbrodni wojennych, których dopuścili się żołnierze Armii Czerwonej w 1920 r. „Krwawa rzeź po wieki pozostanie czarną plamą w dziejach wojującej Rosji, a zwłaszcza zbrodniczej krwawej bolszewii" – pisano w jednodniówce literackiej poświęconej bohaterom Zadwórza, wydanej w siódmą rocznicę heroicznego boju Polaków.

Gdy po kilku dniach Polacy odbili Zadwórze, ciała zabitych i zamordowanych żołnierzy batalionu, w wielu wypadkach porąbane, czasami bez głów, rozkładające się szybko z powodu upału, zostały prowizorycznie pochowane. Zidentyfikowanych siedmiu żołnierzy – czterech oficerów, dwóch podoficerów i szeregowiec – zostało pochowanych na Cmentarzu Obrońców Lwowa.

Pod Zadwórzem zginęło 318 polskich żołnierzy, w tym wszyscy oficerowie. Nie da się ocenić, ilu z nich zginęło w boju, a ilu zostało zamordowanych. Ustalono nazwiska 106 poległych. 212 pozostało na zawsze nieznanymi żołnierzami.

Lwów, kondukt pogrzebowy poległych w bitwie pod Zadwórzem FOT. POLONA

W 1925 r. w Ministerstwie Spraw Wojskowych odbyło się losowanie pobojowiska, z którego miano ekshumować bezimienne szczątki, by złożyć je w Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Los padł na pobojowisko lwowskie z lat 1918–1919. Z Cmentarza Obrońców Lwowa wydobyto trzy trumny. Jedną z nich wskazała Jadwiga Zarugiewiczowa, matka Konstantego Zarugiewicza, studenta Politechniki Lwowskiej, żołnierza oddziału Abrahama w listopadzie 1918 r., poległego w 1920 r. pod Zadwórzem.

W miejscu boju i zbrodni wojennej jeszcze w 1920 r. usypano kurhan. Widniał na nim napis: „Orlętom, poległym w dniu 17 sierpnia 1920 r. w walkach o całość ziem kresowych". Tablicę ufundował Filip Howzan, ojciec żołnierza poległego pod Zadwórzem. Kurhan, na którego szczycie wzniesiono obelisk z datą 17 sierpnia 1920 r., był w II Rzeczypospolitej miejscem corocznych pielgrzymek patriotycznych. To miejsce pamięci przetrwało do dziś. Teraz napis brzmi: „Polskim Orlętom, poległym w walce z wojskami bolszewickimi".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pomnik upamiętniający bitwę pod Zadwórzem, widok współczesny FOT. ROPWIM

eprasa.pl 8322bd21d5

BITWA WARSZAWSKA 1920 r.

18. DECYDUJĄCA BITWA ŚWIATA

Wojsko Poslkie		Armia Czerwona
113-123 TYS. ŻOŁNIERZY		104-114 TYS. ŻOŁNIERZY
500 DZIAŁ		600 DZIAŁ
1780	KARABINÓW MASZYNOWYCH	2450
4500	POLEGŁYCH	25000
22000 RANNYCH		65000 JEŃCÓW
10000 ZAGINIONYCH		45000 INTERNOWANYCH

ŹRÓDŁA: JANUSZ SZCZEPAŃSKI, KONTROWERSJE WOKÓŁ BITWY WARSZAWSKIEJ 1920 R., MÓWIĄ WIEKI, 8, SIERPIEŃ 2002 R.

rozgrzewamypolskieserca.pl
pgnig.pl

PGNiG

ROZGRZEWAMY POLSKIE SERCA
Fundacja PGNiG

eprasa.pl 8322bd21d5

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Olbrzym w opałach

Po fali publikacji pełnych zachwytu nad osiągnięciami Chin (która wezbrała mniej więcej dekadę temu) przyszła kolej na otrzeźwienie. Gabriel Gresillon, wieloletni korespondent francuskich mediów w Pekinie, wylicza na łamach swej książki wyzwania, przed którymi stoją Chiny. Wyliczanka jest ponura i pokazuje obraz odmienny od pełnych entuzjazmu artykułów o potędze dalekowschodniego mocarstwa. Tak, Chiny rosną. Jednak za jaką cenę? Popatrzmy: potworne skażenie środowiska, narastające nierówności społeczne, pazerność wąskiej politycznej elity, zafałszowane wskaźniki ekonomiczne (choć te ekologiczne bardziej), sztuczny wzrost osiągany przez manipulacje walutą.

Kłopoty Chin są jednocześnie tak wielkie, że za chwilę mogą stać się i naszymi. Finansowa zapaść w Pekinie wywoła gospodarcze tsunami, przy którym kryzys z lat 2007–2008 będzie wydawał się delikatną bryzą. Pogarszający się stan środowiska oznacza, że poważnie zachwiana zostanie równowaga ekologiczna całej planety – Chiny zmagają się z niedoborem wody, a jednocześnie tę, którą dysponują, marnotrawią i zatruwają w błyskawicznym tempie. Jest i zagrożenie najbardziej typowe, jeśli chodzi o potęgi trawione wewnętrznymi kłopotami – gdy obywatele zaczynają sarkać, rozbudza się w nich nastroje wielkomocarstwowe i kieruje uwagę na podboje zewnętrzne. Pekin szczycący się stosowaniem soft power w ostatnich latach zachowuje się tak buńczucznie, że większość krajów regionu głośno mówi o swoich obawach przed rosnącym militaryzmem Chin i w pośpiechu kleci nowe lub reaktywuje stare sojusze.

Co robić? Kluczem jest polityka. Władze w Pekinie zdają się wierzyć, że może się powieść eksperyment, w którym modernizuje się i uwalnia częściowo spod władzy państwa gospodarkę, odmawiając jednocześnie obywatelom wolności politycznych. Zachodni eksperci kręcą głową. Jeśli jednak taki eksperyment miałby się udać, to gdzie, jeśli nie w Chinach? No i przede wszystkim – przecież dotąd się tam udawał. Kto i co przecenia? Obrońcy praw człowieka ozdrowieńczą rolę wolności słowa czy ekonomiści niewidzialną rękę rynku? A może jest jeszcze inaczej – tę obawę Gresillon też wyraża – może to Zachód uwiedziony chińskim boomem zaczyna wyrzekać się wierności własnym wartościom? A co, jeśli zachodnie demokracje liberalne zaczną poświęcać swoją wolność na rzecz chińskiej skuteczności? ©℗

★★★★★★

GABRIEL GRESILLON „CHINY. WIELKI SKOK W MGŁĘ" DIALOG 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Ksiądz Stanzione (autor m.in. „Anioła z Fatimy") zebrał wspomnienia i świadectwa związane z życiem oraz pracą najbardziej znanego egzorcysty ostatnich dekad. Tak powstała biografia „Opowieść o ojcu Gabriele Amorcie".

MARCELLO STANZIONE „DIABEŁ SIĘ MNIE BOI" (ESPRIT)

Powieść SF laureatki rozlicznych nagród (Hugo, Nebula, Locus). Ludzcy koloniści odkrywają na odległej planecie humanoidalnych, prymitywnych tubylców. Kontakt czy zagłada? To jedno z wielu powstałych pytań.

NANCY KRESS „OGIEŃ KRZYŻOWY" REBIS

Po serii powieści wojennych z nurtu historii alternatywnych (cykl „Czerwona ofensywa") Piotr Langenfeld proponuje czytelnikom powieść sensacyjną przemieniającą się w conspiracy thriller.

PIOTR LANGENFELD „WIDOWISKO" WARBOOK

Pierwszy tom znakomitej serii „Corto Maltese" jednego z największych osiągnięć gatunku. „Wydarzenie. Przykład nowego sposobu tworzenia literatury poprzez komiks" – zachwalał Umberto Eco. I miał rację. ©℗

poleca Piotr Gociek

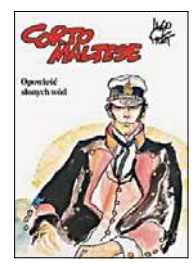

HUGO PRATT „OPOWIEŚĆ SŁONYCH WÓD" EGMONT

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Michalina Wisłocka „Sztuka kochania" (Agora) – najsłynniejszy polski poradnik seksualny wraca na półki za sprawą filmu o autorce.***
2. ***M.L. Stedman „Światło między oceanami" (Albatros) – rok 1920, samotne małżeństwo przygarnia obce dziecko. Są konsekwencje. Melodramat retro.***
3. ***Remigiusz Mróz „Wotum nieufności" (Filia) – polityczny thriller, czyli kryminał w realiach polskiego Sejmu. Początek nowego cyklu „W kręgach władzy".***
4. ***Marie Tourell Soderberg „Hygge. Duńska sztuka szczęścia" (Insignis) – poradnik: jak sprawić, by radość z małych rzeczy zmieniła się w radość dużą.***
5. ***Paula Hawkins „Dziewczyna z pociągu" (Świat Książki) – ekranizacja przemknęła przez kina, powieść wróciła na szczyty list bestsellerów.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 16 stycznia do 5 lutego 2017 r.)

eprasa.pl 8322bd21d5

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Festiwal Międzymorza?

FOT. DC ART PROJECTS/FILHARMONIA NARODOWA

Zwabiony widniejącym w programie „Credo" Arvo Pärta pobiegłem do filharmonii i dopiero na miejscu spostrzegłem, że ten wieczór zapowiada się niesamowicie. Pod batutą Ewy Strusińskiej najpierw warszawscy filharmonicy z wdziękiem zagrali „Symfonię pożegnalną fis-moll" Haydna, bawiąc się anegdotycznym zakończeniem, w którym muzycy stopniowo opuszczają scenę. Potem było coraz lepiej. Wykonanie „Koncertu potrójnego C-dur" Beethovena przez Marię Machowską (skrzypce), Marcina Zdunika (wiolonczela) i Szymona Nehringa (fortepian), w którym młodzieńcza brawura solistów momentami rozsadzała strukturę, przyjęte było rewelacyjnie. Dziwne, że dzieło z porywającym „Rondem alla Polacca" tak rzadko gości na polskich scenach.

W drugiej części do orkiestry dołączył chór i zabrzmiały pieśni Fredericka Deliusa, monumentalne i pełne soczystych harmonii. „Credo" Arvo Pärta (1968) powstało, zanim wyłonił się postmodernizm, ale swą intrygującą formą, kompilacją cytatów Bacha, zapowiada już tę epokę. Za to w warstwie idei przynosi najbardziej radykalne przesłanie Ewangelii – nakaz miłości nieprzyjaciół. W Sowietach utwór ten, właśnie ze względu na sakralną wymowę, przysporzył kompozytorowi sporych problemów. Wertując program koncertowy, z radością odkryłem zapowiadane koncerty na kolejne soboty i niedziele. Najpierw muzyka skandynawska – Alfvén, Grieg i Nielsen, a dzień później program na chór i organy, „Pieśni kurpiowskie" Szymanowskiego i – „Missa Brevis" Zoltána Kodálya. Ostatni zaś weekend lutego w Narodowej także zdominowali Węgrzy: Dohnányi – „Erno" i znów Kodály oraz jego „Tańce z Marosszék".

Jak widać, w lutym (obok wiedeńskich klasyków) FN zaprezentowała z sukcesem rzadko wykonywaną, a niezwykle oryginalną muzykę kompozytorów naszej części Europy. Skandynawowie, Bałtowie, Węgrzy, Szymanowski – aż się prosi, by iść za ciosem i dorzucić Czechów: Smetanę, Dwořaka, Litwina – Čurlanisa, Rumuna – Enescu. I mamy program festiwalu. Wobec niedoskonałości działań polityków kultura może nas zjednoczyć. Warszawa jako miejsce wielkiego międzynarodowego festiwalu muzyki naszej części Europy... Dlaczego nie? ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Niemen rozkodowany

Córka składa hołd ojcu. Zamiast wybrać przeboje, przybliża nam Niemena zapomnianego, a dla wielu wręcz nieznanego.

Czesław Niemen był/jest najwybitniejszym wokalistą w historii naszej muzyki rozrywkowej. Był twórcą przekornym, słuchającym tylko własnego głosu. Na początku lat 70. przestał śpiewać piosenki, rozkochał się w wielkiej poezji, by pod koniec dekady zrezygnować z zespołu towarzyszącego. Ostatnie dwa albumy nagrał sam, opierając się na elektronicznym instrumentarium, i sam napisał przepełnione patosem „norwidowskie" teksty.

Natalia sięgnęła właśnie po utwory z płyt: „Terra Deflorata" (1989) i „spodchmurykapelusza" (2001). Świetnym pomysłem było „rozkodowanie" utworów ojca na konwencjonalne instrumentarium. W sesjach wzięło udział siedmiu muzyków, dzięki czemu kompozycje nabrały rozmachu, a także nieznanego wcześniej powietrza. Niesamowite wrażenie robi „Terra Deflorata" wykonana z użyciem etnicznych instrumentów akustycznych i jazzująca „Nie wyszeptuj". Dyskusyjne jest natomiast trzymanie się Natalii maniery wokalnej mistrza. Jako wokalistka nie mogła dorównać ojcu, gdyż jego styl jest zbyt charakterystyczny, przez co niepodrabialny. Może dlatego najlepiej w jej wykonaniu wypadają: „Począwszy od Kaina" zaśpiewana w duecie z Krzysztofem Zalewskim i roześmiana „Jagody szaleju". ©℗

★★★★★★

NATALIA NIEMEN
„NIEMEN MNIEJ ZNANY"
PHILADELPHIA RECORDS

★★★★★★

KRZYSZTOF HERDZIN/JACEK BOŃCZYK
„MUSICAL CYRANO"
POLSKIE RADIO

Musical wystawiony przez Teatr Muzyczny z Łodzi w 2015 r. Klasyczna powieść, musical klasycznie zaaranżowany na orkiestrę przez Krzysztofa Herdzina, a śpiewający aktorzy klasycznie zaśpiewali teksty Jacka Bończyka. Wszystko się zgadza, tylko przebojów brak. ©℗

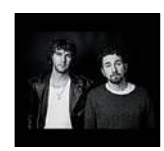

★★★★★★

JAPANDROIDS
„NEAR TO THE WILD HEART OF LIFE"
ANTI-

Duet z Vancouver składa hołd amerykańskiej gitarowej alternatywie lat 80. i serwuje osiem wybuchowych hymnów. Na trzecim albumie panowie rozszerzyli brzmienie o syntezatorową nawałnicę, która rewelacyjnie wypada w siedmiominutowym „Arc of Bar". Rock nie umarł. ©℗

eprasa.pl 8322bd21d5

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KSIĄŻKI: : J. GRZĘDOWICZ „HEL 3”,
M. L. KOSSAKOWSKA „BRAMY ŚWIATŁOŚCI. TOM 1”

+

143 zł

oszczędność 125 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8322bd21d5

Donald Trump przestawia wajchę

Przedwcześnie ogłasza się fiasko planów resetu stosunków USA – Rosja

eprasa.pl 8322bd21d5

Nie wszyscy współpracownicy Donalda Trumpa są „ludźmi prezydenta" w ścisłym znaczeniu tego sformułowania FOT. DREW ANGERER/GETTY IMAGES

Tomasz Kwaśnicki

W pierwszym odcinku ostatniego sezonu serialu „Homeland", którego akcja rozgrywa się w świecie współczesnych amerykańskich służb, Dar Adal, serialowy szef CIA (archetypiczne skrzyżowanie Mefistofelesa z kard. Richelieu), wyraża swoje zaniepokojenie osobą świeżo poznanej amerykańskiej prezydent elekt: „Nie jestem pewien, czy naród amerykański otrzyma to, na co głosował". Twórcy serialu zapewne nie spodziewali się, jak bardzo aktualna stanie się ta fraza, i to już wkrótce po jej wyemitowaniu.

ROZCZAROWANIE?

Dymisja gen. Flynna ze stanowiska doradcy ds. bezpieczeństwa oraz nagły zwrot w retoryce Białego Domu na temat stosunków amerykańsko-rosyjskich sprawiły, że wielu dziennikarzy, polityków i publicystów ogarnęło dokładnie to samo zakłopotanie co Dar Adala. Sytuacja ta wywołała bowiem konsternację zarówno zwolenników, jak i przeciwników nowego amerykańskiego prezydenta. Pojawiły się nawet głosy zarzucające mu wprost zdradę wyborców, głupotę i brak cywilnej odwagi. „Można wyłącznie zgadywać, czy Trumpowi brakuje mózgu, kręgosłupa, czy jaj, ale jest dziś boleśnie oczywiste, że ma on o wiele więcej wspólnego z Wiktorem Janukowyczem niż z Władimirem Putinem" – pisze popularny amerykański bloger The Saker, wieszcząc jednocześnie koniec wszelkich nadziei na polityczną zmianę. Zdaniem Sakera odwołanie Flynna oznacza, że Trump „NIE osuszy bagna [waszyngtońskiego establishmentu], NIE zakończy podporządkowania amerykańskich interesów anglosyjonistycznemu imperium, NIE zawrze historycznego partnerstwa z Rosją i NIE pośle neokonserwatystów z powrotem do lochu, z którego wypełźli 24 lata temu".

Równie poirytowani nagłym i niespodziewanym zwrotem Trumpa są dziś jego polityczni przeciwnicy. Antyrosyjskie gesty i wypowiedzi przedstawicieli nowej amerykańskiej administracji, zamiast spodziewanego entuzjazmu, wywołały wściekłość polityczno-medialnej elity USA, która od czasu kampanii wyborczej usiłuje przedstawić nowego prezydenta jako marionetkę Putina. Nic więc dziwnego, że po tej stronie politycznego sporu, zamiast spokojnej analizy, poszukiwanie klucza do zrozumienia posunięć Trumpa „skupiło się na jego odpychająco nieobliczalnej, mściwej, prostackiej, narcystycznej, niebezpiecznej, a niekiedy wręcz maniakalnej osobowości (z pominięciem tych teorii spiskowych, które traktują go jako rodzaj »mandżurskiego kandydata« lub pacynkę Kremla)" – zauważa publicysta „Foreign Policy", Ivan Krastev.

W Polsce tymczasem zarówno politycy odpowiedzialni za dotychczasową linię naszej dyplomacji, jak i publicyści gorliwie ją wspierający odetchnęli z ulgą. Gdy nazajutrz po dymisji Flynna rzecznik Białego Domu Sean Spicer poinformował, że prezydent Trump oczekuje, iż „Rosja zwróci Krym Ukrainie", a sekretarz obrony James Mattis oświadczył, że USA będą układać się z Rosją „z pozycji siły", poczucie pewności polskich elit medialno-politycznych stało się niezachwiane, zamieniając się niemal w euforię po ogłoszonej dwa dni później na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa deklaracji wiceprezydenta Pence'a, obiecującego Europejczykom kontynuację dotychczasowej polityki Stanów Zjednoczonych wobec starego kontynentu i „twarde wspieranie NATO". W reakcji na tę wypowiedź szef MSZ Witold Waszczykowski oznajmił: „Nie mamy podstaw, by nie wierzyć Amerykanom. Dzisiejsze wystąpienie Pence'a powinno zakończyć wszelkie dywagacje na temat jakiejś chwiejnej czy odmiennej polityki Stanów Zjednoczonych wobec Europy, wobec NATO". Szef MON, Antoni Macierewicz, przekonywał natomiast, że: „Wychodzimy z tej konferencji wzmocnieni o pewność, że NATO będzie silnym gwarantem bezpieczeństwa Polski, bezpieczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej".

ZDROWY ROZSĄDEK

Czy rzeczywiście zatem, już miesiąc po zaprzysiężeniu antysystemowego prezydenta, mamy dziś do czynienia z ostatecznym powrotem amerykańskiego establishmentu – osławionego „deep state", a więc połączonych sił tajnych służb i układu przemysłowo-wojskowo-korporacyjnego, jak chcą nas przekonać rodzimi adepci neokonserwatyzmu?

Gdy rozmaici amerykańscy delegaci zapewniali w Monachium swoich europejskich sojuszników o „twardym wspieraniu NATO", o podzielaniu „wspólnych wartości" i przywiązaniu do „5 artykułu", siedzący na widowni Carl Bildt, były premier Szwecji, przypomniał Amerykanom, że zgromadzeni doskonale zdają sobie sprawę z tego, że „to prezydent będzie podejmować

eprasa.pl 8322bd21d5

decyzję". Wykazał tym samym o niebo więcej zdrowego rozsądku niż obecni na sali gorącokrwiści polscy politycy. I słusznie, bo wbrew temu, do czego usiłują nas przekonać nasi mężowie stanu do spółki z lojalnymi publicystami, sytuacja, której jesteśmy obecnie świadkami, w żaden sposób nie przekreśla perspektywy amerykańsko-rosyjskiego resetu. Takie komunikaty mogą świadczyć zarówno o ignorancji, jak i o naiwności komentatorów.

Polityczni entuzjaści starają się nie dostrzegać okoliczności, w których dokonał się nagły antyrosyjski zwrot w amerykańskiej dyplomacji. Przypomnijmy zatem i podkreślmy – bo nie jest to żadna teoria spiskowa, ale doskonale udokumentowany fakt – że dymisja Flynna była bezpośrednim skutkiem sabotażu amerykańskich służb nielegalnie przekazujących utajnione informacje wrogo nastawionym względem Trumpa mediom. Sytuacja ta postawiła amerykańskiego przywódcę w niezwykle kłopotliwym położeniu – świadczyła z jednej strony o niemal jawnej nielojalności tajnych służb, z drugiej zaś o tym, że Trump nadal nie przejął pełnej kontroli nad własną administracją. Ujawnienie faktu nieformalnych rozmów Flynna z rosyjskimi dyplomatami zostało bowiem skoordynowane z medialną nagonką na prezydenta. W stale podgrzewanej atmosferze pomówień, oskarżeń i nielegalnych wycieków Trump został zmuszony do taktycznego odwrotu w celu zamortyzowania potężnego uderzenia połączonych sił mediów, tajnych służb i politycznej opozycji.

SŁUŻBY W POLITYCE

Sytuację trafnie podsumował prof. Gordon Hahn w wypowiedzi dla portalu Kresy.pl: „Trump nie może sobie pozwolić na bycie postrzeganym jako ten, który pozwolił Flynnowi na falstart […]. Musi więc mieć kozła ofiarnego i przynajmniej chwilowo przyjąć twardą linię wobec Rosji". Z kolei już w dniu dymisji prezydenckiego doradcy Dennis Kucinich, były kongresmen i kandydat na prezydenta, w wywiadzie dla FOX Business Network uznał, że „istotą tego wszystkiego jest próba zniweczenia jakichkolwiek pozytywnych relacji między Stanami Zjednoczonymi i Rosją przez niektóre osoby w społeczności wywiadowczej […]. Są ludzie, którzy starają się podzielić USA i Rosję, tak aby układ wojskowo-przemysłowo-wywiadowczy mógł dalej zarabiać […]. To nie są żarty. Trump musi w końcu zacząć sprawować kontrolę nad własnym aparatem wywiadowczym […]. Musimy mieć pewność, że służby wywiadowcze nie prowadzą polityki w kierunku odmiennym niż Biały Dom". Kucinich nie krył się z przekonaniem, że elementy wywiadu amerykańskiego prowadzą grę przeciwko administracji Trumpa: „Niezależnie od tego, czy ktoś popiera Trumpa, czy nie, musi przyznać, że Biały Dom jest przedmiotem ataku elementów społeczności wywiadowczej".

Wyłącznie w tym kontekście należy rozumieć dymisję współpracownika Trumpa. Zdaniem prezydenta to, co go spotkało, było „bardzo, bardzo nieuczciwe. Sposób, w jaki go potraktowano, oraz dokumenty i papiery, które zostały nielegalnie – podkreślam to: nielegalnie – upublicznione, to wszystko jest bardzo nieuczciwe". Słowa te zostały wypowiedziane dzień po dymisji Flynna na konferencji prasowej zwołanej razem z premierem Izraela Beniaminem Netanjahu. W tym samym dniu Trump napisał na Twitterze: „Prawdziwym skandalem jest tutaj to, że informacje są nielegalnie rozdawane przez »wywiad« niczym cukierki. To bardzo nieamerykańskie!". Jak donosił później „Wall Street Journal", powołując się na „osobę bliską Trumpowi", prezydent USA uważa, że „Flynn nie zrobił niczego złego w rozmowach z ambasadorem Rosji w Stanach Zjednoczonych i że kierował się dobrymi intencjami".

Jeśli prezydent USA poskromi obecną irredentę niesławnego „deep state", to będziemy świadkami dealu Trump-Putin

Tymczasem były oficer CIA i niedoszły kontrkandydat Trumpa w wyborach, Evan McMullin, „przypomniał" na Twitterze, że oficerowie wywiadu „przysięgają bronić konstytucji przed wszystkimi wrogami, zewnętrznymi i wewnętrznymi", co zostało zinterpretowane jako nawoływanie do nielojalności względem prezydenta i jego współpracowników. Dokładnie tego samego dnia w rozmowie z portalem Vox.com były oficer CIA z 23-letnim stażem, Glenn Carle, odnosząc się do kwestii wycieków, oznajmił wprost: „Co zrobić, jeśli sądzisz, że przełożony oficer zdradza konstytucję i obowiązek obrony kraju? [...] Jeśli stanąłbym przed takim dylematem, zrobiłbym to, co uważałbym za konieczne, aby chronić tajemnice tego państwa. [...] Wycieki są jedyną opcją w tym kryzysie egzystencjalnym, aby chronić konstytucję". Dzień wcześniej w tym samym duchu wypowiadał się na Twitterze Bill Kristol, czołowy amerykański neokonserwatysta, otwarcie zachęcając do nieposłuszeństwa legalnie wybranemu prezydentowi: „Oczywiście preferuję normalne i demokratyczne procedury, ale gdyby przyszło co do czego, to wolę deep state od Trump state".

Sytuację dodatkowo komplikuje to, że pozbawiony lojalnego zaplecza w Kongresie Trump zmuszony został do obsadzania kluczowych stanowisk w swojej administracji ludźmi jedynie warunkowo lojalnymi. Do najmniej oddanych należą z pewnością rzecznik Białego Domu Sean Spicer czy szef personelu Reince Priebus, reprezentujący establishment partii republikańskiej. Dla odmiany za „ludzi prezydenta" uchodzą starszy doradca prezydenta Stephen Miller i główny strateg Steve Bannon, który według ostatnich doniesień Reutersa miał przekazać niemieckim dyplomatom stanowisko dokładnie przeciwne do tego wygłoszonego w Europie przez Mike'a Pence'a, co – nawiasem mówiąc – tłumaczy nietypowe zachowanie francuskiego ministra spraw zagranicznych Jeana-Marca Ayraulta oraz Wolfganga Ischingera, przewodniczącego Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium, którzy apelowali do wiceprezydenta Pence'a, by ten potwierdził, iż Stany Zjednoczone nie dążą do rozbicia Unii Europejskiej.

Wbrew przedstawionym powyżej faktom publicyści triumfalnie ogłaszający dziś fiasko planów zniesienia sankcji nałożonych na Rosję nie piszą, „jak jest". Jeżeli prezydent USA poskromi obecną irredentę niesławnego „deep state", to według wszelkich znaków na ziemi i niebie będziemy świadkami dealu Trump-Putin. To oczywiście zła wiadomość dla Polski, po stokroć lepsza jednak od planów, jakie dla naszego kraju przygotowuje amerykański przemysłowo-wojskowo-wywiadowczy konglomerat reprezentowany przez takie postacie, jak senator Lindsey Graham, który podczas monachijskiej konferencji zapowiedział, że „2017 rok będzie rokiem, w którym skopiemy tyłek Rosji", lub jak senator John McCain, który na tej samej konferencji, bez jakiegokolwiek zażenowania, publicznie poinformował prezydenta Rzeczypospolitej, że w ramach „okazywania solidarności" przez USA „pański kraj zostanie poddany pewnej presji".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem portalu Kresy.pl.

eprasa.pl 8322bd21d5

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ale mądrale!

Kiedy dziecko idzie do szkoły podstawowej, staje się nagle nieznośnie przemądrzałe. Rodzice przestają być alfą i omegą. Ba – stają się dyżurnymi gamoniami, których należy nieustannie pouczać. Chęć skręcenia karku własnemu potomkowi staje się wtedy stanem dość naturalnym.

Jest taka koszulka z napisem: „Nie potrzebuję Google, moja żona wie wszystko". Dotyczy to również mojej żony, ale jeszcze nad nią plasuje się nasz syn. Tak jak nad Darthem Vaderem był jeszcze Imperator. Ja jestem w tej hierarchii na poziomie prostego szturmowca Imperium.

Tak więc Tymon wie wszystko. Absolutnie wszystko. Nie zbija go z pantałyku to, że chodzi dopiero do drugiej klasy. Nie przejmuje się też tym, że wciąż domaga się ode mnie kolejnych porcji wiedzy. Nawet kiedy nie ma pojęcia, o co chodzi, natychmiast buduje jakąś teorię, której broni potem do ostatniej kropli krwi, choćby nie wiem jak była bzdurna (w tym akurat jest zadziwiająco podobny do swojej matki). Upiera się przy wszystkim, co powie, i odrzuca wszelkie racjonalne argumenty. Z automatu jest na „nie", kiedy podczas dyskusji stawiam jakąś tezę. I z lubością pastwi się nade mną (a także swoją mamą), gdy przyłapie nas na najbłahszym choćby przejęzyczeniu. Na przykład: – Tymonku, włóż proszę polarek – mówię z troską do kochanego synka. – Polarek? Polarek? To przecież kurteczka! – odpowiada tonem znaczącym mniej więcej: „Ty stary debilu, jak można nie odróżniać kurtki od polaru!".

Ostatnio na Sri Lance mieliśmy spór zoologiczny. Tymon uważa się za specjalistę w tej dziedzinie. Gdy napotkaliśmy więc spore jaszczury, zawyrokował natychmiast, że są to warany. Miejscowi nazywali je iguanami, ale to go zupełnie nie przekonywało. Sięgnęliśmy po wujka Google, który wyświetlił nam kilka zdjęć obu gatunków, i wychodziło na to, że tubylcy mają rację. Tymon wyśmiał jednak autorytet Internetu, sięgając po wyjątkowo podstępną kazuistykę („Sami mówiliście, żeby sceptycznie podchodzić do tego, co jest w Internecie"), zlekceważył opinie miejscowych i budował coraz to bardziej absurdalne argumenty, które miały dowieść jego racji.

Po kwadransie takiej debaty, gdy smarkacz odrzucał absolutnie wszystkie świadectwa i patrzył na nas z wyżyn swego samozwańczego autorytetu, mieliśmy ochotę poddać go najbardziej wymyślnym torturom. Zamiast tego wyliśmy tylko rozpaczliwie, co ewidentnie gadowi sprawiało satysfakcję.

Znajomi pocieszają mnie, że to rozwojowe, że z upływem czasu to przechodzi. Nie byłbym tego taki pewien. Przecież w dorosłym życiu, także publicznym, natykamy się na ludzi, którzy upierają się przy swoich najgłupszych tezach i bez namysłu odrzucają wszelkie argumenty. I dlatego nie zawsze warto rozmawiać. Ja w każdym razie jeszcze nie spotkałem człowieka, który dałby się do czegoś przekonać. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Granice wolności

Rzecznikom nieograniczonej wolności (np. sztuki) warto przypomnieć hasło z ich własnego kanonu zasad: „Nasza wolność kończy się tam, gdzie zderza się z wolnością innego człowieka". Przytoczone dziś w kontekście awantur o Teatr Polski we Wrocławiu czy Powszechny w Warszawie w najlepszym razie spowoduje wzruszenie przez nich ramionami. W końcu wolterowska deklaracja: „Nie zgadzam się z twoimi poglądami, ale gotów jestem umrzeć za twoje prawo do ich głoszenia" została bardzo szybko przetestowana przez ideowe dzieci filozofa za pomocą gilotyny, a później przez łagry, egzekucje i eksterminacje.

Wolność artystyczna jest zjawiskiem dosyć nowym. Przez całe wieki artyści zależeli od swych mecenasów

Skądinąd wolność artystyczna jest zjawiskiem dosyć nowym. Przez całe wieki artyści wszystkich gatunków zależeli od swych zleceniodawców, mecenasów, odbiorców. Bywało, że buntowali się przeciw naciskom profanów, stawiali na swoim, ale margines ich możliwości nie był zbyt wielki. Łatwiej było twórcom w dziedzinie słowa, których dzieła nie wymagały wielkich nakładów sponsorskich. Stąd buntowali się często, jednak nie tyle z potrzeby przekory ani prowokacji, ile prawdy. Walczyli z kłamstwem, dyktaturą i niesprawiedliwością. Ich protest – mądrzejszy lub głupszy – zawsze czemuś służył.

Od czasu, kiedy sztuka oderwała się od swej roli służebnej, przestało to być konieczne. Sztuka dla sztuki, odchodząc od wyrażenia tęsknot i nadziei ludzi, rezygnując z celów edukacyjnych czy demaskatorskich, coraz częściej zaczynała służyć efekciarstwu – celem stały się szok, zaciekawienie, obraza. W ostatecznym efekcie kasa. A tę może zapewnić mecenat polityczny.

Nie zetknąłem się od II wojny światowej z wyśmiewaniem się z religii, kultury ani obyczajów Żydów, a jak się kończą kpinki z muzułmanów, dowodzi los karykaturzystów z tygodnika „Charlie Hebdo". Poprawność polityczna wykluczyła ze sfery żartów dozwolonych mniejszości seksualne. Jednak chrześcijanie? Madonna malowana odchodami słonia, poniewieranie papieżem, seksualne żarty z Chrystusa – to mieści się jak najbardziej w kulturze głównego nurtu. Do czasu!

Zawsze zastanawiam się, jak długo mniejszość może pokazywać język większości, nie ryzykując, że ta większość pewnego dnia się odwinie. A może jest to wielkie marzenie – odrobina represji. Tyle że po przekroczeniu granic nigdy nie wiadomo, kiedy uda się zatrzymać. Parafrazując klasyka: odwaga być może staniała, ale rozum bynajmniej nie zdrożał. ©℗

eprasa.pl 8322bd21d5

Łukasz Warzecha

PiS uchwalił jedyne dotychczas prawo zwiększające swobodę obywateli, ale Jarosław Kaczyński oznajmił, że jest złe i trzeba je zmienić. A wszystko w atmosferze histerii ekooszołomów

Zielony zamęt

Od 1 stycznia możemy wyciąć bez zezwolenia urzędników – z pewnymi wyjątkami – drzewa na własnym terenie. Wcześniej na wycięcie drzew, poza tymi, które nie osiągnęły wieku 10 lat, musieliśmy otrzymać zgodę urzędników. A ta była w istocie uznaniowa. Z kolei za wycinkę bez zezwolenia – choćby drzewo było chore, wyschnięte albo zagrażało domowi – groziły drakońskie kary, wyliczane sztywno na podstawie algorytmu uwzględniającego gatunek drzewa i jego wielkość.

SKRAJNA PATOLOGIA

Tak skonstruowany system był skrajnie patologiczny. Po pierwsze, uznaniowość urzędniczej decyzji zawsze tworzy sytuację korupcjogenną, zaś uzyskanie pozwolenia na wycinkę wcale nie musiało być czystą formalnością. Wszystko zależało od nastawienia urzędnika, który mógł wydać zgodę od razu, ale mógł też dręczyć obywatela kolejnymi żądaniami sporządzania map terenu, ekspertyz, badań drzewostanu – oczywiście na koszt wnioskującego. Dla osób niewyćwiczonych w walce z urzędami lub niezamożnych (koszt ekspertyz) była to bariera nie do przejścia. Po drugie, ci, którzy nie chcieli robić sobie problemów, ścinali drzewa mniej niż 10-letnie, co sprawiało, że żadne z rosnących na ich terenie drzew nie dorastało znacznego wieku. Po trzecie, tam, gdzie urzędnik ma dowolność decyzji, w grę wchodzą nie tylko korupcja, lecz także układy. Jeśli potrzebę wycięcia cennego drzewa miał ktoś ustosunkowany, to nie było problemem zakwalifikowanie go jako niespełna 10-letniego, choćby miało lat 50. Nie było też problemu z odstąpieniem od kary za wycięcie drzewa bez zezwolenia, o ile ścinający zasadził nowe drzewo – decyzja, również uznaniowa, należała do urzędu.

Jednak biada, jeśli drzewa (albo nawet krzewy) wyciął ktoś bez układów w urzędzie. W 2015 r. małżeństwo spod Szczytna wycięło na swojej działce krzewy, za co urząd gminy nałożył na nich karę w wysokości 370 tys. zł. Na podstawie jednego donosu. W tym samym województwie w 2013 r. rolnik za wycięcie jednej topoli został obciążony karą w wysokości 101 tys. zł. W Łodzi za ścięcie jednego buka na własnej działce nałożono na jej właściciela karę w wysokości 150 tys. zł. W 2014 r. głośna stała się historia niepełnosprawnego umysłowo mężczyzny z Wielkopolski, który kilka lat wcześniej wyciął samowolnie jarzębinę rosnącą w gospodarstwie jego matki. Staruszka od tego czasu spłacała karę, wynoszącą ponad 9 tys. zł. Urzędnicy łaskawie zgodzili się rozłożyć sumę na raty, ale żaden nie poinformował ukaranych, że mogliby wystąpić o umorzenie grzywny, gdyby zasadzili nowe drzewo.

1 lipca 2014 r. sprawę kar za usunięcie drzew rozpatrywał Trybunał Konstytucyjny. Sędziowie TK zakwestionowali sztywny mechanizm naliczania grzywien bez uwzględnienia okoliczności, w jakich drzewo zostało ścięte. „W swoich rozważaniach Trybunał zwrócił uwagę, że nawet stan wyższej konieczności, uregulowany przepisami prawa cywilnego oraz karnego, nie został przewidziany jako przesłanka wyłączająca obowiązek uzyskania zezwolenia na usunięcie drzewa i odpowiedzialności z tytułu jego

eprasa.pl 8322bd21d5

FOT. FOTOLIA

usunięcia bez zezwolenia" – czytamy w komunikacie wydanym po rozprawie. Wyrok dawał prawodawcy 18 miesięcy na zmianę obowiązujących przepisów.

NORMALNOŚĆ I NAGŁY ODWRÓT

Regulacje zaprojektowane przez ministra Szyszkę i bez większych kontrowersji przegłosowane przez posłów – w tym Jarosława Kaczyńskiego – przywracały normalność. Wymóg zdobycia pozwolenia pozostał w przypadku pomników przyrody oraz drzew o określonym obwodzie, co eliminuje możliwość dowolnego wycinania szczególnie cennych egzemplarzy. Wycinka nie jest też możliwa, jeśli ma związek z prowadzoną działalnością gospodarczą.

Trudno się dziwić, że po wejściu w życie tego liberalnego prawa w wielu miejscach drzewa padły pod siekierami i piłami. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego: jeśli w jakiejkolwiek dziedzinie prawo zostaje zliberalizowane, to początkowo ludzie będą z niego korzystać szczególnie chętnie. Reakcją – jak to w dobie postpolityki opartej na skrajnych emocjach – była histeria, wzmacniana przez wciąż trwającą panikę w sprawie smogu, dopompowywana przez totalną opozycję oraz organizacje ekologiczne. W tej atmosferze o racjonalnej dyskusji trudno mówić.

Niespodziewanie stronę ekooszołomów wziął Jarosław Kaczyński, ogłaszając na spotkaniu z działaczami swojej partii, że „prawo Szyszki", jako „noszące znamiona lobbingu", zostanie zmienione, co momentalnie zachwyciło lewicowe elity.

Kaczyński wieloma swoimi wypowiedziami – ostatnio głośnym wykładem w szkole o. Rydzyka – wyznaczał jednoznacznie etatystyczny kurs. PiS od początku sprawowania władzy spowodował przyjęcie wielu przepisów, odcinających kolejne plasterki od i tak niewielkiego zasobu obywatelskich swobód, wolności oraz prawa do prywatności. Uchwalono ustawę o ziemi, ustawy w policji i antyterrorystyczną czy ustawę tytoniową. Regulacja Szyszki wyróżniała się na tym tle na plus, ale najwyraźniej – w oczach prezesa – była to raczej różnica na minus. Jeśli zatem ktoś mógł mieć jeszcze nadzieję, że PiS w jakikolwiek sposób zwiększy zakres swobody obywateli, to powinien tę nadzieję stracić.

Deklaracja Kaczyńskiego wydaje się niezrozumiała z punktu widzenia kalkulacji wyborczej. PiS przyjął strategię wspierania „zwykłych Polaków" – czyli tych, którzy mają powody do frustracji, niezadowolenia, rozżalenia. Partia rządząca chciałaby stworzyć z nich nową grupę swoich twardych wyborców – po części, jak otwarcie deklarował Morawiecki, nową „klasę średnią" (istniejąca PiS nie interesuje). Tymczasem odwrót od prawa Szyszki oznacza uderzenie w tych właśnie ludzi. To oni zwykle padali ofiarą nieznajomości prawa i, w konsekwencji, urzędników. To oni nie mieli układów w urzędach, które pozwalałyby im obejść przepisy lub bezproblemowo uzyskać zezwolenie na wycinkę drzew. To oni chcieli mieć możliwość urządzenia swoich niewielkich działek czy gospodarstw w odpowiadający sobie sposób.

SYSTEM WŁADZY

Sekwencja zdarzeń każe też postawić pytanie o sprawność i jakość obecnego systemu sprawowania władzy w Polsce. Uchwalone przepisy były projektem poselskim, ale zaprojektowanym w resorcie. To częsty trik, stosowany przez obecną władzę, pozwalający uniknąć konsultacji społecznych oraz sporządzenia oceny skutków regulacji (obie rzeczy są obowiązkowe w przypadku projektów rządowych). I to w przypadku „prawa Szyszki" było z pewnością nieszczęśliwe. Projekt tak kontrowersyjny powinien był trafić do Sejmu jako rządowy.

Stało się jednak inaczej, a prawo zostało przegłosowane przez klub PiS. I oto po niespełna dwóch miesiącach prezes partii oznajmia, że regulacje muszą zostać zmienione. To nie jest poważne traktowanie obywateli, którzy tracą wiarę nie tylko w jakość uchwalanych przepisów, lecz także w pewność i trwałość prawa. A właśnie pewność prawa jest jedną z najważniejszych podstaw dobrze funkcjonującego państwa. Owszem, wadliwe przepisy można i należy korygować, nie powinno się jednak tego robić pod naciskiem powrzaskujących grupek interesu – a za takie trzeba uznać organizacje ekologiczne. Korektę można wprowadzić, oceniwszy efekty nowych rozwiązań, sporządzając ich bilans po rozsądnym czasie, na podstawie twardych danych, a nie w atmosferze rozbuchanych emocji.

Zapowiedź Kaczyńskiego będzie miała oczywiście ten efekt, że każdy, kto rozważał wycięcie drzew na własnym terenie, zrobi to jak najprędzej, aby zdążyć przed ewentualnymi zmianami. Dopiero teraz zacznie się masowa wycinka.

W sferze idei mamy tu fundamentalny spór między dwiema wizjami państwa. Po jednej stronie sytuują się etatyści, wspierający z całej siły stanowisko Kaczyńskiego. W ich mniemaniu obywatel jest za głupi i za mało dojrzały, żeby decydować o swojej własności. Jawi się jako bezrozumny barbarzyńca, który – gdy dać mu wolność – wytnie wokół siebie wszystkie drzewa. Zarazem przyjęty przez nich punkt widzenia oznacza, że posłów oraz urzędników etatyści uznają za nadludzi, wyposażonych w mądrość niedostępną zwykłemu Kowalskiemu. Po drugiej stronie są liberałowie (w klasycznym znaczeniu) i wolnościowcy, z zasady uznający, że ani poseł, ani urzędnik nie znają potrzeb Kowalskiego lepiej niż sam Kowalski.

Sprawa nie jest zero-jedynkowa. Wyjściem z sytuacji mogłoby być ograniczenie urzędniczej uznaniowości czy zwiększenie swobody obywateli w decydowaniu o wycince drzew przy pozostawieniu jakiegoś zakresu ochrony (można by choćby ograniczyć liczbę drzew, jakie można wyciąć w określonym czasie). Trudno jednak liczyć na rozsądne rozwiązanie w atmosferze histerii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

ks. Robert Skrzypczak

Zamęt wokół interkomunii z luteranami budzi niepokój

W wywiadzie udzielonym 10 grudnia ubiegłego roku katolickiemu dziennikowi „Avvenire" kard. Walter Kasper, eksprzewodniczący Papieskiej Rady do spraw Popierania Jedności Chrześcijan, nazywany „osobistym teologiem" papieża Franciszka, stwierdził m.in.: „Mam nadzieję, że kolejna deklaracja papieża stworzy możliwość wspólnej Komunii Eucharystycznej [z luteranami] w pewnych przypadkach. […] Spotkanie w Lund z jednej strony stanowiło potwierdzenie zaangażowania Kościoła w dialog ekumeniczny i wyraz uznania dla jego dotychczasowych owoców, z drugiej jednak postawiło przed nim nowe wyzwanie. […] Liczę, że kolejna deklaracja stworzy możliwość interkomunii w pewnych sytuacjach, zwłaszcza w przypadku małżeństw mieszanych oraz w krajach takich jak Niemcy i USA, w których ów problem duszpasterski jest szczególnie palący".

Powszechnie znaną rzeczą jest, że ten wybitny teolog jest zwolennikiem interkomunii. Jeszcze za pontyfikatu Jana Pawła II mówiło się, że zwracał papieżowi uwagę, iż powinna ona być możliwa w szczególnych przypadkach. Jednak hierarcha zawsze był lojalny wobec kościelnego nauczania i po encyklice „Ecclesia de Eucharistia" stwierdził, że jest jeszcze za wcześnie na interkomunię.

Interkomunia już

NIEZGODNOŚĆ NIE PRZERAŻA

Tymczasem kolejne podejście do zagadnienia interkomunii ze strony Kaspera może być efektem nie tylko wspomnianej inicjatywy ekumenicznej Franciszka w Szwecji 31 października ub.r. – chodzi o udział Ojca Świętego we wspólnym nabożeństwie ekumenicznym z luteranami z okazji 500-lecia reformy Marcina Lutra – lecz także niedawnych odwiedzin biskupa Rzymu w luterańskiej parafii Christuskirche w Wiecznym Mieście 15 listopada 2015 r. Papież wyraził w przemówieniu nadzieję na przełamanie trudności, jakim wciąż muszą stawiać czoło chrześcijanie chcący osiągnąć upragnioną jedność. „Jesteśmy świadomi – mówił papież – że mamy przed sobą jeszcze długą drogę, aby osiągnąć pełnię wspólnoty, która wyrażać się będzie w wypatrywanej przez nas wszystkich eucharystycznej Uczcie. Niemniej niezgodności nie mogą nas przerażać, a nasza droga naprzód – paraliżować. Musimy wierzyć, że tak jak odwalono kamień od grobu, tak i inne przeszkody mogą zostać usunięte, które stoją jeszcze na drodze do pełnej wspólnoty. Będzie to łaska Zmartwychwstania, której już dziś możemy zakosztować" – cytował słowa papieża portal Luteranie.pl. Uwagę opinii publicznej przyciągnęły nie tyle słowa Franciszkowego wystąpienia, ile stwierdzenia, jakie padły podczas dialogu z wiernymi protestanckiego zboru. Chodziło o postulat wspólnej komunii w przypadku małżeństw mieszanych. Kwestię tę podniosła Anke de Bernardinis, luteranka związana z mężem katolikiem, która wyznała, jak „ciąży świadomość różnic w wierze i niemożność wspólnego uczestnictwa w Wieczerzy Pańskiej".

Wywołało to w papieżu Franciszku następującą refleksję wypowiedzianą spontanicznie: „Nie jest mi łatwo odpowiedzieć pani na pytanie o wspólne uczestnictwo w Uczcie Pańskiej, zwłaszcza w obecności teologa tej maści co kard. Kasper. Trochę się boję – zażartował papież. – Kiedy sprawujemy Ucztę Pańską, wspominamy i naśladujemy to samo, co uczynił Pan Jezus. Wieczerza Pańska stanie się kiedyś uroczystym bankietem świętowanym w Nowej Jerozolimie. Lecz to będzie na

eprasa.pl 8322bd21d5

FOT. FOTOLIA

blisko?

końcu. Tymczasem, gdy jesteśmy w drodze, stawiam sobie pytanie – nie wiem, jakiej odpowiedzi udzielić, niemniej Pani pytanie jest zarazem moim. Zadaję sobie pytanie: Wspólne sprawowanie Wieczerzy Pańskiej stanowi cel drogi czy wiatyk na wspólne podróżowanie? Pozostawię to pytanie teologom, którzy się na tym znają. Prawda, że w pewnym sensie decyzja o wspólnym uczestnictwie musi wynikać ze stwierdzenia faktu, iż nic nas już nie dzieli, że mamy tę samą doktrynę… Pytam: Lecz czyż nie mamy tego samego chrztu? Jeśli łączy nas ten sam chrzest, to winniśmy iść razem. Pani stanowi świadectwo takiej drogi, i to pogłębionej, bo chodzi o drogę małżeńską, drogę rodziny, ludzkiej miłości i wspólnie przeżywanej wiary. Mamy ten sam chrzest. Gdy modlicie się razem, chrzest rośnie, umacnia się. Gdy uczycie swe dzieci, kim jest Jezus, po co przyszedł, co dla nas uczynił, czynicie to samo, albo w języku luterańskim, albo katolickim, ale czynicie to samo. Natomiast gdy chodzi o pytanie odnoszące się do Wieczerzy… »To jest Moje ciało, to jest Moja krew – powiedział Pan. – Czyńcie to na moją pamiątkę«. Jest to wiatyk pomagający nam w drodze. Łączyła mnie przyjaźń z pewnym biskupem episkopalnym, 48-letnim, żonatym, dwoje dzieci. Odczuwał podobny niepokój: żona katoliczka, dzieci katolickie, a on biskupem. Towarzyszył żonie i dzieciom na niedzielnej mszy św., a następnie szedł przewodzić nabożeństwu w swoim zborze. Był to pewien krok w stronę wspólnego uczestniczenia w Uczcie Pańskiej... Odpowiem Pani na pytanie innym pytaniem: Jak mam postępować z mężem, aby Uczta Pańska była wsparciem w drodze? To wyzwanie, na które każdy musi odpowiedzieć. Mówił mi pewien zaprzyjaźniony pastor: »My wierzymy w obecność Pana, wy wierzycie w obecność Pana. Na czym polega różnica?«. Uff, chodzi o wyjaśnienia, interpretacje. Lecz życie jest większe od wyjaśnień i interpretacji. Zawsze odwołujcie się do Chrztu: jedna wiara, jeden Chrzest, jeden Pan – tak nam mówi św. Paweł. I stąd zawsze wyciągajcie wnioski. Ja nigdy nie posunę się do udzielania pozwoleń, bo to nie są moje uprawnienia. Jeden Chrzest, jeden Pan, jedna wiara. Rozmawiajcie z Panem i do przodu. Nie ośmielę się powiedzieć więcej" (za: Sandro Magister, „Comunione per tutti, anche per i protestanti").

EUCHARYSTYCZNA GOŚCINNOŚĆ

Wypowiedź Ojca Świętego wzbudziła entuzjazm w gronie luteranów: „Decyzje należy podejmować w sumieniu – stwierdzał triumfalnie rzymski pastor Jens-Martin Kruse. – Nie ma dużych różnic w obecności Pana". „Nie istnieją racje teologiczne uniemożliwiające interkomunię".

W ślad za deklaracjami papieskimi podążyli liberalnie nastawieni komentatorzy katoliccy. Skoro dla strony protestanckiej droga do interkomunii stoi otworem, to także dla nas nadszedł czas na „zmiany" i „postęp w duszpasterskiej praktyce". Według dziennikarza jezuickiego czasopisma „La Civiltà Cattolica", o. Giancarlo Paniego, choć możemy zdobyć się na razie na zaledwie „małe kroczki w stronę postępu", to niemniej kierunek postępowania zostaje wyznaczony. Zbliżenie „braci odłączonych" do katolickiej Eucharystii podąża analogicznym rytmem jak udostępnianie, w zależności od przypadku, komunii świętej dla rozwodników żyjących w nowych związkach (Giancarlo Pani, „Cattolici e luterani. L'ecumenismo nel »Ecclesia semper reformanda«", „La Civiltà Cattolica" 3985, vol. 3 (2016), s. 17–25). Podobny tok myślenia można odnaleźć w dokumencie opracowanym wspólnie przez biskupów katolickich i luterańskich Stanów Zjednoczonych z 31 października 2015 r., w którym postuluje się uregulowanie dostępu do wspólnej komunii „według zasady miłosierdzia" („Declaration on the Way: Church, Ministry and Eucharist", Augsburg Fortress Publishers, Minneapolis 2016). Odpowiada to w jakiś sposób stwierdzeniu zawartemu w programowym dokumencie papieża Franciszka, że Eucharystia „nie jest nagrodą dla doskonałych, lecz szlachetnym lekarstwem i pokarmem dla słabych" (Franciszek, adhortacja „Evangelii gaudium", s. 47).

Dzisiaj często w kontaktach ekumenicznych podnoszony jest temat tzw. eucharystycznej gościnności. Pod tym pojęciem kryje się nadzieja nie tylko na wspólne spożywanie Ciała i Krwi Pańskiej, lecz także koncelebrę z pastorami i prezbiterami innych wspólnot kościelnych. Być może coś takiego wziął sobie do serca ks. Vitaliano della Sala, proboszcz parafii św. Anioła z miejscowości Scala, który postanowił celebrować liturgię Wigilii Paschalnej 22 kwietnia 2000 r. wspólnie z pastorem metodystycznym Antonio Squitierim. Gość wygłosił homilię i przyjął komunię świętą. Według pastorki Teodory Tosatti był to ważny przyczynek do rozwiązania dylematów małżonków mieszanych, którzy najboleśniej odczuwają wyznaniowe podziały właśnie z powodu trudności w komunikowaniu eucharystycznych postaci (Giovanni Sarubbi, „Cristiani e basta! Fra cronaca e riflessione teologica, un'esperienza di intercomunione", „Il Dialogo", maj 2000 r., s. 14).

Z całą pewnością do rozwoju „gościnności eucharystycznej" chciał przyczynić się inny zwolennik „ekumenizmu od dołu" ks. Lino Zatelli, proboszcz parafii św. Karola Boromeusza w dzielnicy Clavina w południowym Trydencie, który 30 maja 2015 r. do wspólnego odprawiania mszy św. zaprosił teolożkę i pastorkę baptystyczną z Varese, Lidię Maggi. Pastor nie tylko koncelebrowała Eucharystię

eprasa.pl 8322bd21d5

w katolickim kościele, lecz także wcześniej wygłosiła tam, od listopada 2014 r., siedem konferencji w ramach rekolekcji poświęconych ewangelicznym błogosławieństwom. Ludzie zatem nie czuli się zaskoczeni ani obecnością przy ołtarzu pastorki, ani wspólną homilią, którą pani Maggi wraz z ks. Lino poświęcili zagadnieniom roli kobiet, celibatowi kapłańskiemu, konkretnej roli „ludu Bożego" w życiu Kościoła i znaczeniu „powszechnego kapłaństwa" wiernych. Długi i czuły uścisk „koncelebrantów" wymieniony podczas znaku pokoju został nagrodzony gromkimi brawami wiernych (Marco Zeni, „L'abbraccio tra Chiese", „Vita Trentina" 23, 4 czerwca 2015 r.).

Z pewnością podobnych epizodów jest o wiele więcej. W niektórych krajach mogą stanowić już przyjętą praktykę. Mówił o tym podczas synodu biskupów poświęconego Eucharystii w 2005 r. luterański gość, norweski biskup Per Lønning, pytając zgromadzonych hierarchów o to, dlaczego Kościół katolicki uparcie potępia interkomunię, skoro w wielu miejscach katolicy i luteranie przyjmują już wspólnie komunię świętą. On sam też wielokrotnie uczestniczył w podobnych nabożeństwach (AsiaNews.it, 12 października 2005 r.).

W IMIĘ PRAWDY

Wzrastający zamęt wokół dyscypliny sakramentalnej budzi słuszny niepokój, a także krytykę kościelnych władz wymierzoną w niejasne i nieprecyzyjne prezentowanie katolickiej doktryny. Także samemu papieżowi Franciszkowi dostało się za opisany powyżej dialog z luteranami w rzymskiej parafii Christuskirche. Watykańskiego dziennikarza Sandro Magistera denerwuje „płynny" styl argumentacji pastoralnej Franciszka, który watykanista streścił w formule: „Tak, nie, nie wiem, róbcie, jak uważacie" (Sandro Magister, „Comunione per tutti, anche per i protestanti", art. cyt.).

Kardynał Gerhard Müller, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, tłumaczył zamęt „nieporozumieniem" (Gerhard Ludwig Müller, „Pope's Words on Intercommunion Misunderstood", „National Catholic Register", 23 grudnia 2015 r.). Prawosławni mogą uczestniczyć w naszych sakramentach, protestanci – nie. Nie wierzą oni w transsubstancjację eucharystyczną, czyli stałą i realną obecność Chrystusa w Eucharystii. Ponadto to, co nas oddziela od protestantów, to akceptowanie przez ich Kościoły antykoncepcji, aborcji, stosunków homoseksualnych oraz kapłaństwa kobiet. Są to tymczasem postawy całkowicie zakazane w Kościele katolickim. Wszelki gest, który nie jest jasny ani szczery, nie przyczyni się do postępu ekumenizmu na jakimkolwiek szczeblu. Pasterze Kościoła muszą być bardzo roztropni w wypowiedziach, by nie tworzyć dwuznaczności i zamętu, a także mylnego wrażenia, że nauczanie katolickie i protestanckie jest w zasadzie podobne z wyjątkiem nieistotnych szczegółów.

„Niekatolik nie może przystąpić do komunii – przypomniał przewodniczący Kongregacji do spraw Liturgii i Dyscypliny Sakramentów kard. Robert Sarah. – Należy wcześniej wyznać wiarę katolicką. Nie wystarczy kierować się swym sumieniem". Potwierdza to Katechizm Kościoła katolickiego: „Jeśli według oceny ordynariusza zachodzi jakaś poważna konieczność, szafarze katoliccy mogą udzielić sakramentów (Eucharystii, pokuty i namaszczenia chorych) innym chrześcijanom, niebędącym w pełnej jedności z Kościołem katolickim, gdy dobrowolnie sami o nie proszą. Trzeba jednak wówczas, by wyznali oni wiarę katolicką w stosunku do tych sakramentów i byli odpowiednio przygotowani do ich przyjęcia" (KKK 1401). Prawdziwym problemem interkomunii jest to, że w protestantyzmie w zasadzie nie ma Eucharystii, tylko symboliczny chleb. „Chleb nie jest zakonsekrowany, ponieważ kapłan nie jest kapłanem". Otwarcie się w tym momencie na interkomunię, w opinii kard. Saraha, byłoby otwarciem się na profanację.

To, co nas oddziela od protestantów, to akceptowanie przez ich Kościoły antykoncepcji, aborcji i kapłaństwa kobiet

Prawdziwą przepaścią z punktu widzenia teologicznego jest kwestia eklezjologiczna, czyli sakramentalny charakter Kościoła. Kardynał Kurt Koch, obecny szef Papieskiej Rady do spraw Popierania Jedności Chrześcijan, zaproponował przygotowanie nowej deklaracji na temat Kościoła, Eucharystii i święceń. „Jeśli chcemy rozmawiać tylko o Eucharystii, nie dojdziemy do żadnego pozytywnego końca. Wcześniej należy wyjaśnić pojęcie Kościoła i posług. Dla katolików święcenia kapłańskie są warunkiem sprawowania Eucharystii. Myślę, że jak dotąd nie zgłębiliśmy ani nie wyjaśniliśmy dostatecznie wraz z luteranami powyższych zagadnień. Jeśli nie możemy przystać na formy posługiwania w innych Kościołach, to niemożliwa jest zgoda na interkomunię" (Kurt Kuch, „Protestantizzazione? Niente paura… il papa e' cattolico", www.rossoporpora.org, 29 października 2016 r.).

POWRÓT DO DOMU

Wierność apostolskiemu depozytowi popłaca, zwłaszcza że Pan Bóg w swym działaniu może wciąż zaskakiwać. Ciekawym świadectwem podzielił się niedawno biskup Sztokholmu Anders Arborelius: „Każdego roku notujemy nowe nawrócenia z Kościoła szwedzkiego i niektórzy z tych nowych katolików są eksduchownymi mężczyznami i kobietami. Ostatnio też jakiś procent konwertytów pochodzi z Kościołów wolnych. Różne powody o tym decydują. Niektórzy czują się pociągnięci katolicką duchowością, wiernością tradycji, nauczaniem społecznym czy uniwersalnym charakterem Kościoła. Każdego roku jest ich mniej więcej około setki" (za: Radio Watykańskie, 25 października 2016 r.).

Dużym echem odbiło się przejście do Kościoła katolickiego pastora Russella E. Saltzmana, który od 30 lat służył w North American Lutheran Church. Swoją konwersję Saltzman nazwał „powrotem do domu", dodając przy tym, że wielu innych pastorów luterańskich mierzy się z podobną decyzją. Podobną intuicją kierował się Andreas Theurer, pastor Krajowego Kościoła Ewangelickiego Wirtembergii. W wyniku swoich studiów nad katolicyzmem napisał książkę o znamiennym tytule „Dlaczego powinniśmy zostać katolikami?". Wyraził w niej przekonanie, że Luter obecnie „nie miałby żadnych podstaw, by opuszczać Kościół katolicki" („Pastor-katolik i jego książka", PCh24.pl, 31 października 2013 r.).

W drodze do jedności dzisiejsi uczniowie Chrystusa wcale nie potrzebują podążania „na skróty". Umiłowanie prawdy i gotowość na nawrócenie doprowadzi nas kiedyś znowu do jednej owczarni Zmartwychwstałego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ks. dr hab. Robert Skrzypczak jest profesorem PWTW w Warszawie.

eprasa.pl 8322bd21d5

Być Izraelem Europy

FOT. FOTOLIA

Piotr Wierzbicki

W obliczu zmieniającej się sytuacji geopolitycznej Polska musi pogłębić współpracę ze Stanami Zjednoczonymi. Do tego potrzebna jest inicjatywa polskiej dyplomacji w kontaktach z administracją Donalda Trumpa

Wielkimi krokami nadchodzi w Europie trudny czas. Komisja Europejska ani myśli rezygnować z zamiaru skutecznego uderzenia w nielubiany polski rząd, wprost przeciwnie – intensywnie poszukuje nielegalnego (pozatraktatowego) sposobu nałożenia na nas sankcji poprzez ominięcie węgierskiego weta. Ewentualny sukces pani Le Pen we francuskich wyborach prezydenckich oznacza nie tylko gładkie rozwiązanie naszych problemów z Brukselą (poprzez krach europejskiego projektu integracji), lecz także nagłe wzmocnienie wpływów Kremla na Zachodzie. Wprost włosy stają dęba na głowie wobec realnej perspektywy objęcia władzy w Niemczech przez Martina Schulza, kandydata miękkich wobec Kremla socjaldemokratów, sfanatyzowanego aktywistę, rzecznika lewackich apetytów na zniszczenie europejskich państwowości, tego, który legalne działania polskich władz nazwał zamachem stanu i groził użyciem siły wobec krajów niechętnych przyjęciu uchodźców zaproszonych przez berliński rząd. Stoimy wobec takiej arogancji i buty, jakiej żaden niemiecki polityk nie okazał od czasów Hitlera. I dopadło nas widmo powtórzenia – oczywiście w wariancie mniej drastycznym – sytuacji, której doświadczyliśmy w latach 30. minionego wieku: kraj między dwiema potęgami, nieprzyjaznymi, ale gotowymi robić ze sobą różnorakie smakowite interesy.

To się jeszcze zdarzyć nie musi, pani Le Pen może przegrać, a pani Merkel zachować stanowisko, może przez pewien czas przynajmniej przetrwać jakie takie status quo. Jednak sama realność ziszczenia się fatalnego scenariusza jest sygnałem, na jak kruchych podstawach zasadza się nasze poczucie bezpieczeństwa. Sytuacja trudna wymaga czasem środków nadzwyczajnych. Wydaje się, że poza pilnym dalszym zwiększeniem wydatków na obronę pozostaje nam jeden jeszcze tylko krok: podjęcie, i to natychmiast, odpowiednich rozmów w Waszyngtonie.

Dlaczego „natychmiast"? Ponieważ prezydent Trump, tak jak improwizował w kampanii wyborczej, tak nadal nie ma w głowie gotowej strategii wobec Rosji i Europy, chce najpierw wybadać sytuację, ta strategia dopiero się kształtuje. Właśnie teraz. No i właśnie teraz jest czas, by usłyszał głos z Warszawy.

Na Trumpie nie zrobią wrażenia nasze żale, obawy, błagania, by jeszcze raz potwierdził amerykańskie zobowiązania wobec NATO. Trump nadstawi ucha, gdy usłyszy, że przychodzimy z propozycją atrakcyjną dla samej Ameryki, że może na tej propozycji zyskać, a nawet sporo zaoszczędzić. Dałoby się to w prostych słowach ująć tak: „Dozbrój pan Polskę, tak jak dozbrajacie rokrocznie Izrael, a będziesz miał pan spokój w Europie i w dodatku wyjdzie to taniej niż tuczenie czołgami tutejszych darmozjadów, którzy to sami żałują pieniędzy na obronę i już być może marzą skrycie o tym, by, olewając Wuja Sama, przykucnąć pod kremlowskim parasolem".

Nie miejmy złudzeń, niewielkie są szanse, by ten plan mógł oblec się w ciało w stu procentach: będzie wroga reakcja Brukseli (która przecież wybiera się właśnie na wojnę z Ameryką w obronie praw kobiet, imigrantów oraz „małżeństw" jednopłciowych), będą opory Kongresu i krytyczne artykuły w „New York Timesie". Jednak niechby udało się uzyskać choćby 10 proc., powiedzmy w postaci dwustronnego paktu obronnego – jakąż niosłoby to odmianę naszej sytuacji strategicznej! Rzecz jasna, aby uzyskać te 10 proc., na stole trzeba położyć pełne sto, choćby po to, aby w Waszyngtonie zrozumiano samą istotę propozycji (że nie o żebractwo tu chodzi, lecz o obopólnie korzystne interesy).

Jak zabrać się do rzeczy? Nic tu nie dadzą ani rutynowa akcja MSZ, ani kurtuazyjne spotkanie prezydenta Dudy z prezydentem Trumpem na majowym szczycie NATO. To Jarosław Kaczyński – chyba nie trzeba tego dłużej uzasadniać – powinien pojawić się u prezydenta Trumpa w Białym Domu na spotkaniu przygotowanym przez naszą dyplomację bądź (jeśli w ministerstwie powiedzą, że się nie da) poza protokołem, jak to już przecież w relacjach z liderami europejskimi się zdarzało. ©℗

eprasa.pl 8322bd21d5

Adam Zubek

Droga Wisły na tron królowej polskich rzek nie była prosta, tak jak nie jest prosty jej przebieg

Kręgosłup polskości

Wśród najdłuższych rzek europejskich niewiele jest takich, które w całości, tak jak Wisła, należałyby do jednego państwa. Na zdjęciu odcinek rzeki w Grudziądzu FOT. FOTOLIA

Na pozór, śledząc na mapie nurt Wisły, można by dojść do wniosku, że zachowuje się tak, jakby nie mogła się zdecydować, w którą stronę ma płynąć. Najpierw na północ, potem na wschód, potem znowu na północ, żeby niespodziewanie skręcić ostro na zachód. W końcu – jeszcze ostrzej – na północ. Były momenty, kiedy groziło jej, że stanie się rzeką polsko-ruską albo polsko-niemiecką. Mimo licznych przeciwności wybrała Polskę. Od źródeł do ujścia. O to ujście musieliśmy zresztą stoczyć przed 550 laty 13-letnią wojnę. Nawiasem mówiąc, wśród najdłuższych rzek europejskich niewiele jest takich, które w całości, tak jak Wisła, należałyby do jednego państwa. Wisła zasługuje więc w pełni na miano naszego skarbu narodowego.

Gdyby przejrzeć wszystkie mapy Polski w atlasach historycznych, nie znaleźlibyśmy ani jednej, na której Rzeczpospolita, nawet w postaci szczątkowej, tak jak podczas zaborów, nie miałaby styczności z Wisłą. (No, był jeden wyjątek, taki najczarniejszy z czarnych kilkunastoletni okres po III rozbiorze w 1795 r., gdy do czasu utworzenia Księstwa Warszawskiego nazwa „Polska" została całkowicie wymazana z mapy). Terytorium naszego kraju wielokrotnie zmieniało swoją konfigurację, historia przesuwała nas z zachodu na wschód i na odwrót. Jednak od czasów Kazimierza Odnowiciela, który przed bez mała tysiącem lat z pewnego miasta nad Wisłą, jakie wyrosło u stóp wawelskiego wzgórza, uczynił główny ośrodek władzy państwowej, ani razu nie daliśmy się odepchnąć od Wisły. Przeciwnie, zawsze była główną osią trwania polskości. Jej kręgosłupem. Stała się dla nas królową rzek polskich i jednocześnie rzeką królewską.

JAK WISŁA WYBRAŁA POLSKĘ

Metryka narodzin Wisły zachowała się szczątkowo. Znane jest miejsce jej pochodzenia – tego, że spod Baraniej Góry, uczą nas już w przedszkolu – ale daty urodzenia, jak to zwykle u dam, nie da się precyzyjnie ustalić. Najwyżej z dokładnością do miliona lat. Geolodzy i hydrolodzy wykonali detektywistyczną pracę nad odcyfrowaniem zatartych fragmentów metryki. Wiadomo, żeby mogła zaistnieć Wisła, musiały powstać Karpaty – najpierw tzw. Karpaty wewnętrzne (nasze Tatry, Pieniny, Podhale), potem Karpaty zewnętrzne (Beskidy). I dopiero ok. 5 mln lat temu, gdy z tzw. zapadliska przedkarpackiego ustąpiło morze (to ono pozostawiło nam sól w Wieliczce

eprasa.pl 8322bd21d5

i Bochni), zaistniało coś, co można prawdopodobnie kojarzyć z najstarszym odcinkiem Wisły – był to odcinek małopolski. To właśnie tam, na wschód od Krakowa, po ustąpieniu mioceńskiego morza, popłynęła rzeka, która wody swoje kierowała ku... Morzu Czarnemu. Trudno się dziwić, o Bałtyku jeszcze się wtedy nikomu nie śniło. Być może istniał także odcinek śląski Wisły, spod Baraniej Góry do mniej więcej Kotliny Oświęcimskiej, ale wody tego fragmentu prapra-Wisły, podobnie jak i jej górskich dopływów, spływały z kolei ku... Odrze.

Jeszcze większe zamieszanie zapanowało podczas epoki lodowcowej. W czasie jej trwania, przez ostatnie 2 mln lat, Wisła była zmuszona wypróbować kilka innych wariantów swojego przebiegu, poszukując jednak nieustannie najkrótszej drogi na północ. Podczas najstarszego zlodowacenia, gdy lądolód oparł się aż o Karpaty (ok. 400 tys. lat temu), nadal była zmuszona do wykorzystywania kierunku ku Dniestrowi i Morzu Czarnemu. Gdy ustąpił lądolód, Wisła przeprowadziła interesujący eksperyment – poprowadziła swoją dolinę z okolic Warszawy prosto na północ, przez okolice Ostródy i Działdowa. Eksperyment upadł podczas kolejnej transgresji lądolodu, który zasypał dolinę piaskami, żwirami i gliną, wyrównał teren tak, że Wisła nie była już w stanie odszukać swojej doliny. Kolejne zlodowacenie, środkowopolskie (200–130 tys. lat temu), zmusiło Wisłę do powrotu na kierunek wschodni. Tym razem odpływ wód odbywał się doliną Prypeci do Dniepru.

Sytuacja zmieniła się diametralnie podczas ostatniego zlodowacenia – pra-Wisła zmieniła orientację na zachodnią, wyprowadzając swoje wody z odcinka warszawskiego do... Morza Północnego kolosalnymi, wyrzeźbionymi przez siebie pradolinami: warszawsko-berlińską i toruńsko-eberswaldzką. Chyba nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie tych gigantycznych mas mętnej, przepełnionej rumowiskiem skalnym wody. Ocenia się, że w okresie letnim pradolinami przepływało 300–400 razy więcej wody na sekundę, niż dziś przepływa przy ujściu Wisły (1080 m sześc./s). Żadna ze współczesnych rzek na świecie, uwzględniając Missisipi i Amazonkę, nie zbliża się nawet do połowy tej wielkości.

Później, po całkowitym ustąpieniu lądolodu z ziem polskich (12 tys. lat temu), Wisła przez tysiąc lat zastanawiała się (to niezdecydowanie hydrolodzy nazywają bifurkacją), który kierunek wybrać – czy do Morza Północnego, czy do tworzącego się właśnie Bałtyku. Rzeczywiście, raz zasilała swoimi wodami jedno zlewisko, raz drugie. Wybrała Bałtyk i można powiedzieć, że w tym momencie wybrała nas, wybrała Polskę.

PRZEŁOMY W ŻYCIU WISŁY

Każdy odcinek Wisły, a geografowie wyróżniają ich sześć (Wisła Śląska, Wisła Małopolska, Wisła Lubelska, Wisła Mazowiecka, Wisła Kujawska i Wisła Pomorska), ma swoją historię, swój niepowtarzalny urok i magiczne miejsca. Także miejsca będące świadkami jej życiowych zakrętów, chwil epokowych. A chwile te zapisały się w postaci przełomów. Jest ich kilka w biegu rzeki. Nie przypominają oczywiście tych najsłynniejszych, spektakularnych przełomów naszych górskich rzek, takich jak przełom Dunajca przez Pieniny czy Nysy Kłodzkiej przez Góry Bardzkie, ale i tak należą do najbardziej malowniczych miejsc na obszarze środkowej i północnej Polski.

Takim miejscem w południowym biegu Wisły jest Brama Krakowska – bez wątpienia piękna krajobrazowo, z wapiennymi wzgórzami Wawelu, Skałki, Tyńca, Sowińca. Ten stosunkowo krótki i miejscami dość wąski (koło Tyńca dolina ma ok. 300 m szerokości) odcinek Wisły był rzeczywiście bramą – tędy w ciągu ostatnich 150 tys. lat przemieszczały się w dół rzeki fale osadnicze ludów znad Dunaju. Na przełomie VIII i IX w. Wawel stał się zapewne jednym z ośrodków państwa Wiślan. I to tu z którejś ze skał rzuciła się w nurty Wisły Wanda, oddając swe życie w ofierze za zwycięstwo nad germańskim Rydygierem (wersja według Długosza).

Sto pięćdziesiąt kilometrów dalej i w trochę innych czasach inna dzielna dziewczyna, Halina Krępianka, ocaliła Sandomierz przed inwazją Tatarów. Podstępem zwabiła stojących u bram miasta wojowników tatarskich do podziemnych korytarzy, wymytych w lessowym podłożu przez wody spływające do Wisły. Wtajemniczeni w podstęp mieszkańcy Sandomierza zawalili wyjścia głazami, grzebiąc zastępy najeźdźców, niestety razem z bohaterską Haliną.

Kilkadziesiąt kilometrów dalej Wisła dokonała karkołomnego wyczynu. Zamiast, wykorzystując naturalną bruzdę geologiczną oddzielającą Karpaty od ich przedpola, płynąć na wschód, ku Morzu Czarnemu, Wisła popłynęła na północ, przecinając 50-kilometrowym przełomem pas wyżyn południowopolskich. Zmusiły ją do tego dopływy rzek karpackich, które spychały jej nurt ku krawędzi Wyżyny Małopolskiej i Gór Świętokrzyskich. Przypuszcza się też, że drogę na wschód odcięły Wiśle trwające wciąż we wschodnich Karpatach ruchy górotwórcze. Wisła została zmuszona do wcięcia się w twarde skały mezozoiczne i paleozoiczne, tworząc dolinę o stromych, wysokich na 40–70 m zboczach. Właśnie temu zawdzięczamy zaistnienie takiego fenomenu krajobrazowego jak Góry Pieprzowe w rejonie Sandomierza. Podcinając brzeg Wyżyny Sandomierskiej, odsłoniła Wisła w tym miejscu skały należące do najstarszych na ziemiach polskich – łupki wieku kambryjskiego (ok. 500 mln lat temu). Łupki te, rozpadając się, tworzą zwietrzelinę przypominającą barwą i kształtem ziarna pieprzu.

Tak zwana Wisła Lubelska to na odcinku od Zawichostu do Puław najbardziej malowniczy fragment w całym przebiegu doliny rzeki. Dość wspomnieć takie nazwy jak Kazimierz, Janowiec i Puławy. Wisła na tym odcinku wykonała też jednak kawał dobrej roboty. Wcinając się w starsze i twardsze skały jurajskie oraz kredowe, stworzyła w niektórych miejscach jakby naturalne kamieniołomy, skąd w dawnych czasach czerpano kamień (opoki) na potrzeby budowlane. Wapienie jurajskie z okolic Zawichostu były spławiane rzeką jako surowiec do wypału wapna. Natomiast w okolicy Annopola w odsłoniętych przez Wisłę marglach występują złoża fosforytów, które eksploatowano przed wojną, a po wojnie powstała tu całkiem duża kopalnia eksploatująca ten surowiec na potrzeby przemysłu nawozów mineralnych. Już nie istnieje, ale jej wyrobiska zamieniły się w prawdziwą kopalnię paleontologiczną. Specjaliści z PAN uważają, że jest to jedno z najciekawszych w Europie stanowisk ze szczątkami zwierząt zamieszkujących kredowe morza. Roi się w ścianach wyrobisk od zębów rekinów, kości chimer, ichtiozaurów i innych gadów.

Fenomenem na skalę europejską jest też Kraina Lessowych Wąwozów rozciągająca się na wschodnim brzegu Wisły, między Kazimierzem Dolnym, Nałęczowem i Opolem Lubelskim. Stworzyła ją w dużym stopniu Wisła do spółki z wiatrem. Bezpośrednio, bo przecież kształtujące te wąwozy wody to wszystko większe lub mniejsze, stałe lub okresowe dopływy Wisły. Uczestniczyła też Wisła w powstaniu samych lessów. Podczas ostatniej epoki lodowcowej wszystkie rzeki na przedpolu lodowca niosły olbrzymie ilości produktów wietrzenia. Drobnoziarniste osady

eprasa.pl 8322bd21d5

były rozwłóczone po rozległych dnach dolinnych podczas wielkich powodzi roztopowych. Gdy nadchodziły sucha jesień i zima, silne wiatry znad czaszy lądolodu przenosiły pył i osadzały go na okolicznych wzniesieniach. Tak powstały grube pokrywy lessowe charakterystyczne dla krajobrazu pasa wyżyn południowopolskich. Można tylko żałować, że ta twórczość wiatru i wody ograniczyła się do niewielkiego obszaru – wytworzone na lessach czarnoziemy zajmują zaledwie 1 proc. powierzchni kraju.

Mogłoby się wydawać, że po pokonaniu takiej przeszkody jak wyżyny środkowopolskie Wisła popłynie już bezproblemowo prosto do morza, wykorzystując strefę głębokiego uskoku w podłożu, znaną jako strefa Teisseyre'a-Tornquista. Jednak na 850. kilometrze swojego biegu Wisła dokonuje zupełnie niezwykłej wolty – zmienia kierunek pod kątem ostrym, z prawie zachodniego na północno-wschodni. To miejsce, między Solcem Kujawskim a Fordonem, zyskało wśród flisaków nazwę Piekielnych Wrót. Tutaj napotykali problemy nawigacyjne i liczne przeszkody w korycie rzeki.

Hydrogeolodzy rozwikłali zagadkę tego nagłego zwrotu Wisły. U schyłku epoki lodowcowej ogromne masy wód – zarówno z topniejącego lądolodu, jak i napływające z południa, gdzie gwałtownie topniały lodowce tatrzańskie – miały jedną drogę odpływu: na zachód, wielkimi dolinami do Morza Północnego. Gdy lądolód wycofał się do Skandynawii, przed wodami pra-Wisły otworzyła się nowa droga – na północ. Dlaczego Wisła po tysiącletnim wahaniu wybrała właśnie tę? Dolina wiodąca dziś przez Kotlinę Grudziądzką oraz okolice Nowego, Kwidzyna i Tczewa okazała się atrakcyjniejsza, bo miała większy spadek, mogła też Wisła wykorzystać głębokie rynny polodowcowe powstałe po wytopieniu się brył martwego lodu. Miała też bliżej do ówczesnego Bałtyku (będącego na etapie Jeziora Lodowego i Morza Yoldiowego), bo jej strefa ujściowa zaczynała się koło Gniewa, a więc ok. 50 km od dzisiejszego ujścia. Tutaj właśnie Wisła „odpracowała" wszelkie szkody, jakie wyrządzała (i wyrządza) przez wieki w swoim górnym biegu. Przebudowała cały ten fragment wybrzeża Bałtyku i dobudowała (nadal dobudowuje) nam kawałek kraju, i to najwyższej klasy. Żuławy to najlepsze gleby w Polsce.

W OKOWACH REŻIMU

Wisła, choć królowa, zachowuje ustrój przyjęty dla całej Polski. Fundament tego ustroju jest, naukowo mówiąc, niwalno-pluwialny. Po naszemu – śnieżno-deszczowy. Mowa o ustroju rzecznym, zwanym też malowniczo przez hydrologów reżimem. Jest to reżim dość bezwzględny, narzucony przez klimat – dyktuje, kiedy rzeki polskie, z Wisłą na czele, mają prawo mieć wysokie stany wody, a kiedy niskie. Pozwala w zasadzie tylko na dwa w ciągu roku stany wysokie i jeden niski. Posługuje się w tym celu zasilaniem. Zasilanie śnieżne powoduje wysokie stany wód na wiosnę – podczas roztopów w marcu lub kwietniu, zasilanie deszczowe związane jest z letnim maksimum opadowym i przypada na koniec czerwca i lipiec. Okres niskiego stanu wody, zwany niżówką, występuje zwykle jesienią – we wrześniu i w październiku.

Wisła w zasadzie podporządkowuje się tym zwyczajom i na ogół spokojnie toczy swoje wody w tym rytmie do morza. Nie do niej jednak należy ostatnie słowo. Wisła ma na swoim śląskim i małopolskim odcinku bardzo rozbrykane rodzeństwo – cztery dziewczynki: Soła, Skawa, Raba i Wisłoka oraz dwóch chłopaków: Dunajec i San. I jeszcze kilka, bardziej ustatkowanych, na odcinku mazowieckim. Wszyscy sprawiają od czasu do czasu poważne problemy swoimi wezbraniami. I wtedy Wisła nie ma wyboru – ujawnia drugą, dziką i groźną stronę swojego charakteru. Czasem tylko na południu, czasem w swoim środkowym i dolnym biegu, ale zdarza się, że i na całej długości. Karpackie dopływy wywołały w ostatnich latach zagrożenie (2008 i 2001). W pamiętnym roku 1997 Wisła miała swój udział w „powodzi tysiąclecia". Wcześniejsze daty to: 1980, 1970, 1962, 1960. Jeszcze wcześniej – trzy dramatyczne powodzie na Wiśle w latach: 1958, 1934 i 1903. Rok 1958 zapisał się jako rok trzech powodzi – najpierw w kwietniu na odcinku mazowieckim, potem w czerwcu na odcinku karpackim, a wkrótce obrazu klęski dopełniła powódź w Sudetach. Z powodzi XIX-wiecznych najtragiczniej zapisał się rok 1813, wówczas powódź na Wiśle wpisała się w wielką powódź, która objęła całą Europę Środkową. Lista jest oczywiście bardzo długa, a najstarsza wzmianka zapisana u Długosza dotyczy roku 988. On sam musiał być świadkiem katastrofalnej powodzi w Krakowie w 1475 r.

Wisła dobudowała (nadal dobudowuje) nam kawałek kraju, i to najwyższej klasy. Żuławy to najlepsze gleby w Polsce

Do takich zachowań Wisła jest zmuszona, choć rzeczywistymi sprawcami są karpackie dopływy. Również w środkowym, mazowieckim biegu Wisła ma jednak dość kłopotliwe rodzeństwo – Bug z Narwią, do których czasem dołączają Pilica i Wieprz. To te dopływy są odpowiedzialne za wezbrania wiosenne, marcowo-kwietniowe. Zdarzają się coraz rzadziej, bo do ich zaistnienia potrzebna jest gruba pokrywa śnieżna na terenach nizinnych, a o to dziś trudno. Ostatnia wielka powódź roztopowa wystąpiła w 1979 r., po słynnej „zimie stulecia" – ślady tej powodzi do dziś są widoczne w Pułtusku, który znalazł się wtedy pod wodą. Z XX-wiecznych wydarzeń pamiętne są: powódź roztopowa z 1947 r., która zerwała most w Tczewie i zalała Żuławy, oraz powódź z 1924 r. Ta ostatnia porównywana bywa do powodzi z roku 1888, która miała największy zasięg terytorialny – dotychczas w wielu miejscach nieprzekroczony.

Wisła potrafi także wyłamać się spod obowiązującego reżimu hydrologicznego. Z taką niespodzianką mieliśmy do czynienia ostatnio w 2010 r., gdy powódź przyszła w maju. Zalane zostały: Czechowice-Dziedzice, Oświęcim, Kraków, Sandomierz, Tarnobrzeg. Na obraz klęski złożyły się nie tylko katastrofalne wezbrania rzek karpackich, lecz także klęska osuwisk na nieosuszonych jeszcze po roztopach zboczach Beskidów. Majowe powodzie na Wiśle zdarzyły się w latach 1951 i 1940. Ma więc Wisła na sumieniu setki, a może i tysiące ofiar oraz zniszczone domostwa, mosty, drogi i uprawy.

Reżim hydrologiczny jednak ewoluuje. Ocieplający się klimat sprawia, że częstsze niż niegdyś stają się niskie stany wody – niżówki. Ostatnio rekordowo niski poziom wody dotknął nas we wrześniu 2012 i 2015 r. W Warszawie cieszyli się z tego archeolodzy i historycy, odkrywając na dnie Wisły liczne zabytkowe niespodzianki. Jednak zaniepokojenie zapanowało w zakładach przemysłowych położonych w dolinie górnej i środkowej Wisły (m.in. w elektrowniach Połaniec i Kozienice), a także w miastach wykorzystujących wody powierzchniowe do celów komunalnych.

Przyszłość Wisły wymaga nie mniejszego zainteresowania niż jej przeszłość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

Ślub kniaziówny Anny Szuyskiej z Gustawem Potworowskim w 1937 r. w Poznaniu

FOT. ARCHIWUM RODZINY POTWOROWSKICH

Wierni Bogu i ojczyźnie

Tomasz Lenczewski

W genealogii Potworowskich zawiera się nasza historia narodowa wynikająca zarówno z relacji polsko-niemieckich, jak i miejsca szlachty oraz ziemiaństwa w Polsce

Potworowscy wzięli swoje nazwisko od Potworowa koło Turka, gdzie występują w początkach XV w. Nie byli rodowitymi Wielkopolanami, a miejscowość, z której pochodzą, należała wtedy do województwa sieradzkiego. Przynależność ich do rodu herbu Dębno świadczy o tym, że przybyli z Małopolski. Z heraldycznego rodowodu wynika ich tożsame pochodzenie m.in. z Oleśnickimi. Wędrówki rodzin szlacheckich w tym okresie nie były czymś nadzwyczajnym. Przodkowie dzisiejszych Potworowskich mieszkali następnie w dawnym województwie kaliskim oraz do końca Rzeczypospolitej szlacheckiej na ziemi wschowskiej województwa poznańskiego. W XVI w. Dobrogost Potworowski, sędzia ziemski kaliski i poseł na sejmy, zainicjował działalność polityczną rodu, która uległa przerwaniu. Powodem tego była konwersja rodziny na wyznanie braci czeskich, a następnie kalwinizm. Zmiana konfesji stała się za kontrreformacji przyczyną trudnego położenia stu kilkudziesięciu szlacheckich domów (m.in. Kurnatowskich, Ożarowskich i Wielowieyskich), których przedstawiciele „popadli w kalwińskie błędy". Rodziny kalwińskie zarówno w Wielkopolsce, jak i Małopolsce żyły w wąskim kręgu oraz izolacji politycznej (brak możliwości piastowania urzędów publicznych), społecznej oraz towarzyskiej. Dopiero w dobie zaborów większość Potworowskich powróciła do katolicyzmu, choć najstarsza gałąź tego rodu wygasła w czasie ostatniej wojny, do końca pozostała wierna protestantyzmowi.

Na początku XIX w. Potworowscy przenieśli się w obrębie zaboru pruskiego z ziemi wschowskiej do Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Zaznaczył się wówczas podział na dwie gałęzie rodu – starszą hrabiowską i młodszą. Pruski tytuł hrabiowski dla pierwszej był związany z polityką królewską mającą na celu pozyskanie wielkopolskiego ziemiaństwa. Odziedziczył go m.in. Edward Potworowski, oficer napoleoński i kawaler Orderu Virtuti Militari. Chociaż został członkiem pruskiej Izby Panów, to zawsze „głos ku obronie praw języka narodowego podnosił" i wspierał miejscowe polskie organizacje. Gałąź młodsza rodu, wkrótce zwana katolicką, wydała ze swego grona dwóch przedstawicieli, którzy w dziejach Wielkopolski zajęli poczesne miejsce. Wśród nich znalazł się Gustaw Potworowski (1800–1860), który otrzymał po ojcu Golę koło Gostynia z pałacem po Radolińskich. Urodził się kalwinem, ale wskutek małżeństwa z katoliczką, Klementyną Chłapowską, wszystkie jego dzieci zmieniły wyznanie. Była to typowa droga powrotu Potworowskich do Kościoła rzymskokatolickiego. Gustaw, w młodości wykształcony w Berlinie, dał się poznać jako zwolennik pracy organicznej i bliski współpracownik jej pierwszego orędownika dr. Karola Marcinkowskiego. Za jego czasów Gola stała się miejscem spotkań wielkopolskich organiczników. Nieprzeciętne zdolności organizacyjne i opinia dobrego gospodarza zaskarbiły mu powszechne zaufanie miejscowego ziemiaństwa. Przez 17 lat wybierano go do parlamentu pruskiego, gdzie walczył o prawa Polaków w Poznańskiem. Stąd nazywano go „niestrudzonym przodownikiem obywatelstwa wielkopolskiego" i dwukrotnie powierzono mu godność prezesa Koła Polskiego. Kiedy przedwcześnie zmarł w Poznaniu podczas pełnienia funkcji politycznych,

eprasa.pl 8322bd21d5

jego eksportacja na cmentarz kalwiński w Lesznie miała charakter manifestacji narodowej. Wziął w niej udział również ówczesny arcybiskup gnieźnieński. Wnukiem słynnego polityka był Edward, również syn Gustawa, przedwcześnie zmarłego posła na sejm pruski.

Edward Potworowski (1885–1939), ostatni, czwarty dziedzic Goli, który doczekał wolnej Polski, był właścicielem majątku liczącego 1,8 tys. ha. Jego dom tętnił życiem, w którym tradycyjnie, tak jak w wielu polskich rezydencjach, przebywała również dalsza rodzina. Jak wspomina Jadwiga z Morawskich Umiastowska, Gola była „kochanym domem rodzinnym, ściągającym starszą i młodszą generację na wakacje, polowania, święta albo nawet dłuższe pobyty. Nieraz mówiono, że w Goli jest ustawiczny młyn. Ale ile dobrego ci ludzie robili! Przez dom w Goli przewijali się oprócz rodziny księża, miejskie dzieci, nauczyciele, goście zagraniczni, dostojnicy Kościoła, a nawet był prezydent Rzeczypospolitej". Żywe były w Goli tradycje powstania wielkopolskiego, bo jej pan był w 1919 r. komendantem Straży Ludowej w Gostyniu, a później kwatermistrzem jednego z powstańczych frontów. Dzięki swoim stosunkom i środkom materialnym zaopatrywał oddziały polskie w broń oraz żywność. Po odzyskaniu niepodległości Edward powrócił do pracy społecznej i gospodarczej. Gospodarka w Goli była wzorowa, szczególnie obfite były zbiory zbóż i ziemniaków. Wylansowano nawet żyto zwane „Wielkopolskim", a z czasem „Golskim". Wysokie plony i dobre wyniki finansowe dóbr spowodowały popularność tego ośrodka, który stał się miejscem wycieczek rolników z całej Polski, a nawet z zagranicy. Kulminacyjnym punktem tej sławy stały się odwiedziny majątku podczas Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu przez prezydenta RP Ignacego Mościckiego w 1929 r. Jednocześnie Gola zapewniała przyzwoite warunki mieszkaniowe i opiekę społeczną robotnikom rolnym.

Ostatni właściciel Goli był człowiekiem w działaniu niezwykle energicznym, czasami wręcz porywczym. Jego praca społeczna wynikała zarówno z zamiłowania, dziedzictwa pokoleń, jak i poczucia obowiązku wobec zasad katolickich. Nie brakowało mu poczucia humoru i umiał zjednać sobie sympatię ludzi, choć miał tę rzadką cechę mówienia im prawdy bez względu na konsekwencje. Ziemianin Krzysztof Morawski z Turwi zapamiętał go jako „życzliwego egocentryka, dla którego własna praca, w którą zaangażował się bez wytchnienia, była najważniejszą rzeczą na świecie. Jak wielu poznańczyków opowiadał wyłącznie o własnych – jakby Sienkiewicz powiedział – »przewagach«. Miał dodatnią cechę odznaczającą go od jego klasy społecznej: duże wyczucie innych »sfer« społeczeństwa, prawdziwy demokratyzm, obcy zazwyczaj ekskluzywnemu klanowi rasowych ziemian. Czasami nawet przesadzał, gdyż był uprzejmiejszy dla innych »sfer« jak dla własnej, co mu swoi mieli za złe". Miał przygotowanie ekonomiczne po niemieckich studiach, choć ich nie ukończył. Wzorem dziadka prowadził działalność w organizacjach rolniczych Wielkopolski. Był m.in. prezesem powiatowego Towarzystwa Kółek Rolniczych, które należało do najwyżej notowanych w Polsce pod względem kultury rolnej. Do tego dochodziły aktywność w lokalnych inicjatywach gospodarczych i hojne ofiary na różne cele społeczne. Głównym polem jego pracy społecznej stały się jednak organizacje katolickie i współpraca z kardynałami Edmundem Dalborem i Augustem Hlondem. Zostało to uhonorowane nadaniem mu godności tajnego szambelana papieskiego. Był prefektem ogólnokrajowego Katolickiego Związku Młodzieży Męskiej, jednego z filarów Akcji Katolickiej. Uczestniczył w licznych kongresach i zjazdach katolickich. Również żona pana na Goli, Tekla z Morawskich Potworowska, działała społecznie w Sodalicji Mariańskiej Pań i Związku Ziemianek Wielkopolskich.

Andrzej Potworowski
FOT. ARCHIWUM RODZINY POTWOROWSKICH

WOJENNE LOSY RODZINY

Wojna zastała Potworowskich w Goli, do której powrócili z młodszymi dziećmi po krótkiej wrześniowej tułaczce. Dwaj starsi synowie, oficerowie rezerwy, Gustaw (1912–1970) i Franciszek (1914–1983), kawaler Virtuti Militari za bitwę nad Bzurą, wzięli udział w kampanii wrześniowej. Obydwaj spotkali się później w oflagu w Woldenbergu, gdzie doczekali końca wojny. Ich ojciec, Edward Potworowski, został rozstrzelany 21 października 1939 r. wśród 30 innych zakładników spośród miejscowej inteligencji na rynku w Gostyniu. Była to jedna z wielu publicznych egzekucji przeprowadzonych przez Niemców jesienią 1939 r. w Wielkopolsce. Oddziały policji bezpieczeństwa oraz SS dokonały wówczas aresztowań i egzekucji powstańców wielkopolskich, a także przedstawicieli różnych zawodów, zwłaszcza nauczycieli, działaczy narodowych i właścicieli ziemskich. Zabijano ich za to, że byli Polakami i by zastraszyć innych. Tekla Potworowska była świadkiem śmierci męża. Wkrótce została wywieziona podczas masowych deportacji do Generalnej Guberni, gdzie spędziła ostatnie dwa lata życia u brata w Małej Wsi pod Grójcem. Kiedy zmarła, miała zaledwie 51 lat.

W 1937 r. w swojej prywatnej kaplicy w Poznaniu kard. Hlond, arcybiskup gnieźnieński, pobłogosławił związek małżeński Gustawa, najstarszego syna dziedzica Goli, z Anną kniaziówną Szuyską, córką senatora. Tuż przed wybuchem wojny małżonkom urodził się syn. Anna z Szuyskich Gustawowa Potworowska była podczas okupacji zaangażowana w Oddziale Informacyjno-Wywiadowczym Komendy Głównej AK. Ciężko ranna od kuli snajpera w powstaniu warszawskim, zginęła spalona przez Niemców w szpitalu powstańczym przy ul. Foksal.

Gustaw Potworowski, poważnie ranny podczas oswabadzania jeńców przez Armię Czerwoną nad Odrą, po zaleczeniu powrócił wraz z bratem Franciszkiem do Polski. Pobyt Franciszka w Polsce był krótki. Jego małżonka, Krystyna z hr. Szeptyckich, czekała na niego we Francji wraz z synem. Wyjechał z Polski jako Francuz, co w 1945 r. nie było jeszcze trudne. Jego trzej synowie osiedli w Kanadzie. Wszyscy otrzymali tytuły naukowe w różnych dziedzinach. Mimo związków z Polkami ich dzieci są już Kanadyjczykami.

Powojenne losy Gustawa Potworowskiego były typowe dla ziemian. Powrócił do swego przedwojennego zajęcia związanego z eksportem węgla. W 1950 r. utracił miejsce pracy. Później aresztowano go pod pretekstem nielegalnego przywiezienia do Polski 100 dol. w 1948 r. (a było to podczas wyjazdu służbowego i miał zezwolenie

eprasa.pl 8322bd21d5

szefa delegacji). Po pół roku wyszedł na wolność, lecz długo nie mógł znaleźć odpowiedniego zatrudnienia. Po październikowym przełomie 1956 r. niewiele zmieniło się w życiu Gustawa. Jego fachowe doświadczenie w handlu zagranicznym i znajomość języków obcych nie zostały wykorzystane. Został skazany, jak typowy „bezet" ze środowiska ziemiańskiego, na marginalizację. Wegetował na różnych stanowiskach w organizacjach gospodarczych PAX i zmarł jeszcze przed emeryturą. Mimo wielu trudów, jakich nie szczędziło mu życie, potrafił zachować optymizm i uważał, że miejsce Polaka jest w Polsce.

Najmłodszy brat Gustawa, Edward Potworowski (1923–2011), żołnierz Armii Krajowej i powojenny inżynier elektryk, był krótko więziony po wojnie. W wieku 30 lat wstąpił do dominikanów, gdzie otrzymał imię Walenty. Wielokrotnie był wybierany na przeora oraz sprawował urząd prowincjała, a później przewodniczącego Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich w Polsce. Z racji przyjaźni z Jeanem Vanierem, założycielem wspólnot z osobami niepełnosprawnymi, współorganizował jego rekolekcje w Polsce oraz przyczynił się do powstania w naszym kraju wspólnoty Arka koło Krakowa.

OSTATNIE POKOLENIA

Jedyny syn Gustawa i Anny z Szuyskich Potworowskich ukończył Wydział Elektryczny Politechniki Łódzkiej i początkowo zatrudniony był tam w charakterze pracownika naukowego. Udało mu się dzięki kontaktom ojca odbyć półroczny staż przemysłowy w Anglii. Znajomość języka angielskiego ułatwiła mu znalezienie pracy w firmie importowo-eksportowej, należącej do tzw. państwowych przedsiębiorstw przedstawicielskich. Była to praca urozmaicona, związana z częstymi podróżami zagranicznymi, co po 1990 r. pozwoliło otworzyć własną firmę. W 1991 r. dzięki rekomendacji, doświadczeniu międzynarodowemu oraz brakowi przeszłości agenturalnej został przyjęty na stanowisko ambasadora RP w Helsinkach. Funkcję tę pełnił w latach 1992–1995. Jego praca miała wpływ na późniejszy wzrost fińskich inwestycji w naszym kraju. Po ukończeniu dyplomatycznej misji powrócił do własnej firmy. W 2001 r. wstąpił do Związku Polskich Kawalerów Maltańskich. W latach 2007–2012 był prezydentem polskich maltańczyków. Z małżeństwa z Barbarą Zańską ma córkę Annę, anglistkę i współwłaścicielkę szkoły języków obcych w Warszawie, oraz syna Jana, z wykształcenia matematyka, mającego doktorat z biologii i będącego przedsiębiorcą w branży informatycznej.

Oprócz Potworowskich z Goli istnieją do dziś inni potomkowie tej katolickiej gałęzi. Najbardziej znanym z nich był malarz Piotr Potworowski, syn fabrykanta w Warszawie. Ten utalentowany artysta, specjalizujący się w pejzażach, większość swego życia spędził za granicą. U schyłku życia był profesorem malarstwa w Polsce. Jego grób znajduje się w Alei Zasłużonych na warszawskich Powązkach. Liczni wnukowie artysty, potomkowie jego syna, profesora matematyki Jana Potworowskiego, są już całkowicie związani z angielską ojczyzną. Bratem stryjecznym Piotra był dyplomata Gustaw Potworowski, który był ostatnim przedstawicielem II Rzeczypospolitej w Sztokholmie i posłem rządu emigracyjnego w Lizbonie. Jego syn, Tomasz – uchodźca wojenny i absolwent angielskiej uczelni, który pracował w międzynarodowych firmach telekomunikacyjnych – mieszka dziś w Kalifornii. Dalszym ich bliskim krewnym jest Tadeusz Potworowski, dyplomowany księgowy i biegły rewident. Pochodzi z powojennej emigracji, jednak do dziś pozostał blisko związany z Polską, zwłaszcza po 1990 r., kiedy otworzył w Warszawie firmę głównych księgowych. Pomimo emerytury często odwiedza Polskę, gdzie pełni funkcję prezesa powierników Fundacji Zakładu Ociemniałych w Laskach pod Warszawą. Zarówno Tadeusz Potworowski, jak i jego mieszkająca w Anglii siostra Gabriela mają współmałżonków ze znanych wielkopolskich rodów: Bnińskich i Chłapowskich.

Potomkowie Andrzeja Potworowskiego, wnuka Edwarda z Goli, stanowią dziś 18. i 19. pokolenie rodu osiadłego w średniowieczu w Sieradzkiem. Obok ojca są aktualnie jedynymi potomkami tego tak licznego niegdyś ziemiańskiego rodu w Polsce. Historia od tego czasu zatoczyła wielkie koło. Majętność Golę, której barokowo-klasycystyczny pałac był skonfiskowany wraz z dobrami ziemskimi przez okupacyjne władze niemieckie, przejęła Polska Ludowa i powstał tam PGR. Rezydencja przetrwała w niezłym stanie, a majątek dziś znajduje się w dzierżawie angielskiej spółki rolnej. Pałac ma jednak szansę powrotu do potomków dawnych właścicieli, których dziedzictwo pozostawiło trwały ślad w historii nie tylko tego regionu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

NOWA POWIEŚĆ HARLANA COBENA

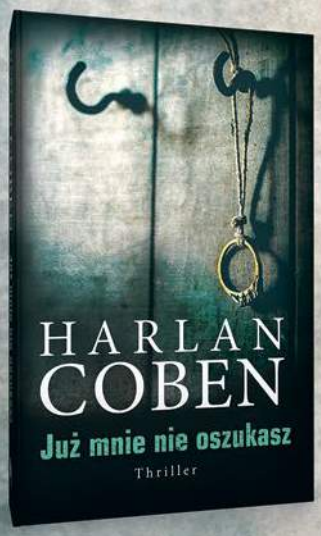

Myślisz, że znasz prawdę, ale prawda jest taka, że nie wiesz nic...

WYDAWNICTWO ALBATROS
Książki dostępne w salonach i na stronie: empik

Psychologiczny thriller w hitchcockowskim stylu

FINALISTKA GOODREADS W DWÓCH KATEGORIACH: DEBIUT I NAJLEPSZY THRILLER 2016

eprasa.pl 8322bd21d5

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Ochotnicy niewoli

Po raz pierwszy nie zgadzam się z redakcją mojego ulubionego periodyku historycznego. I to nie zgadzam się fundamentalnie. Głównym tematem nowej „Karty" są bowiem losy dąbrowszczaków. A poświęcone im materiały zostały opatrzone tytułem… „Ochotnicy wolności".

Myślałem, że to dowcip lub rodzaj prowokacji, ale niestety okazało się, że „Karta" napisała tak na poważnie. W środku pisma znalazłem artykuły będące bezkrytyczną apoteozą Polaków, którzy pojechali na wojnę domową w Hiszpanii, by walczyć po stronie republiki. Mowa o grupie komunistów i agentów NKWD, którzy próbowali siłą narzucić Hiszpanii bolszewizm. Dokonywali bestialskich mordów księży i ziemian, palili kościoły, zabijali jeńców. A po 1945 r. zasilili kadry ubecji, KBW i innych ludobójczych formacji sowietyzujących Polskę. Dla mnie i dla sporej części Polaków to nie byli żadni „ochotnicy wolności", tylko renegaci i zbrodniarze. A to, że do dziś istnieją w Polsce ulice Dąbrowszczaków, uważam za aberrację.

Wielka szkoda, że „Karta", która do tej pory słynęła z obiektywizmu, nieoczekiwanie poszła w tak radykalnym kierunku. Na szczęście przykrość tę zrekompensowała mi dalsza część numeru. A szczególnie fragmenty dzienników Michała Römera – postaci mi bliskiej, patrioty Wielkiego Księstwa Litewskiego, przedstawiciela zacnego środowiska krajowców. Redakcja wybrała fragmenty dotyczące… burzliwego romansu z prostytutką. Cóż to za kapitalna historia! Otóż Römer w 1911 r. zadurzył się w dziewczynie lekkich obyczajów i zaczął prowadzać się z nią po Wilnie! Wybuchł wielki skandal. Jednak cóż mógł poradzić biedny Römer – namiętność była silniejsza niż konwenanse. „Przy obiedzie wytworzył się między nami nastrój takiego podniecenia – pisał – że poszliśmy z Anną na kilka godzin do hotelu dla swobodnego użycia miłości, która, jak napój szumiący z czar pełnych, tak się z serc i zmysłów naszych przelewała".

„Karta" startuje z monumentalną, sześciotomową edycją dzienników Römera. Zapowiada się fascynująco! ©℗

„KARTA" 90/2017

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Sukcesy i klęski Bodo

Można sądzić, że Eugeniusz Bodo, niczym mityczny król Midas, wszystko zamieniał w złoto. Gdy 24 lutego 1934 r. na ekrany wszedł „Pieśniarz Warszawy", którego był współscenarzystą i producentem (oczywiście grał też główną rolę), publiczność wręcz oszalała z zachwytu. Bodo był na ustach wszystkich, a piosenka „Zimny drań" natychmiast stała się przebojem. Inna sprawa, że aktor wykonał ją „jak rasowy jazzman", po raz pierwszy w dziejach polskiego filmu wykorzystując scat, czyli dźwiękonaśladowczy sposób śpiewu.

Bodo wiedział, że porażki są wliczone w jego zawód

Filmowy sukces utworu z miejsca zdyskontowały wydawnictwa fonograficzne i już niebawem „Zimnego drania" śpiewała cała Polska. Doszło nawet do tego, że gdy Bodo miał wykonać utwór na żywo przed mikrofonami Polskiego Radia, o tym doniosłym wydarzeniu z wyprzedzeniem informowała codzienna prasa.

Jednak nawet Bodo czasami zdarzały się porażki. Należał do nich film „Kocha, lubi, szanuje" zrealizowany przez polsko-amerykańską spółkę, co miało mu zapewnić sprawną dystrybucję poza granicami kraju. Wydawało się, że całość została zapięta na ostatni guzik – w rolach głównych Bodo i Loda Halama, w drugoplanowych: Ludwik Lawiński, Michał Znicz, Stanisław Sielański, Zula Pogorzelska i Konrad Tom, muzyka Henryka Warsa, zdjęcia Seweryna Steinwurzela i reżyseria Michała Waszyńskiego…

W produkcję zaangażowała się hollywoodzka wytwórnia Universal Pictures, a film miał „daleko poza granicami rozsławić imię Polski". Piętą achillesową okazał się jednak scenariusz, z czego zdawali sobie sprawę producenci, jednak uznano, że gwiazdorska obsada jest wystarczającą gwarancją sukcesu.

Film wszedł do kin miesiąc po „Pieśniarzu Warszawy" i okazał się klęską artystyczną oraz finansową. Wszystko bowiem było tu poprawne, zabrakło natomiast naprawdę dobrych pomysłów realizatorskich. Nawet piosenki Henryka Warsa nie stały się przebojami, co należy wręcz uznać za pewną osobliwość. Recenzenci byli bezlitośni, podnoszono słabość scenariusza, twierdzono, że Bodo był „słabszy niż zwykle", a do tego „głosowo jawnie nieusposobiony". Całość miała sprawiać wrażenie produkcji, gdzie „w oczekiwaniu sporych zysków wypchnięto trochę zdeprecjonowanych, anemicznych dolarów".

Bodo jednak się nie przejmował, wiedział, że porażki są wliczone w jego zawód, i niebawem zagrał w „Czy Lucyna to dziewczyna?". Oznaczało to powrót na filmowy parnas, którego już nigdy miał nie opuścić. ©℗

eprasa.pl 8322bd21d5

HISTORIA
DO RZECZY

JUŻ W MARCU!

NOWY PORTAL HISTORYCZNY
historiadorzeczy.pl

NAJCIEKAWSZE WYDARZENIA
TAJEMNICE HISTORYCZNE
KOMENTARZE HISTORYKÓW I EKSPERTÓW

PARTNERZY SERWISU:

PGNiG
FUNDACJA PGNiG
ROZGRZEWAMY POLSKIE SERCA
Fundacja PGNiG

eprasa.pl 8322bd21d5

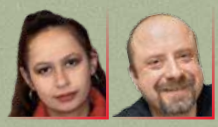

Z Julią Łatyniną, rosyjską publicystką i pisarką
rozmawiają Elena i Gabriel Michalikowie

Putin w spokojnej fazie

ELENA I GABRIEL MICHALIKOWIE: W szpitalu wylądował znany opozycjonista Władimir Kara-Murza. To już kolejny wróg Putina, którego życie zawisło na włosku. Pani zdaniem Putin kazał otruć Kara-Murzę?

JULIA ŁATYNINA: Na razie nie można tego stwierdzić z całkowitą pewnością. Po pierwsze, brak jednoznacznych opinii lekarzy. Przyznaję jednak, że mało prawdopodobne jest, aby Kara-Murza ot tak, nagle zachorował na nieznaną chorobę. Trucicielstwo nie jest tym rodzajem działalności, przed którą na Kremlu czuje się opór: truto Annę Politkowską, na śmierć otruto Aleksandra Litwinienkę, truto też (na szczęście bez skutku śmiertelnego) moją przyjaciółkę, dziennikarkę Associated Press. Jak się okazało, chodziło o to, aby jak najszybciej wyjechała z Kabardo-Bałkarii, gdzie komuś zagrażała. Nie byłoby więc niczego dziwnego w tym, gdyby rzeczywiście Kara-Murzę otruto. Nie ma chyba jednak sensu wiązać tego zdarzenia z bieżącą działalnością Putina. Jeśli to otrucie, to być może akurat teraz człowiek przydzielony do śledzenia Kara-Murzy miał czas i okazję się nim zająć? Może właśnie wrócił z urlopu i nadrabiał zaległości w pracy?

Decyzje o truciu opozycjonistów zapadają na tak niskim szczeblu?

Zakładając, że Kara-Murzę istotnie otruto, nie znaczy to, że osobiście zadecydował o tym prezydent. Czasem okazuje się, że głośny opozycjonista przeszkadza jakiemuś całkiem niegłośnemu wpływowemu człowiekowi. Zresztą truli nie tylko opozycjonistów, lecz także ludzi z własnych szeregów. Na przykład Romana Cepowa, oficera Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przestępcę, biznesmena, człowieka stu pasji i zawodów, którego wielkim marzeniem była jak najbliższa zażyłość z Putinem. Gdy prasa zaczęła nazywać Cepowa „szarą eminencją", otruto go; prawdopodobnie w ten sam sposób co Litwinienkę. Zrobili to konkurenci do względów Putina zapewne nie tylko bez wiedzy Putina, lecz także ku jego niezadowoleniu.

Na razie nikt nie otruł natomiast Aleksieja Nawalnego. A on sam ogłosił start w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Kreml mu na to pozwoli?

W otoczeniu Putina zdania na ten temat są podzielone. Wiadomo, że aktywność Nawalnego podczas kampanii wyborczej może być nieprzyjemna i szkodliwa dla Kremla. Nawalny będzie wyciągał afery korupcyjne, nasili akcję dezawuowania polityków Jednej Rosji. Są też jednak korzyści. Po pierwsze, udział Nawalnego legitymizuje wybory, a po drugie – i to może być rozstrzygające – cała branża marketingu politycznego jest wygłodniała. Od kiedy Putin cieszy się tak wielkim poparciem, Kreml stracił ochotę na wydawanie pieniędzy na kampanię. Obrona Rosji przed Nawalnym może być dobrym pretekstem do wyciągnięcia kasy przez różnej maści i rangi urzędników. Pytanie tylko, czy Putina uda się do tego przekonać.

A pani wiąże nadzieje z udziałem Nawalnego w wyborach?

eprasa.pl 8322bd21d5

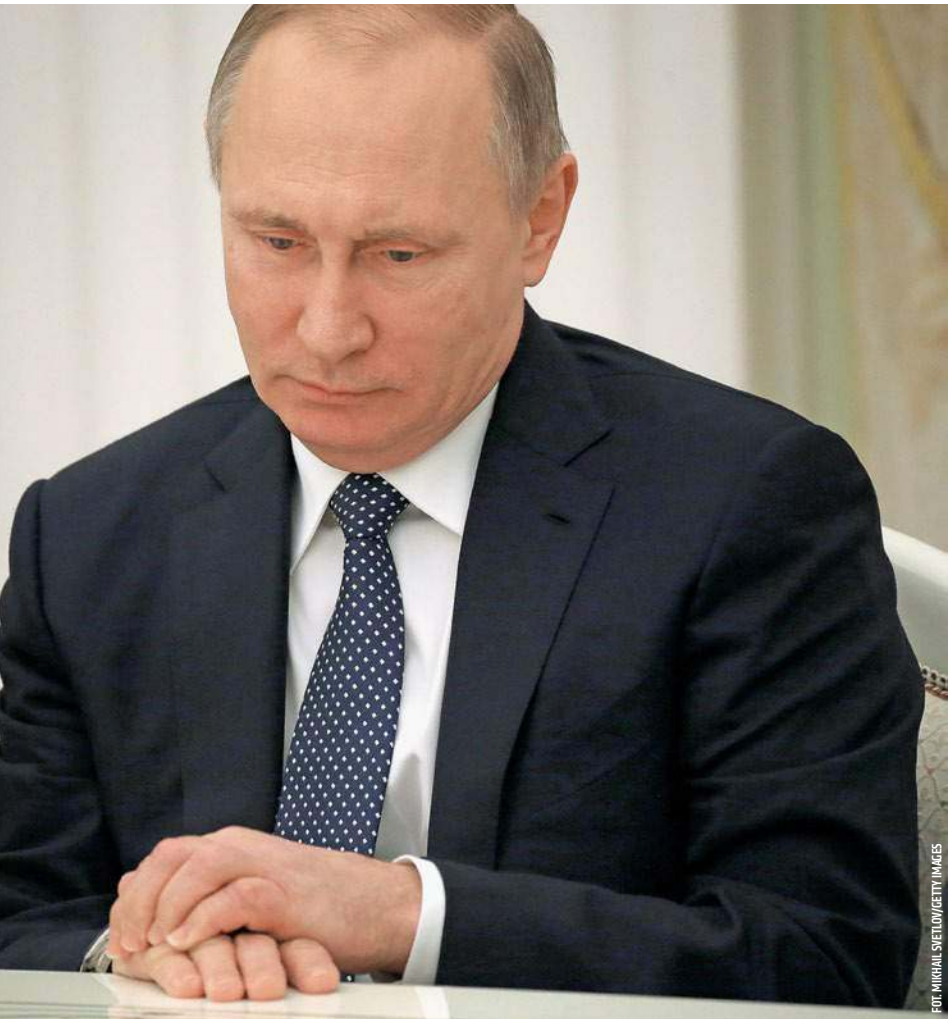
FOT. MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES

On jest najlepszym, co mamy. Tak jak w znanej przypowieści, w której dwie żaby wpadły do dzbanka ze śmietaną – jedna się poddała i szybko utonęła, a druga tak przebierała łapkami, aż ubiła śmietanę na masło i wyskoczyła z dzbanka. No więc, gdy wszyscy się poddają, Nawalny przebiera łapkami. To godne najwyższego uznania.

Tylko czy w dzbanku jest istotnie śmietana, a nie np. brudna woda?

Oto pytanie.

Na razie Putin jest mocniejszy niż kiedykolwiek. Ubiegłoroczne wybory parlamentarne zmiotły opozycję poniżej progu finansowania z budżetu. Nawet partia Jabłoko, która od dawna przekraczała 3 proc. poparcia, spadła poniżej tego minimum. Co robi Putin, gdy jest syty władzy?

Stara się trzymać naród w poczuciu wzmożenia obronnego. Jest to o tyle trudne, że ta obecna spokojna faza nastroju Putina wiąże się z próbami pogodzenia się ze wszystkimi i zaskarbienia sobie międzynarodowego uznania. Z jednej więc strony Putin stara się nie zadrażniać, dba – na ile to możliwe – o to, by przypodobać się światu, ale z drugiej nie może zaprzestać podsycania narodowej paranoi nowym paliwem. Skoro sprawa ukraińska nieco się wypaliła, Gruzja jest nieaktualna, a Syria już zwietrzała, to potrzebny jest całkiem nowy temat. Wcześniej czy później coś takiego się okaże i wyjdzie na jaw, że ktoś nam zagraża i przed kimś musimy się bronić.

Białoruś?

Dziwny wybór.

Jesienią na Białorusi odbędą się wielkie ćwiczenia wojskowe mające przygotować armię na wypadek agresji ze strony Polski i państw bałtyckich. Aleksiej Wieniediktow, redaktor naczelny rozgłośni radiowej Echo Moskwy, przestrzega, że jeśli rosyjskie wojsko wejdzie teraz na Białoruś, to już raczej nie wyjdzie.

Nie przesadzałabym. Do jesieni zostało jeszcze sporo czasu. Jeśli Mińsk nabierze przekonania, że istnieje ryzyko okupacji, to może po prostu odwołać ćwiczenia.

Kilka lat temu w aneksję Krymu też mało kto wierzył.

Zgoda. Putin przyzwyczaił nas do tego, że żadne prognozy nie mają sensu. Powiem więc tak: myśląc zdroworozsądkowo, wykluczam okupację Białorusi. Z tym zastrzeżeniem, że zdrowy rozsądek nie jest idealnym narzędziem do prognozowania zachowań prezydenta Rosji.

Relacje Putina z Łukaszenką stają się coraz trudniejsze. Białoruski prezydent z rosnącym apetytem spogląda na Zachód.

I co? Myśli, że go takiego ślicznego przyjmą do Unii?

Niedawno do Mińska jeździł Stanisław Karczewski, marszałek polskiego Senatu. Po powrocie, wśród wielu komplementów pod adresem mińskiego reżimu, oznajmił, że Aleksander Łukaszenko to bardzo ciepły człowiek.

Współpraca, zwłaszcza gospodarcza, między Europą a Białorusią leży w interesie Europy, ale od tej konstatacji do istotnego zbliżenia jest naprawdę jeszcze bardzo daleko. Dlaczego marszałek polskiego Senatu ma się nie spotykać z Łukaszenką? Zdaje się, że Polacy po to wybierają swoje władze, żeby troszczyły się o waszą gospodarkę. Geopolityka naprawdę ma trzeciorzędne znaczenie.

U nas jednak się śmiano z marszałka.

Świat się zmienia. Polityka Łukaszenki wobec Europy, od kiedy Putin stał się całkiem nieobliczalny, jest dość prosta i logiczna. Właściwie nawet rozsądna. Jeszcze 10 lat temu Łukaszenko miał znacznie gorszą reputację na Zachodzie niż Putin. Był dyktatorem, a Putina, z pewnym zapasem myślenia życzeniowego, można było uznać niemal za demokratę. Po aneksji Krymu przez Putina Łukaszenko wygląda znacznie lepiej od rosyjskiego kolegi. Wprawdzie troszkę zabija opozycjonistów, troszkę fałszuje wybory, ale przecież w Rosji jest to samo, tak że w konkurencji z Putinem wygrywa, ponieważ niczego u nikogo nie okupuje. W obecnych warunkach czyni to z niego osobę godną życzliwego podejścia. A zresztą jaki jest, taki jest, ale Europa, w tym Polska, powinna z nim rozmawiać z pobudek jak najbardziej pragmatycznych.

eprasa.pl 8322bd21d5

W 2008 r. Julia Łatynina odebrała nagrodę Obrońca Wolności z rąk Condoleezzy Rice FOT. LAWRENCE JACKSON/AP PHOTO/EAST NEWS

A jeśli Łukaszenko szykuje się do emerytury, żeby otworzyć Białorusi drogę do Unii? Putin zdaje sobie z tego sprawę, stąd jego nerwowe ruchy wobec Mińska – zakaz importu wołowiny, przywrócenie kontroli granicznej, zmiana zasad sprzedaży gazu.

Putin wiele razy kłócił się z Łukaszenką i wiele razy się godził. Nigdy nie spierali się z powodów ideologicznych – nawet wtedy, gdy Łukaszenko faktycznie popierał władze ukraińskie, Putin jakoś mu to wybaczał.

O co się więc kłócą?

O pieniądze. Jak zwykle o cenę przesyłu ropy i gazu, ale teraz przede wszystkim o to, że zdaniem Putina Łukaszenko uniemożliwia mu skuteczną walkę z europejskimi sankcjami. Putin wymyślił sobie, że jeśli zakaże wwozu do Rosji europejskich produktów rolnych, to cała gospodarka Unii dozna takiego wstrząsu, iż Europa natychmiast zniesie sankcje wobec Rosji. Wstrząsa więc tą europejską gospodarką już trzeci rok, a ta – ani drgnie.

Tymczasem, co tu kryć, w rosyjskich sklepach pełno jest krewetek, parmezanu, pomarańczy i polskich jabłek, a wszystko to z metkami z Białorusi. No więc Putin kombinuje, że dopóki Łukaszenko mu wysyła kontrabandę, dopóty Europa może gwizdać na kremlowskie sankcje. Z kolei Łukaszenko, oczywiście, nie chce rezygnować z tego biznesu, bo przynosi on ogromne pieniądze. I taka jest oś konfliktu.

Łukaszenko uprawia politykę, nazwę ją, „elżbietańską". Elżbieta I przez całe życie była dziewicą, ale stale korzystała z tego, że przecież jeśli będzie trzeba, to może wyjść za mąż. Łukaszenko balansuje między Europą a Rosją. Straszy Europę, że zjednoczy się z Rosją, a Putina tym, że wstąpi do Unii Europejskiej. Zastawił jednak na siebie pewną pułapkę, jeśli chodzi o ten ostatni straszak. Mianowicie Łukaszenki z całą jego urodą raczej nikt do Europy nie przyjmie, o ile się nie zmieni, a zmienić się nie może, tak jak i Putin nie może się zmienić. Oni zresztą doskonale się zawsze dogadują.

Nawet gdy mają sprzeczne interesy?

To sprawa mentalności. Putin czuje się komfortowo wśród ludzi o mniejszych bądź większych cechach dyktatorskich: Janukowycz, Łukaszenko, Kaddafi, Berlusconi i – być może – Donald Trump. Wie, że się z nimi może dogadać pod stołem. A z ludźmi, którzy są opleceni jakimiś procedurami prawnymi, a przede wszystkim systemem zobowiązań wobec reprezentowanego narodu, czuje się niedobrze, bo nie da się z nimi współpracować w sposób dla Putina zrozumiały. Godnych siebie partnerów Putin nie był w stanie znaleźć na Zachodzie, co w swoim czasie ostatecznie pogrzebało jego plany integracji z Europą i NATO. W tym się właśnie zawiera główna pretensja Putina do Europy. On by chciał się dogadać, a nie ma z kim! I uważa, że – po pierwsze – Europa jest ukształtowana nieprawidłowo, a po drugie, że w tym, jak Europa funkcjonuje, wyraża się jej złośliwość wobec Rosji.

Także w Europie znajdował jednak ludzi, na których można polegać. Były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder, znany obecnie ekspert Gazpromu...

To jednak wyjątki. Europa bardzo długo nie obrażała się na Putina za rzeczy, za które obrażać się należało. I kiedy w końcu się przebudziła, Putin przyjął jej nową retorykę nie jako coś oczywistego i zasłużonego, ale właśnie jako krzywdę. „Co to znaczy?! Zawsze taki byłem, i wy to akceptowaliście! A teraz – co?!".

Putin nie jest w stanie uwierzyć w to, że przyczyną sankcji wobec Rosji jest aneksja Krymu. Nie widzi związku przyczynowo-skutkowego między własnym działaniem a postawą Zachodu. Z jego punktu widzenia takie decyzje jak sankcje można podjąć z dwóch pobudek: w wariancie romantycznym – z czystej złośliwości; w wariancie pragmatycznym – w trosce o prywatne interesy. Według jego obrazu świata sprężyną dziejów jest to, że jeden polityk na drugiego źle popatrzył albo nie podzielił się z nim łupami. Putin uważa, że problemy instytucjonalne, jakieś przepisy prawa albo wola wyborców, wszystko to razem wzięte to zasłona dymna mająca ukryć prawdziwe intencje polityków Zachodu. Czasem na Kremlu pojawiają się wątpliwości: A nuż naprawdę w Europie ktoś przestrzega prawa i liczy się z obywatelami? Patrzą wtedy na Europę wzrokiem zatroskanego lekarza. Dla nich praworządność to oznaka słabości i choroby.

Co do zasady Europa nie jest obecnie bardzo zdrowa, choć rzeczywiście diagnoza Putina nie wydaje się zbyt trafna.

Europa przeżywa kryzys, więc Putin nadal próbuje się z kimś dogadywać. A to z Marie Le Pen, a to z jakimiś nieistniejącymi osobami i władzami, co do których ktoś Putinowi powiedział, że istnieją. Liczy na to, że w stosunkach bilateralnych będzie mógł złamać europejską solidarność.

A uda mu się?

Jeżeli Marie Le Pen wygra, to pozycja Putina się umocni. Na pewno sankcje upadną...

... a przyszłość Unii zawiśnie na stanowczości Niemiec i na przenikliwości polskich mężów stanu, którzy z Mińska przywożą przeświadczenie o tym, że Aleksander Łukaszenko jest ciepłym człowiekiem.

(śmiech) Czasem wydaje się, że brukselskiej biurokracji przydałby się taki szok jak zwycięstwo Marie Le Pen. Nie upieram się, że to będzie z pożytkiem, ale... interesująco byłoby popatrzeć, co będzie dalej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

TYLKO U NAS!
LEGENDA LWOWA: SZCZEPCIO I TOŃCIO

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

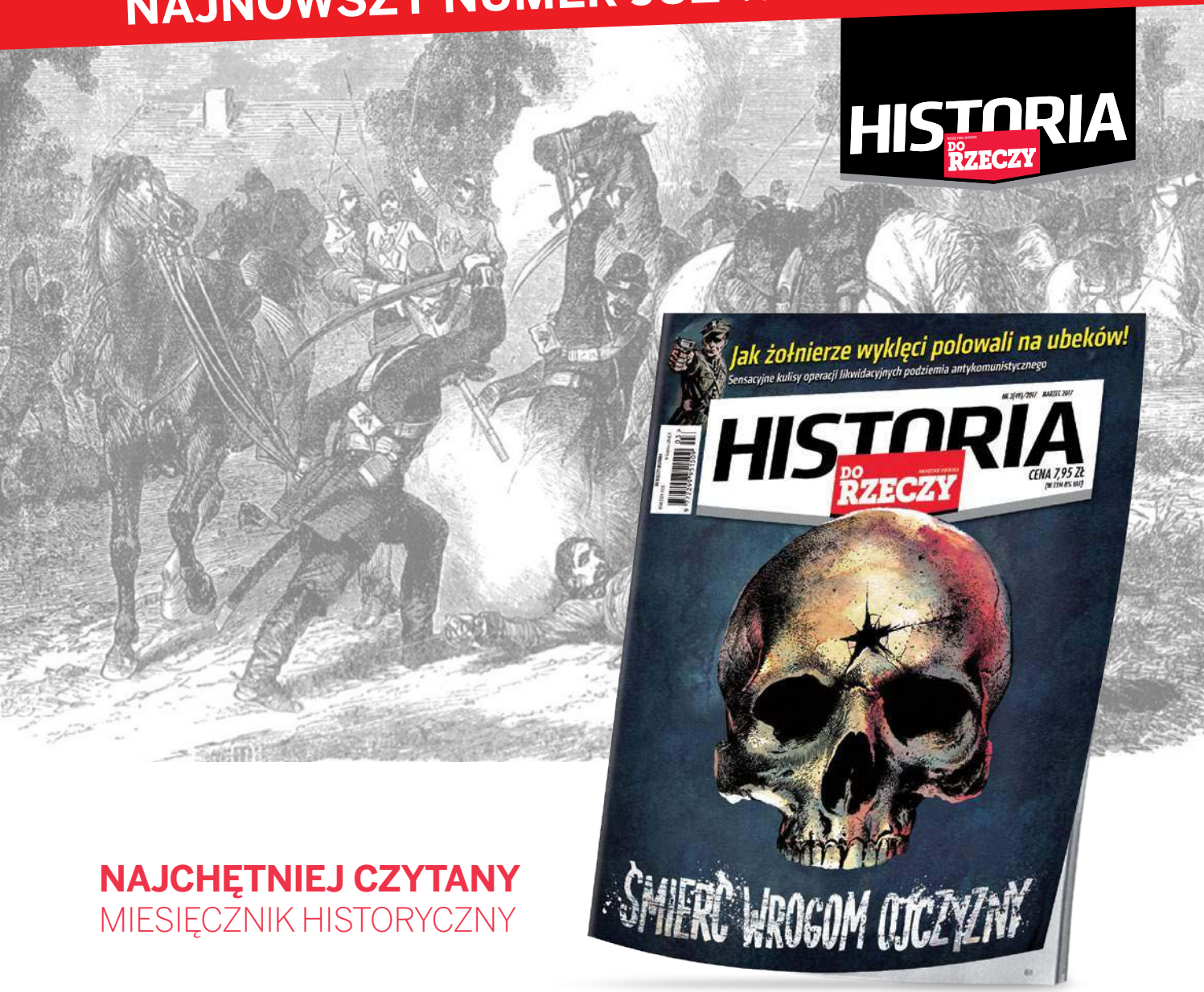

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Arkadiusz Karbowiak – Akcje likwidacyjne wyklętych / **Grzegorz Motyka – Wyklęci kontra Sowieci** / Jakub Ostromęcki – „Braveheart" a prawda historyczna / **Sławomir Cenckiewicz – Jaruzelski i kopalnia Wujek** / Marian Zacharski – Seks agentki PRL / **Marco Patricelli – Kulisy porwania Mussoliniego** / Sławomir Koper – Skandale rodziny Kossaków / **Piotr Zychowicz – Samospalenie polskiego księdza w ZSRS**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 8322bd21d5

Łajający Holender

Piotr Włoczyk

Zaprawił się w bojach z Viktorem Orbánem, islamofobami i homofobami. Teraz Frans Timmermans za punkt honoru postawił sobie przymuszenie polskich władz do posłuszeństwa

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Wszyscy z wyjątkiem Niemiec powinni włączyć się w prawny spór z Polską" – tym jednym zdaniem Frans Timmermans przeniósł w zeszłym tygodniu konflikt z polskimi władzami na nowy poziom.

Apel skierowany do niemal wszystkich członków UE to już jawna deklaracja wojny z rządem Beaty Szydło. Jednocześnie jest to przyznanie się do niemocy: sama Komisja Europejska nie jest w stanie zmusić polskich władz do posłuszeństwa.

Z wypowiedzi pierwszego wiceprzewodniczącego KE jasno wynika, że wygrana z PiS to dla niego priorytet. Gdy jesienią zeszłego roku zapytano go o to, jak długo zamierza się zajmować sprawą polskiego TK, Timmermans odpowiedział: „Dopóty, dopóki nie zostanie ona rozwiązana".

BRUKSELSKA DYSCYPLINA

Upór Holendra w zwalczaniu odchyleń od unijnej „normy" nie powinien nikogo dziwić. Wszystko to, co dziś Timmermans robi w sprawie Polski, jest częścią programu, z którym przyszedł do Komisji Europejskiej. Już w 2014 r., w trakcie przesłuchań przed europarlamentarzystami, ubiegający się o tekę w Komisji Europejskiej Timmermans jasno wyłożył to, jak widzi rolę Brukseli: „Jeżeli coś mnie irytuje, to fakt, że Unia w przeszłości tak słabo dyscyplinowała kraje członkowskie. Dlatego jeżeli podpisałeś traktat i ratyfikowałeś go, to dopilnuję, żebyś go przestrzegał".

Osoba pełniąca funkcję pierwszego wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej w założeniu miała być prawą ręką przewodniczącego. Jednak zdaniem dobrze poinformowanego w meandrach brukselskiej polityki portalu EUobserver Timmermans odgrywa w KE rolę dużo większą, niż wynikałoby to z zakresu spraw podpadających pod jego urząd – lepsze stanowienie prawa, stosunki międzyinstytucjonalne, praworządność i Karta praw podstawowych.

Według tego medium można wręcz mówić o „komisji Timmermansa". To przez jego ręce przechodzi bowiem wszystko, co ląduje potem na biurku Junckera. Luźny styl sprawowania władzy przez Junckera zostawia mnóstwo miejsca na realizowanie ambicji Timmermansa, które od zawsze sprowadzały się do jednego: jeszcze więcej integracji.

Z wypowiedzi wiceprzewodniczącego KE wynika, że ma on do unii stosunek wręcz nabożny. UE nazywa „najwspanialszym pokojowym projektem w dziejach ludzkości". Z tej perspektywy nietrudno zrozumieć, dlaczego obecne polskie władze tak bardzo zaszły mu za skórę.

Federalizacja Europy to idée fixe, która towarzyszy mu od lat. Gdy w 2002 r. zasiadał w holenderskim parlamencie, wprost stwierdził: „To powinno być jasne jak słońce, że kraj taki jak Holandia ma interes w stworzeniu federalnej Europy z silnymi instytucjami". Jednocześnie jednak nawet on zdaje sobie sprawę z ułomności UE – wielokrotnie w publicznych wypowiedziach narzekał na nadmiar regulacji i kulawy unijny proces legislacyjny, w którym zbyt często – według jego słów – zamawia się „konia", a dostaje się „wielbłąda".

To przywiązanie do projektu federalnej Europy można do pewnego stopnia zrozumieć, patrząc na młodość naczelnego brukselskiego krytyka PiS. Timmer-

eprasa.pl 8322bd21d5

mans urodził się w 1961 r. w Maastricht, holenderskim mieście leżącym w wąskim „worku" między Niemcami a Belgią, która w tym miejscu dzieli się na frankofońską Walonię i flamandzkojęzyczną Flandrię. Jego ojciec był dyplomatą, dlatego Timmermans większą część młodości spędził poza granicami Holandii, m.in. w Belgii i we Włoszech. Stąd łatwość w posługiwaniu się językami – Timmermans mówi biegle w sześciu językach.

Podczas swojej „kampanii wyborczej" przed europosłami w 2014 r. zrobił dzięki temu świetne wrażenie, odpowiadając niektórym z nich w ich językach. Jak twierdzą jego współpracownicy, Timmermans lubi się popisywać nie tylko znajomością języków – jest świetnie wykształcony, studiował m.in. literaturę francuską i prawo europejskie.

Smykałka do języków przydała mu się, gdy w 1986 r. dostał wezwanie od holenderskiej armii. Dzięki znajomości rosyjskiego dostał ciekawsze zadanie niż przeciętny szeregowy: szkolono go do pomocy w przesłuchiwaniu sowieckich żołnierzy na wypadek konfliktu z ZSRS.

Po wojsku Timmermans przeszedł do holenderskiego MSZ. Szybko dostał tam szansę na doprowadzenie swojego rosyjskiego do perfekcji – wysłany został bowiem do pracy w Ambasadzie Holandii w Moskwie (lata 1990–1993). Z tym okresem Timmermans ma niemal kombatanckie wspomnienia. Jak opisywał to w reportażu telewizyjnym jeden z jego przełożonych, Timmermans w czasie puczu Janajewa dostał się do moskiewskiego „Białego Domu", czerpiąc z pierwszej ręki informacje na temat tych kluczowych dni.

W 1998 r. Timmermans porzucił dyplomację i przeszedł do polityki, zdobywając miejsce w holenderskim parlamencie z ramienia Partii Pracy. Już jako polityk zaangażował się w tworzenie, a następnie promowanie tzw. Konstytucji dla Europy. Jak łatwo się można domyślić, 29 maja 2005 r. musiał być w związku z tym jednym z najboleśniejszych dni w jego życiu. Francuzi odrzucili wtedy w referendum „konstytucję" UE. Trzy dni później taki sam werdykt wydali Holendrzy.

Przełomowym momentem w jego karierze okazało się zestrzelenie przez Rosjan na wschodzie Ukrainy malezyjskiego samolotu z 193 obywatelami Holandii na pokładzie. Timmermans już od dwóch lat kierował holenderskim MSZ. Jego zabiegi o odzyskanie ciał współobywateli oraz wyjaśnienie przyczyn tej tragedii sprawiły, że również polscy prawicowi publicyści gratulowali mu zdecydowania, stawiając go w opozycji do działań polskiego rządu po tragedii smoleńskiej.

Dzięki swojej postawie po zestrzeleniu samolotu zyskał przede wszystkim w oczach swoich rodaków. Gdy kilka miesięcy po tej tragedii Timmermans przechodził do KE, ufało mu trzech na czterech Holendrów. Był to najlepszy wynik spośród członków holenderskiego rządu.

WALKA O „RÓŻNORODNOŚĆ"

Zanim Timmermans wziął na celownik rząd PiS, jego głowę zaprzątały w Brukseli głównie trzy problemy: Viktor Orbán, islamofobia i homofobia. Premier Węgier ściągnął na siebie gniew Holendra otwarciem dyskusji na temat wprowadzenia kary śmierci na Węgrzech, ale potem głównym powodem do ataków był opór Węgrów wobec przyjmowania imigrantów i uchodźców.

W październiku 2015 r. (w apogeum kryzysu migracyjnego!) Timmermans grzmiał: „Wzrost islamofobii jest jednym z największych wyzwań dla Europy. To wyzwanie dla naszych żywotnych wartości, dla istoty naszej tożsamości". W kontekście pojawienia się fali przybyszów z krajów muzułmańskich przekonywał, że „różnorodność to przeznaczenie ludzkości".

Wiceszefowi KE bardzo na sercu leży również sytuacja gejów i lesbijek. Jeszcze jako szef holenderskiego MSZ ganił Rosję za antygejowskie akcje i stwierdził, że ostre rosyjskie prawo wymierzone w gejów oraz lesbijki może być powodem do przyznania im w Holandii azylu.

Federalizacja Europy to idée fixe, która towarzyszy mu od lat. Zaangażował się w tworzenie i promowanie tzw. Konstytucji dla Europy

Polsce również przyglądał się pod tym kątem, choć akurat o nas mówił – na swój sposób – dobrze. „Spójrzcie tylko na Polskę, która dla wielu ludzi jeszcze kilka lat temu była poza nadzieją na »odkupienie« z uwagi na nieustającą opresję ze strony Kościoła katolickiego" – powiedział w czerwcu 2015 r. na gali zorganizowanej przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Lesbijek i Gejów (ILGA) w Brukseli. Było to kilka miesięcy przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi w Polsce. Całkiem możliwe, że dziś wiceszef KE nie powtórzyłby już tych słów.

W tym samym przemówieniu powiedział, że KE powinna sprawić, by kraje, które same nie mają w swoim prawodawstwie instytucji „homomałżeństw", uznawały takie związki zawarte w innych krajach. Oczywiście jest też wielkim zwolennikiem prawa do adopcji dzieci przez pary homoseksualne („Kogo obchodzi, czy rodzicami są dwaj mężczyźni, czy dwie kobiety?").

Sam Timmermans ma czworo dzieci z dwóch małżeństw. Deklaruje, że jest katolikiem, i twierdzi, że życie Jezusa jest dla niego inspiracją. Szczerze jednak przyznaje, że religia nie jest czymś, o czym myśli codziennie.

Z dzisiejszej perspektywy trudno uwierzyć, że jeszcze 10 lat temu o Fransie Timmermansie pisało się w Polsce, jeżeli w ogóle, to tylko dobrze.

Bredę, w której mieszkała jego rodzina, wyzwolili żołnierze 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Kilku polskich żołnierzy mieszkało nawet przez pewien czas w domu państwa Timmermansów, a jeden z nich – z zawodu krawiec – sprezentował sześcioletniemu ojcu przyszłego wiceszefa KE skrojony na jego miarę polski mundur.

Opowieści ojca i dziadków z tamtych czasów zrobiły swoje – już jako parlamentarzysta Timmermans zaczął zabiegać o uhonorowanie pamięci gen. Stanisława Sosabowskiego i dowodzonej przez niego 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Timmermans dopiął swego w 2006 r., gdy królowa Beatrix przyznała wysokie odznaczenia polskim bohaterom. Timmermans w rozmowie z polskimi mediami nazwał ten dzień „kulminacyjnym" momentem jego dotychczasowej pracy parlamentarnej.

W Polsce spotkały go za to dwa zaszczyty: prezydent Lech Kaczyński uhonorował Timmermansa w 2006 r. Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, a w 2014 r. prezydent Bronisław Komorowski odznaczył go Krzyżem Wielkiego Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

Ze słów polityków opozycji wynikałoby, że Timmermans (w przypadku zmiany władzy w Polsce) dostanie jeszcze niejeden order.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

Żydowska córka Trumpa

Tomasz P. Terlikowski

Amerykańskie media mają nowy temat. Zastanawiają się, dlaczego Donald Trump nie potępił antysemityzmu, i budują piętrowe argumentacje, by udowodnić, że jest on – a jakże! – antysemitą. Kłopot z dowiedzeniem tej tezy jest jeden: ukochana córka prezydenta jest... ortodoksyjną żydówką

Faszysta, nazista, rasista i seksista – to wszystko już w debacie politycznej Stanów Zjednoczonych było. Nie ma chyba obelgi, która nie poleciałoby w kierunku Donalda Trumpa. Teraz zaś do długiej listy wyzwisk dodano nowe: antysemita. Poważni publicyści zastanawiają się, dlaczego Trump nie potępił antysemityzmu, dlaczego nie chciał tłumaczyć się z rzekomego związku między jego wyborem a wzrostem antysemickich ataków w USA. I coraz bardziej otwarcie sugerują, że powodem jest... głęboko ukrywany antysemityzm Trumpa. Jako pierwszy takie sugestie zaczął wysuwać podczas konferencji prasowej Jake Turx z „Ami Magazine", na co Donald Trump odpowiedział bardzo nerwowo. – Jestem ostatnią osobą, która może być posądzona o antysemityzm – powiedział. I dodał, że nieprawdziwe jest także oskarżanie go o rasizm. – W rzeczywistości zrobiłem wiele, by mniejszości rasowe miały równe szanse w walce o głosy wśród republikanów – mówił. Dziennikarz zaś próbował mu przerwać i przekrzyczeć go. I wtedy prezydentowi puściły nerwy. – Cicho. Ucisz się... Zamknij się! – powiedział. I właśnie ta wypowiedź, wyrwana z kontekstu, stała się podstawą do budowania wizerunku Trumpa antysemity.

ŻYDOWSKA CÓRKA, ŻYDOWSKIE WNUKI

Kłopot z udowodnieniem tej tezy jest tylko jeden, ale za to zasadniczy. Jest nim ukochana córka Donalda Trumpa, Ivanka. Tak się bowiem składa, że jest ona ortodoksyjną żydówką. W 2009 r., jeszcze przed ślubem z Jaredem Kushnerem, zdecydowała się na konwersję na ortodoksyjny judaizm, a później wzięła żydowski ślub. Od tego momentu formalnie należy do żydowskiej ortodoksyjnej kongregacji Kehilath Jeshurun w Nowym Jorku. Grupa ta należy do niewielkiego – bo obejmującego zaledwie 3 proc. wszystkich amerykańskich żydów – nurtu tzw. nowoczesnej ortodoksji. Jej członkowie praktykują wszystkie fundamentalne ortodoksyjne rytuały, w tym koszerne jedzenie czy świętowanie szabatu (co wcale nie jest oczywiste w przypadku judaizmu reformowanego lub rekonstrukcjonistycznego), a w odróżnieniu od wspólnot chasydzkich niekoniecznie noszą strój wyróżniający ich w amerykańskim społeczeństwie i świetnie funkcjonują w nowoczesnym społeczeństwie.

Ivanka i jej mąż zapewniają, że oni także przestrzegają wszystkich żydowskich zasad. W piątkowy wieczór wyłączają telefony, komputery i świętują, jedzenie także – przynajmniej deklaratywnie, bo na Instagramie Ivanki często goszczą zdjęcia potraw zdecydowanie odległych od standardów żydowskich posiłków – spożywają koszerne. Ich dzieci uczęszczają do placówek żydowskich i dzielnie studiują Torę. A oni sami, chociaż niechętnie, opowiadają o swojej religijności. – Zachowujemy żydowskie zasady. To była dla mnie wspaniała decyzja. I naprawdę uważam, że judaizm niezwykle wzmacnia relacje rodzinne. Od piątku do niedzieli nie mamy nic innego do zrobienia niż bycie razem – opowiadała Ivanka. Jared zaś uzupełnia, że choć jego żona nie umiała gotować koszernie, to nauczyła się to robić błyskawicznie i obecnie razem praktykują wszystkie żydowskie rytuały.

Donald Trump, jak zapewnia jego córka, od samego początku – chociaż Ivanka, tak jak on, od dziecka była prezbiterianką – miał przyjąć jej decyzję z pełną akceptacją i ze zrozumieniem. On sam zaś, kilka lat po formalnej konwersji, oznajmił, że „jego córka jest żydówką". – To nie było planowane, ale jestem z tego bardzo zadowolony – oznajmił

eprasa.pl 8322bd21d5

FOT. JONATHAN ERNST/REUTERS/FORUM

obecny prezydent, który nie ukrywa, że wspieranie Izraela jest istotnym elementem jego polityki.

KŁOPOTY Z KONWERSJĄ

Opowieści o pięknie judaizmu (wcale nie tak częste) nie oznaczają jednak, że konwersja Ivanki nie budziła kontrowersji wśród wyznawców judaizmu. I nie chodziło o poglądy jej ojca, ponieważ wśród żydów ortodoksyjnych niemal połowa głosuje na republikanów, a wielu ma mocno konserwatywne poglądy, ale o to, że rabin, który przyjmował ją do synagogi, nie jest uznawany przez naczelny rabinat Izraela za wystarczająco ortodoksyjnego. Haskel Lookstein, bo o nim mowa, od dawna budził kontrowersje wśród ortodoksyjnych żydów, nie tylko bowiem odwiedzał on – na początku swojej publicznej działalności – Związek Sowiecki, lecz także – podczas inauguracji prezydentury Baracka Obamy – wziął udział w modlitwach w kościele. Rabiniczna Rada Ameryki, skupiająca nowoczesnych rabinów ortodoksyjnych, natychmiast wydała oświadczenie, w którym podkreśliła, że uczestnictwo rabina w modlitwach w kościele jest zabronione… Wpływy rabina Looksteina były jednak na tyle duże, że w kolejnych oświadczeniach stanowisko było łagodzone.

To jednak, co uchodziło w Ameryce, niekoniecznie miało uchodzić w Izraelu. I dlatego, gdy jedna z konwertytek przyjęta do judaizmu przez rabina Looksteina, starała się o uznanie swojej konwersji przed izraelskim sądem rabinicznym, to jej prośba została odrzucona. Oficjalnym powodem było to, że rabin Haskel Lookstein nie znajduje się na oficjalnie zatwierdzonej przez izraelskich rabinów liście ortodoksyjnych duchownych uprawnionych do przeprowadzania konwersji. Sam zainteresowany rabin odpowiadając na te zarzuty, przypominał, że dla konwersji nie ma znaczenia fakt umieszczenia rabina na jakiejś liście. Zaznaczał, że jego ordynacji rabinackiej nikt nie kwestionował, i dodawał, że pewnym paradoksem jest fakt, że konwertytka, której żydowskość zakwestionowano, jest przynajmniej tak samo praktykująca jak on.

Niezależnie jednak od powodów, dla których konwersja nieznanej z imienia i nazwiska Amerykanki została odrzucona, decyzja sądu rabinackiego odbiła się w Stanach Zjednoczonych szerokim echem, ponieważ natychmiast odniesiono ją do sytuacji Ivanki Trump. Media – zarówno liberalne żydowskie, jak i świeckie – zaczęły kwestionować jej żydowskość, a wszystko to trwało do momentu, gdy Donald Trump nie został oficjalnie kandydatem na prezydenta. Wtedy błyskawicznie izraelski sąd rabiniczny potwierdził, że konwersja Ivanki jest ważna.

PROGEJOWSKI JUDAIZM

Oficjalnie wyznawany judaizm w wersji ortodoksyjnej w niczym nie zmienia niezmiernie liberalnych poglądów Jareda Kushera i Ivanki Trump. Oboje, i to sporymi donacjami, wspierają organizacje gejowskie. A w 2011 r. Ivanka i jej mąż uczestniczyli w zbieraniu funduszy na rzecz progejowskiej organizacji Freedom To Marry. Jej twórca, Evan Wolfson, zupełnie otwarcie przekonywał, że celem tej organizacji wcale nie jest zmiana prawa, lecz „zmiana społeczeństwa", takie jego zreformowanie, by heteroseksualny wzorzec życia małżeńskiego przestał być dominujący.

I to właśnie Ivanka Trump mogła sprawić, że Donald Trump nie zniósł uderzającej w wolność religijną Obamowej ustawy, która zakazuje „dyskryminacji w miejscu pracy". Pod tą niegroźną z pozoru nazwą kryje się prawo, które uniemożliwia instytucjom religijnym kierowanie się przy zatrudnianiu także skłonnością płciową. Hierarchowie katoliccy, a także zwolennicy konserwatywnego protestantyzmu od początku domagali się od Trumpa zmiany tej ustawy, tak się jednak nie stało. Skąd taka decyzja? Odpowiedź jest prosta. U podstaw tego zaniedbania są ukochana i wpływowa córka Donalda Trumpa, czyli Ivanka Trump, oraz jej mąż – Jared Kushner, którzy opowiadają się całym sercem po stronie LGBTQ. I to oni – zdaniem zarówno Politico, jak i „New York Timesa" – mieli skłonić Trumpa do wycofania się z jakichkolwiek prób ograniczania praw lobby gejowskiego.

Część ortodoksyjnych żydów zdecydowanie odcina się od tego zaangażowania Kushnerów. – Nie można być ortodoksyjnym żydem i wspierać agendy gejowskiej – podkreśla Brian Camenker, szef organizacji Mass Resistance, która sprzeciwia się zmianom prawnym i społecznym, a także broni małżeństwa. Jego opinii wcale jednak nie podzielają wszyscy ortodoksyjni, modernistycznie nastawionych żydów, a wyznawcy judaizmu liberalnego, rekonstrukcjonistycznego, a nawet konserwatywnego (w USA to właśnie oni stanowią największą grupę) od dawna nie tylko błogosławią związki gejowskie w swoich synagogach, lecz także prowadzą akcję politycznych nacisków na polityków, by ci przyznawali jak najwięcej praw społeczności LGBTQ. Odmienne stanowisko zajmują tylko ultraortodoksi, którzy zachowują tradycyjne, wyrastające z Tory i Talmudu nauczanie, zdecydowanie potępiające homoseksualizm i akty homoseksualne. Z tym nurtem jednak ani Ivanka, ani jej mąż nie mają nic wspólnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

FOT. FOTOLIA

WEGETARIANIZM URZĘDOWY

W niektórych krajach władza lubuje się w owocach morza, które podczas opłacanych przez podatników konsumpcji okrasza starannie dobranymi trunkami. Nie tylko jest to wizerunkowo śliskie, o czym się niektórzy politycy przekonali, lecz także okazuje się zachowaniem zupełnie nienowoczesnym i idącym pod prąd światowym trendom. W Niemczech lepiej rozumieją cywilizacyjne wyzwania. Jak podał niemiecki tabloid, tamtejsza minister środowiska Barbara Hendricks zdecydowała, że w jej resorcie oficjalne poczęstunki dla gości będą wyłącznie wegetariańskie. Mało tego – odwiedzający Hendricks nie tylko nie mają szans na bratwursta, lecz także nie zjedzą zwykłych warzyw. Według zarządzenia minister soja i kiełki mają być dostarczane do urzędu wyłącznie z upraw ekologicznych. A do tego (cóż za nacjonalizm!) mają to jeszcze być produkty z lokalnego rynku. Oficjalny obiad u niemieckiej minister nie będzie mógł kosztować więcej niż 39 euro.

KONIEC BRODATEJ KOBIETY

Dawno temu kobiety z brodą były jednym z punktów programu cyrków, w których ludziom prezentowano anomalie. Od 2014 r. kobieta z brodą stała się synonimem wolności i nowoczesności. Wówczas bowiem Tom Neuwirth jako Conchita Wurst wygrał Eurowizję. Wzbudzający ogromne emocje artysta wyznał niedawno niemieckiej prasie, że z kreacją „brodatej kobiety" osiągnął już wszystko, więc musi odkryć „nową osobowość". Nie wiadomo jeszcze, kim stanie się Austriak i czy ponownie zdoła zdobyć sławę i pieniądze.

GASTRONOMICZNA POMYŁKA

Mały bar Bouche á Oreille we francuskiej miejscowości Boutervilliers został nagle zasypany prośbami o rezerwację miejsc. To przeciętne bistro, ze stołami nakrytymi ceratowymi obrusami, serwuje domowe jedzenie. Jego właścicielka opowiadała prasie, że nie jest w stanie pomieścić tylu osób, ile chce teraz spróbować jej dań. Okazało się, że za nagły atak smakoszy odpowiada błąd w internetowej wersji prestiżowego przewodnika Michelin. Przyznał on swoją „gwiazdkę" restauracji o takiej samej nazwie w tej samej miejscowości, ale błędnie umieszczono lokalizację na mapie w sieci. Ciekawe, jakie miny mają ludzie, którzy chcieli spróbować cielęcego mózgu i placka z homara, a z menu wybrać mogą jedynie lasagne i wołowinę po burgundzku.

JAKA TO MELODIA?

Austriacy mają nie tylko brodate kobiety celebrytki, lecz także olbrzymi kłopot z ludźmi odpowiadającymi za oprawę muzyczną podczas zawodów sportowych. Na początku stycznia, gdy Kamil Stoch triumfował podczas Turnieju Czterech Skoczni, Austriacy odegrali taką wersję „Mazurka Dąbrowskiego", że pojawiły się podejrzenia, iż wcześniej musieli słuchać jedynie Edyty Górniak śpiewającej podczas mundialu w Korei. Teraz podobne emocje zafundowali Rosjanom podczas biathlonowych mistrzostw świata w Hochfilzen. Puścili sportowcom pieśń, która obowiązywała do 2000 r. Kibice gwizdali, a rosyjscy biathloniści zaśpiewali na podium a cappella właściwą wersję hymnu, który jest adaptacją pieśni obowiązującej w Związku Sowieckim, ale z nowymi słowami.

DURSZLAK NIEOBOWIĄZUJĄCY

W holenderskim sądzie zakończyła się batalia mężczyzny, który domagał się możliwości użycia w dokumencie, jakim jest prawo jazdy, zdjęcia z głową nakrytą durszlakiem. Argumentował, że jest to wyraz jego przynależności do Kościoła Latającego Potwora Spaghetti. I domagał się poszanowania jego „prawa". Burmistrz Eindhoven na takie zdjęcie się nie zgodził. Jego odmowę podtrzymał teraz sąd, argumentując, że wiara pastafarian nie wykazuje takiej powagi, by być traktowana jako religia. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl 8322bd21d5

TYGODNIK LISCKIEGO DO RZECZY

dorzeczy.pl

W NOWEJ ODSŁONIE!

INFORMACJE | OPINIE | RELACJE | EMOCJE

PUBLICYSTYKA NAJWYŻSZEJ PRÓBY.

TERAZ BLIŻEJ CIEBIE. WEJDŹ ▶

PARTNERZY SERWISU dorzeczy.pl:

PZU

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

REDUTA PWPW FUNDACJA NA RZECZ OBRONY PAMIĘCI HISTORII POLSKI

eprasa.pl 8322bd21d5

Biznes na zdziecinnieniu

FOT. FOTOLIA

Łukasz Zboralski

Dorośli coraz dłużej chcą być dziećmi. Rynek doskonale wyczuł tę zmianę i podsuwa coraz więcej infantylnych rozrywek

W latach 80. ojciec zaprowadzał czasem dziecko na poranki do miejscowego kina. Na dużym ekranie puszczano wtedy zwykle kilka bajek – „Reksia", „Bolka i Lolka" czy „Przygody Misia Colargola". Taki tata musiał wtedy ukradkiem przysypiać albo niewiarygodnie wręcz się nudzić. Gdy dzisiejszy rodzic idzie do kina, nie nudzi się wcale. Chociaż animacje pozornie nadal tworzone są dla dzieci, to upycha się w nich mnóstwo rzeczy, które czynią je atrakcyjnymi również dla dorosłych. Ba, część dialogów i scen jest wręcz puszczaniem oka tylko do starszych.

Nic więc dziwnego, że trzecie miejsce na podium w podsumowaniu kinowym w Polsce w 2016 r. zajęła „Epoka lodowcowa. Mocne uderzenie" (1,5 mln widzów), a w podsumowaniach światowych animacje wyświetlane w kinach potrafią przynosić nawet 1,5 mld dol. dochodu.

Do tego, że dorośli oglądają kreskówki, już więc przywykliśmy. To jednak tylko element wielkiego biznesu, który robi się na kidultach, czyli zdziecinniałych dorosłych. I robi się go już od dwóch dekad, bo sam termin (powstały z połączenia angielskich słów „kid" i „adult") amerykański psycholog Andrew Calcutt zaproponował w 1998 r. Od tego czasu rynek dla kidultów tylko rośnie. I to w zadziwiającym tempie.

KUPOWANIE BEZTROSKI

Wszystko zaczynało się dość niewinnie. Dorośli przestali tak mocno odcinać się strojem i zachowaniem od młodzieży. I przecież nie ma niczego złego w tym, że 40-latek wciąż może nosić dżinsy i T-shirt z nadrukiem. Od tego był tylko krok do noszenia ciuchów z motywami z kreskówek. Wielkie sieci odzieżowe trend zauważyły już dawno. W molochach w te same wzory może ubrać się dziś cała rodzina.

Przedsiębiorcy dalej pilnie obserwują, jak zachowują się ludzie w wieku 30–40 lat. I odkrywali przed nimi nowe obszary, na które mogą wydać pieniądze. To już cała „ekonomia Neverlandu", która opiera się na portfelach współczesnych Piotrusiów Panów. W Korei, gdzie rynek ten jest najsilniejszy, jego wartość ocenia się na pół miliarda dolarów rocznie. A eksperci twierdzą, że ma jeszcze potężny potencjał rozwoju.

W którą stronę to zmierza, widać po nowych inwestycjach. Pojawiają się już np. place zabaw dla dorosłych. „Zaczęliśmy sobie zadawać pytanie: Dlaczego tylko dzieciaki mają mieć frajdę?" – piszą właściciele sali zabaw Play Factory z Londynu. Swoje drabinki, zjeżdżalnie i baseny z kulkami udostępniają też dorosłym. Bilet kosztuje w przeliczeniu ok. 50 zł. Dorośli mogą wpaść ze znajomymi – dla grupy 15 osób dwie godziny prywatnego relaksu w dziecięcych warunkach kosztują ok. 1,5 tys. zł.

W Birmingham powstał nocny klub, który oferuje dziecinne rozrywki. To

eprasa.pl 8322bd21d5

połączenie klubu muzycznego i placu zabaw. Nakręcający się muzyką z młodości i drinkami ludzie mogą zanurzyć się po szyję w plastikowych kulkach, wyszaleć w dmuchanym zamku albo poskakać na trampolinach.

W Wielkiej Brytanii są też miejsca, w których w barach dorośli mogą bawić się robotami, zająć się origami i tworzyć z papier mâché.

W Barcelonie placów zabaw dla dorosłych jest podobno kilkaset. Takie pomysły kiełkują i w Polsce. W ubiegłym roku na warszawskim Ursynowie część budżetu partycypacyjnego przeznaczona została na stworzenie placu zabaw dla dorosłych.

Czy biznes trafia w gusta niechcącego dorasnąć pokolenia, czy może to on wpędza ludzi w dziecinadę? – Myślę, że raczej właśnie biznes kreuje takie potrzeby, które wyglądają jak powrót do dzieciństwa – uważa dr Leszek Mellibruda, psycholog społeczny i biznesu. – I niektórzy rzeczywiście wykorzystują to jako taki powrót, trochę nieświadomy – rzadko kto się przecież przyzna, że robi to z sentymentu. A więc trochę to moda, ale też ucieczka od rzeczywistości pełnej pędu, rywalizacji i stresu. Jest to też pewnego rodzaju oryginalność, która u osób po trzydziestce wiąże się z poszukiwaniem sensu w życiu. To przecież ludzie w tym wieku stworzyli minimalizm i uczestniczą w moście pokoleń, jakim jest e-sport. Zatem motywów jest kilka, a biznes je wykorzystuje.

KOLOROWANKI I POKEMONY

E-sport to rzeczywiście zajęcie nie tylko dla nastolatków. Bawi się w niego intensywnie m.in. znany tenisista Jerzy Janowicz, a przecież dobiega już trzydziestki. Gdy zaś wybuchła moda na łapanie pokemonów, za wirtualnymi stworami uganiały się nie tylko dzieci, lecz także – w dużej części – właśnie 30- i 40-latki, bo to oni dopracowali się już najlepszych smartfonów, które taką rozrywkę umożliwiają. 15 mln graczy na całym świecie zapewniło twórcom gry 600 mln dol. tylko w ciągu trzech pierwszych miesięcy.

Z równie wielkim rozmachem na rynki wkroczył nowy pomysł – kolorowanki dla dorosłych. Czyli oprócz tego, że prawie połowa czytających młodzieżową literaturę na świecie to ludzie dojrzali, to jeszcze udało się ich nakłonić do kupowania książeczek odpowiadających czterolatkom. Opowieści o tym, że to odpręża i relaksuje oraz – jak informują okładki tych sprzedawanych przez zagraniczne sieci w Polsce kolorowanek – jest formą medytacji, sprawiły, iż w 2014 r. sprzedało się takich książeczek na świecie milion, a już rok później zanotowano 12-krotny wzrost. Na tej modzie skorzystali też producenci kredek – szacuje się, że ich sprzedaż wzrosła globalnie nawet o 25 proc. W Polsce książki do kolorowania dla dorosłych są już na półkach w prawie każdej księgarni.

W sukurs biznesowi idą celebryci, którzy potrafią publicznie się przyznać, że np. wciąż uładają klocki Lego. Ton nadają też ludzie sukcesu, tacy jak Mark Zuckerberg, którzy noszą się tak, jakby wciąż byli studentami. To przekłada się na stroje ludzi biznesu także w Polsce. – Jeśli korporacja wyraźnie wymaga dress code'ów w pewnych okolicznościach, to obecne pokolenie jest takim, które każde inne okoliczności wykorzystuje, by udać się w kierunku luzu, swobody – mówi dr Mellibruda. – To nowy rodzaj wzmacniania poczucia wartości, podkreślania, że się nie jest korpoludkiem. To jednak nie znaczy, że ci sami ludzie nie będą grzecznie maszerowali jako korpoludki, gdy na horyzoncie pojawi się możliwość sukcesu, awansowania w hierarchii. Na wiele sobie można pozwolić, gdy się ma wysoki status, ale nie wtedy, gdy się jest w środku drogi do sukcesu lub na jej początku – dodaje.

Jaką jeszcze gałąź biznesu opartą na sentymentach do lat dzieciństwa podsuną klientom marketingowcy? Nie wiadomo. Pewne jest, że pokolenie kidultów dość łatwo wydaje pieniądze, by osiągnąć przyjemność. A dzieciństwo niewątpliwie z nią się im kojarzy. W USA działają już firmy, które bazując na wspomnieniach z młodzieżowych campów, oferują takie wyjazdy dorosłym. Być może niebawem i nad Wisłą będzie się można zapisać na „dojrzałe kolonie". Czy dorośli wrócą z nich naprawdę odmienieni i odprężeni? – Mam wrażenie, że w biznesie twardość zyskała kolorowe opakowanie, szczelnie kryje nieuchronne gry negocjacyjne – mówi dr Leszek Mellibruda. – Ta szczelność parawanu widoczna jest zwłaszcza w przypadku kobiet na wyższych stanowiskach, które są bardziej rygorystyczne, mają większe wymagania i są coraz bardziej nieugięte – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PREMIERA
24 II 2017

PŁYTA DO NABYCIA
W SALONACH EMPIK

ORAZ NA:

WWW.NATALIANIEMEN.PL

Trójka POLSKIE RADIO TVP 1 DO RZECZY GOŚĆ empik

eprasa.pl 8322bd21d5

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ile stracimy przez inflację?

Po dwóch latach (2015 i 2016) wymarzonej dla konsumentów, choć dla gospodarki już nie aż tak znów zdrowej deflacji, a więc spadku cen, oraz po roku ich niezmiennego stanu (2014) czas znów zacząć się przyzwyczajać do inflacji. Niedawno przypomniała ona bowiem o sobie, i to od razu dość wysokim odczytem: między styczniem 2016 r. a styczniem 2017 r. ceny poszły w górę średnio aż o 1,8 proc.

I choć piekielne wspomnienie hiperinflacji z czasów bankructwa PRL oraz narodzin III RP mocno już – na szczęście – wyblakło, to tamte wydarzenia powinny wisieć nad nami niczym miecz Damoklesa i być nieustannie przypominane. W najgorszym pod tym względem roku 1990 ceny w Polsce poszybowały bowiem aż o 585,8 proc. Rok wcześniej – o 251,1 proc., a rok później – o 70,3 proc. Potem, mimo zakończonej zwycięstwem heroicznej walki z inflacją, toczonej przez ministra finansów Leszka Balcerowicza i jego następców oraz kolejne władze NBP, jej dwucyfrowe poziomy utrzymywały się przez niemal całą dekadę lat 90. W 1992 r. inflacja wyniosła 43 proc., w 1993 r. – 35,3 proc., w 1994 r. – 32,2 proc., w 1995 r. – 27,8 proc., w 1996 r. – 19,9 proc., w 1997 r. – 14,9 proc., w 1998 r. – 11,8 proc., w 1999 r. – 7,3 proc., w 2000 r. – 10,1 proc., w 2001 r. – 5,1 proc. i 2002 r. – nareszcie! – upragnione 1,9 proc. Naprawdę, warto tę historię przypominać do znudzenia, by nigdy nie zapomnieć, jak trudno pokonać wysoką inflację. Rzecz jasna, na razie nic nie zapowiada powtórki hiperinflacji z lat 90. (choć niektórzy ekonomiści wskazują na niebezpieczeństwo jej pojawienia się w związku z ogromną liczbą dolarów i euro „wydrukowanych" w ostatnich latach przez banki emisyjne USA i Eurolandu). Wszelako na hydrę inflacji uważać trzeba zawsze, a to oznacza: ustawicznie z nią walczyć, bo potrafi „odrosnąć" bardzo szybko i niemal niezauważenie, czego dowodem choćby najnowszy styczniowy jej skok w Polsce, skok znacznie powyżej prognoz (jeszcze w grudniu, czyli pierwszym od dawna miesiącu ponownego panowania inflacji, jej wskaźnik zatrzymał się na poziomie 0,8 proc., porównując grudzień 2016 r. z grudniem 2015 r.).

I właśnie z tego powodu od tej pory zaczynamy z większą uwagą przyglądać się obecnemu składowi Rady Polityki Pieniężnej, która prowadząc politykę kursową, jednocześnie toczy walkę z inflacją. Będziemy badać, czy w RPP górę biorą zwolennicy twardej walki z inflacją – „jastrzębie", czy wręcz przeciwnie – zwolennicy miękkiej polityki wobec niej, czyli „gołębie". A właśnie taka, do pewnego stopnia „gołębia", proinflacyjna polityka, niekorzystna dla konsumentów, jest na rękę rządowi, któremu w warunkach podwyższonej inflacji łatwiej zapełniać kasę państwa, czyli także robić prezenty swym wyborcom.

Czyim zatem sojusznikiem okaże się RPP: obywateli czy rządu? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Komputer dyrektorem HR

Już niedługo stuknie mi pięćdziesiątka, więc trzeba dbać o mózg, żeby pozostał sprawny, i uczyć się nowych rzeczy. Zaraz po studiach na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW przez kilka lat pracowałem jako informatyk w Japonii oraz Polsce. Potem jednak zrobiłem doktorat z ekonomii i przez całe życie zawodowe pracowałem jako ekonomista, a później jako menedżer, ale w obszarach wymagających wiedzy ekonomicznej. W zeszłym roku postanowiłem wrócić do korzeni i nauczyć się modelowania w zakresie analizy danych, w tym modeli z obszaru big data. A ponieważ danych wokół nas jest coraz więcej i mają coraz większe znaczenie w procesach decyzyjnych w firmach oraz w administracji publicznej, okazji do realizacji ciekawych projektów jest mnóstwo. Pierwsze projekty wraz z moim zespołem realizujemy na naszej uczelni, Uniwersytecie Narxoz w Ałma Acie.

Model podejmował lepsze decyzje niż komisja ds. HR

Na uczelni mamy profesjonalny system oceny jakości kadry (w tym prawie 500 osób kadry naukowo-dydaktycznej), taki jak w wielkich korporacjach. Każdy pracownik uczelni ma postawione cele (KPI) i jest oceniany dwa razy do roku, wstępnie w styczniu i całościowo w czerwcu. Po ocenie końcowej w czerwcu komitet ds. HR podejmuje decyzje o podwyżkach, premiach, awansie lub zwolnieniu z pracy.

Zebraliśmy dane do oceny wstępnej w styczniu 2016 r. i przeanalizowaliśmy decyzje komisji HR, wykorzystując różne modele (logit i drzewa). Twarde kryteria decyzji komisji HR były cztery: ocena KPI (cztery poziomy: od „niedopuszczalne" do „powyżej oczekiwań"), jakość dydaktyki mierzona ankietami studentów, badania naukowe i dodatkowe osiągnięcia. Oczywiście był też czynnik subiektywny, taki jak opinia dziekana i szefa katedry. Rekomendacje modeli, komu dać podwyżkę, i decyzje komisji HR czasami były zgodne, a czasami się różniły. Potem spojrzeliśmy na dane z czerwca i sprawdziliśmy wyniki pracy naszej kadry, zestawiając je ze styczniowymi decyzjami komisji oraz rekomendacjami modeli. Wyniki były bardzo ciekawe. Najlepsze rezultaty osiągnęli ci, co do których komisja i modele były zgodne w sprawie podwyżki w styczniu. Na drugim miejscu byli ci, którym model chciał dać podwyżkę, ale komisja tego nie zrobiła. Na trzecim ci, którzy dostali podwyżki od komisji HR, ale model ich nie rekomendował. A na końcu ci, których i komisja, i model ocenili nisko.

Model podejmował lepsze decyzje niż komisja. Czy nadchodzą czasy, kiedy w firmach funkcję dyrektora HR będzie pełnił komputer? ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 8322bd21d5

ZAINWESTUJ W APARTAMENT

Z WIDOKIEM NA JEZIORO W SERCU KARKONOSZY

JUŻ OD **199 000 zł**

8%
stopa zwrotu

10 lat
umowa najmu z operatorem (5+5)

30 lat
doświadczenia operatora

widok na góry i jezioro

wykończenie i wyposażenie w cenie

wprost

22 299 11 55 sprzedaz@lakehill.pl www.lakehill.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego. Podana cena jest ceną netto, cena brutto 244 770 zł i nie obejmuje miejsca postojowego, którego koszt to 10 000 zł netto, 12 300 zł brutto.

eprasa.pl 8322bd21d5

Aaa... cudzą aureolę kupię

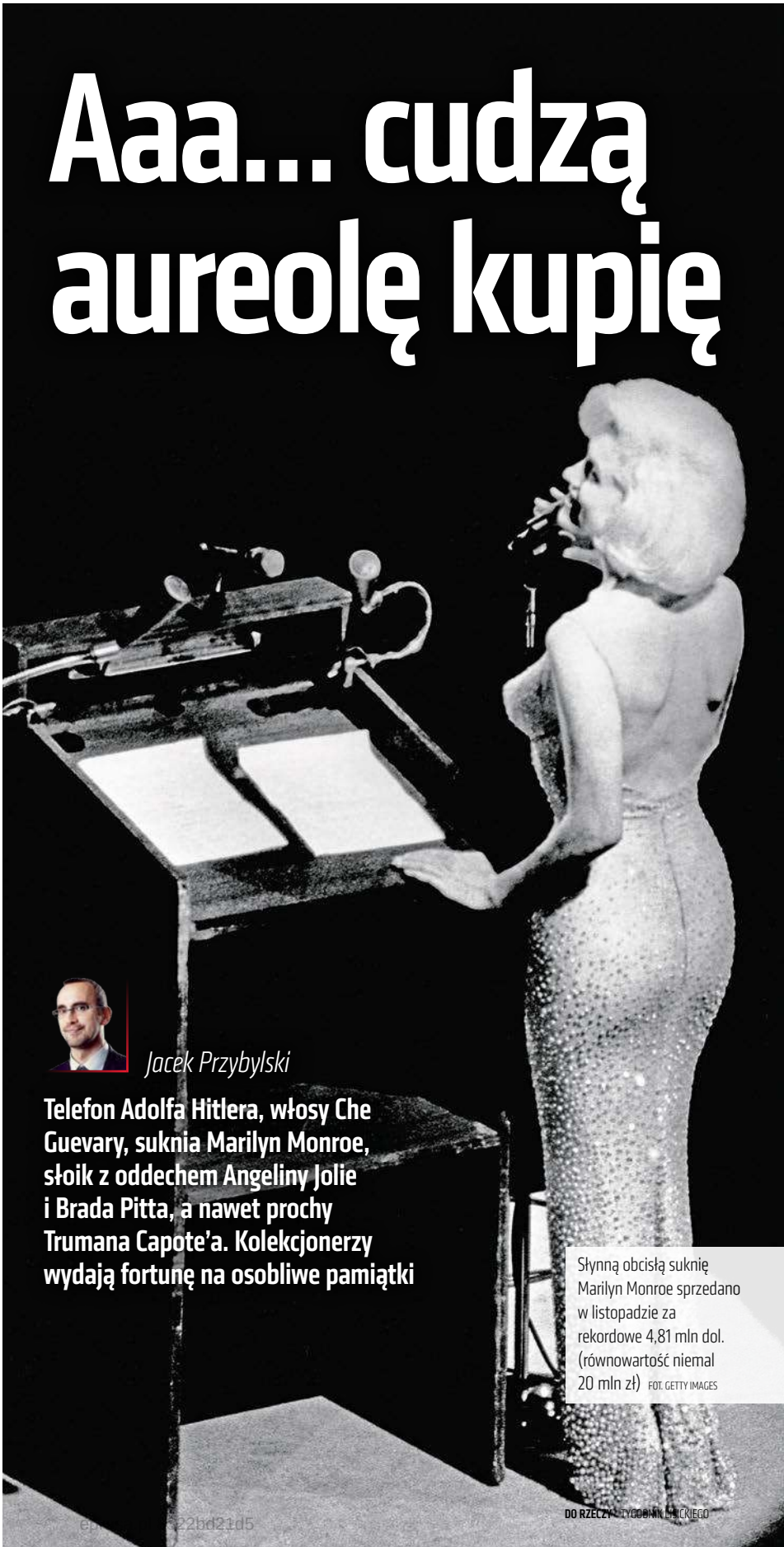

Jacek Przybylski

Telefon Adolfa Hitlera, włosy Che Guevary, suknia Marilyn Monroe, słoik z oddechem Angeliny Jolie i Brada Pitta, a nawet prochy Trumana Capote'a. Kolekcjonerzy wydają fortunę na osobliwe pamiątki

Słynną obcisłą suknię Marilyn Monroe sprzedano w listopadzie za rekordowe 4,81 mln dol. (równowartość niemal 20 mln zł) FOT. GETTY IMAGES

Równowartość niemal miliona złotych (dokładnie 243 tys. dol.). Tyle na aukcji w amerykańskim stanie Maryland kosztował osobisty telefon Adolfa Hitlera, przez który niemiecki zbrodniarz rozmawiał podczas II wojny światowej. Aparat oryginalnie koloru czarnego, potem przemalowany na czerwono, ma wygrawerowane nazwisko Hitlera i swastykę z orłem. Został odnaleziony w 1945 r. w berlińskim bunkrze przywódcy III Rzeszy. Brytyjski oficer sir Ralph Rayner otrzymał go jako pamiątkę od sowieckich żołnierzy wkrótce po ogłoszeniu kapitulacji przez Berlin. Na aukcję przekazał go zaś syn oficera, Ranulf.

Ogromne pieniądze, które udało się za niego wylicytować, nie zaskoczyły ekspertów domu aukcyjnego Alexander Historical Auctions. Spodziewali się oni, że telefon – reklamowany jako „prawdopodobnie najbardziej śmiercionośna broń w historii", ponieważ do tej słuchawki Hitler wrzeszczał, wydając rozkazy, które kosztowały życie milionów ludzi – zostanie sprzedany za 200–300 tys. dol. Tożsamość nabywcy, który telefonicznie wylicytował pamiątkę po pokonanym zbrodniarzu, nie została ujawniona. Wiadomo, że nie była to jedyna rzecz należąca niegdyś do Führera, która tego dnia zmieniła właściciela. Za równowartość niemal 100 tys. zł inny licytujący kupił porcelanową figurkę owczarka alzackiego.

SUKNIA ZA 20 MLN

Skoro ludzie są skłonni zapłacić majątek za rzeczy po zbrodniarzu, to tym bardziej trudno się dziwić, że wydają fortunę na pamiątki po najpopularniejszych gwiazdach. Najbardziej zagorzali fani walczą nie tylko o pierwsze wydania, niedostępne płyty czy autografy, lecz także o rzeczy osobiste swoich bohaterów.

W listopadzie zeszłego roku obcisłą, wysadzaną kryształami suknię, którą Marilyn Monroe miała na sobie, gdy zaśpiewała Johnowi Kennedy'emu słynne „Happy Birthday, Mr. President", sprzedano na aukcji w Los Angeles za rekordowe 4,81 mln dol. (równowartość niemal 20 mln zł). Tym samym amerykański finansista zrobił na niej doskonały interes – sam kupił ją bowiem w 1999 r. jedynie za 1,26 mln dol. (ok. 5,13 mln zł). Od początku traktował zakup jako inwestycję – umieścił więc suknię w szklanej gablocie z zainstalowanym specjalnym systemem wentylacyjnym.

Ubrania słynnej aktorki nie pierwszy raz pozwoliły zarobić kolekcjonerom. Poprzedni rekord również należał bowiem do sukni noszonej przez jeden z XX-wiecznych symboli seksu. Plisowana sukienka koloru kości słoniowej, w której Marilyn Monroe wystąpiła w filmie „Słomiany wdowiec", w 2011 r. została sprzedana na aukcji w Beverly Hills za 4,6 mln dol. Zestaw zdjęć rentgenowskich słynnej aktorki – którego wartość szacowano na 3 tys. dol. – w 2010 r. znalazł kupca, który zapłacił 45 tys. dol. „Masz jedyną w swoim życiu okazję, by spędzić wieczność obok Marilyn Monroe" – pisał sprzedający w serwisie eBay miejsce w kolumbarium w Los Angeles tuż nad słynną aktorką.

Zaledwie kilka dni później ten niezwykły grób sprzedano za 4,6 mln dol.

Zawrotne ceny na aukcjach osiągają również bardziej osobiste części garderoby gwiazd z pierwszych stron gazet. Aby pomóc biednym dzieciom w Brazylii, znana z serialu „Lost" aktorka Evangeline Lilly wystawiła na sprzedaż swoją brazylijską bieliznę. Głośnym echem odbiła się też aukcja używanych majtek Michaela Jacksona. Bielizna w oklejonym policyjną taśmą worku była jednym z dowodów, gdy gwiazdor został oskarżony o molestowanie dziecka. Ostatecznie Jackson został uniewinniony, a jego markowe gatki trafiły na aukcję z ceną minimalną wynoszącą 1 mln dol. (ponad 4 mln zł). I nie jest to wcale najbardziej ohydna rzecz, którą zainteresowali się fani. Używana chusteczka Scarlett Johansson – wraz ze śladami szminki – została kupiona za 5,3 tys. dol. Pieniądze zostały przeznaczone na cele charytatywne. Do organizacji dobroczynnej trafiło też ponad 1 tys. dol., które udało się uzyskać za nadgryziony tost Justina Timberlake'a. Jedno z internetowych kasyn kupiło z kolei za ponad 5 tys. dol. test ciążowy Britney Spears, który piosenkarka zostawiła w jednym z hoteli w Los Angeles.

Dużo większe pieniądze – bo równowartość niemal 180 tys. zł – wydał we wrześniu 2016 r. anonimowy kupiec za… drewnianą urnę z prochami pisarza Trumana Capote'a. Eksperci domu aukcyjnego w Los Angeles wartość skremowanych szczątków autora takich książek jak „Śniadanie u Tiffany'ego", „Inne głosy, inne ściany" czy „Z zimną krwią" szacowali na ok. 10 tys. dol. (tuż po śmierci pisarza w 1984 r. jego prochy wyceniano na 6 tys. dol.) i podkreślali, że to prawdopodobnie pierwszy przypadek w historii, gdy na aukcję trafiła urna z ludzkimi szczątkami.

– Licytacją interesowali się ludzie z Rosji, Niemiec, Chin, RPA i USA – opowiadał w CNN szef domu aukcyjnego Darren Julien. Ubrania Capote'a, które pisarz miał na sobie w chwili śmierci, sprzedano za 6,4 tys. dol. Cena za same prochy, która osiągnęła poziom aż 43,7 tys. dol., zaskoczyła zaś nawet Darrena Juliena. Ten sam dom aukcyjny 10 lat wcześniej sprzedał również kamień nerkowy Williama Shatnera, kanadyjskiego aktora znanego z filmów „Star Trek", za 25 tys. dol. (uzyskane w ten sposób pieniądze Shatner przekazał na budowę domów dla najbiedniejszych).

Telefon Hitlera sprzedano za 243 tys. dol. FOT. PAP

Pod aukcyjny młotek trafiły też włosy Elvisa Presleya – fryzjer króla rock'n'rolla dostał za nie w 2002 r. aż 115 tys. dol. Bogatego nabywcę znalazł również kosmyk włosów Johna Lennona (jego fryzjerka otrzymała za nie 35 tys. dol.), a nawet ząb gwiazdy The Beatles (wyrwany w latach 60., pod koniec 2011 r. został kupiony za 31,2 tys. dol. przez kanadyjskiego dentystę). Znany amerykański urolog John J. Lattimer chwalił się zaś gościom w swej rezydencji pod Nowym Jorkiem... penisem Napoleona, który nabył na aukcji w 1977 r.

Z kolei piosenkarz Justin Bieber ubiegł fryzjerów i sam sprzedał na aukcji kosmyk swoich włosów za 40,6 tys. dol., a pieniądze przekazał na cele dobroczynne. Za niemal trzy razy tyle (dokładnie za 119 tys. dol.) były agent CIA sprzedał na aukcji kosmyk włosów Che Guevary. Dawny amerykański szpieg Gustavo Villoldo, który nadzorował pogrzeb latynoamerykańskiego rewolucjonisty, zapewniał przed sprzedażą, że ścięte włosy nieżyjącego już Che – obok zdjęć i pobranych odcisków palców – były dowodem ukończenia misji likwidacji lewicowego bojownika.

MAGICZNE SŁOIKI I BAŁWAN

Niezwykłymi pomysłami wykazują się też sprzedawcy słoików, w których wnętrzu – według zapewnień właścicieli – znajdują się niepowtarzalne rzeczy. Na przykład słoiczek, w którym „może znajdować się oddech Angeliny Jolie i Brada Pitta", pewien przedsiębiorczy pomysłodawca sprzedał wielbicielowi aktorów za 523 dol.

Jeden z fanów Prince'a wystawił w zeszłym roku na sprzedaż „Purpurowy deszcz", czyli słoik z deszczówką zebraną w dniu śmierci artysty w okolicy posiadłości piosenkarza Paisley Park. Cena wywoławcza wynosiła jedyne 100 dol. Niestety, tym razem chętnych do zakupu nie było.

Z kolei słoik z powietrzem pobranym podczas koncertu The Stone Roses – sprzedawca do słoika dołączał certyfikat autentyczności – udało się jednak sprzedać za niemal 100 tys. dol. (równowartość 407 tys. zł).

Również w Polsce nie brakuje oryginalnych licytacji. Jednej z osób udało się sprzedać na aukcji m.in. roztopionego bałwana w butelce (sprzedawca zapewniał, że przed roztopieniem bałwan powstał ze śniegu z okolic Krakowa). W 2012 r. do kupienia był m.in. Certyfikat Ocalenia przed Końcem Świata (wraz „ze specjalnym kodem od Majów").

– Współczesny człowiek nie czuje się tak kochany, jak by chciał. A przecież każdy chce się czuć w życiu ważny. Dla wielu bardzo istotna jest więc chęć wyróżnienia się, indywidualizacji. W społeczeństwie konsumpcyjnym ważniejsze jest zaś „mieć", a nie „być". Stąd pragnienie posiadania niezwykłych rzeczy, bardzo limitowanych dóbr, których inni będą zazdrościć – mówi „Do Rzeczy" dr Anna Siudem, psycholog społeczny z UMCS. – Oczywiście posiadanie rzeczy, które pozwalają na pławienie się w cudzej aureoli, nie sprzyja prawdziwemu szczęściu, ale daje jego namiastkę. Pozwala choć na krótko poczuć się wyjątkowym i szczęśliwym – tłumaczy dr Siudem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

TEST „DO RZECZY": OCZYSZCZACZ POWIETRZA STADLER FORM VIKTOR

Zaledwie w półtora miesiąca niemal 20 polskich miast przekroczyło już roczny „limit dni ze smogiem" – podała Polska Zielona Sieć, zauważając, że zgodnie z unijnym prawem w ciągu całego roku powinno być maksymalnie 35 dni, podczas których mogą być przekroczone normy jakości powietrza. I chociaż najgorzej jest na smogowym południu kraju, a także w takich miastach jak Warszawa, Łódź i Szczecin, w sklepach w różnych częściach Polski zaroiło się od profesjonalnych masek antysmogowych. Jednak nawet jeżeli w dni, kiedy normy są kilkakrotnie przekroczone, zostaniemy w domu czy mieszkaniu, powietrze we wnętrzach i tak nie będzie czyste, bo smog może dostać się do środka m.in. przez kratki wentylacyjne czy nieszczelne okna.

Kwiaciarnie polecają więc rośliny neutralizujące toksyczne związki z powietrza – od zwykłych dracen do koszmarnie drogich odmian sprowadzanych z amazońskiej dżungli. Producenci sprzętu AGD promują z kolei oczyszczacze powietrza. Jeden z nich to Stadler Form Viktor.

Urządzenie jest stosunkowo niewielkie (30 x 30 x 52 cm) i ma minimalistyczny, „czysty" design.

Robi wrażenie produktu wysokiej jakości, choć stojak mógłby być stabilniejszy. Lepiej dopracowane powinno być również zamknięcie plastikowej klapy zasłaniającej filtry.

Stadler Form Viktor jest wyposażony w trzy filtry: wstępny (wyłapuje pyłki, kurz, kocie futro), filtr HPP (wykorzystując silne pole magnetyczne, usuwa wirusy i bakterie, a także – co ważne dla alergików – odchody roztoczy i zarodniki grzybów pleśniowych) oraz filtr węglowy z cząsteczkami węgla aktywnego (usuwa nie tylko pył zawieszony, lecz także nieprzyjemne zapachy, np. dym z papierosów, zapach pysznego, lecz koszmarnie śmierdzącego sera i odór spalenizny związany z ewentualną klęską poniesioną podczas gotowania w kuchni). Co ważne, filtr HPP można po prostu umyć. Dwa pozostałe powinno się wymieniać co pół roku. Na szczęście koszt w porównaniu z niektórymi produktami konkurencji nie jest zbyt wysoki (119 zł za oba filtry).

Prosty w obsłudze oczyszczacz ma pięć poziomów prędkości. W dwóch najwyższych trybach urządzenie jest bardzo głośne. W trybie nocnym oczyszczacz działa jednak na tyle cicho (28 dB), że można przy nim spokojnie zasnąć. Kłopot mogą mieć jednak ci, którzy lubią sypiać w kompletnej ciemności – niebieska dioda LED w trybie nocnym świeci co prawda mniej intensywnie, ale jednak świeci. Na szczęście istnieje możliwość ustawienia automatycznego wyłączenia odświeżacza po dwóch, czterech lub ośmiu godzinach. Można więc wychodząc do pracy, włączyć go na maksymalną prędkość i po powrocie do domu cieszyć się zarówno czystym powietrzem, jak i ciszą.

Według producenta oczyszczacz nadaje się do efektywnego oczyszczania pomieszczeń o powierzchni do 50 mkw. Urządzenie nie ma jednak wbudowanego czujnika, który informowałby o poziomie zanieczyszczenia w pomieszczeniu. Nie ma też funkcji nawilżania. To po prostu oczyszczacz powietrza. Model ten jest za to wyposażony w dozownik zapachów, który może sprawić, że w oczyszczone np. z dymu lub smogu pomieszczenie zostanie szybko wypełnione wybranym aromatem.

Cena: 1299 zł. ©℗

Jacek Przybylski

NIE JESTEŚ WYKLUCZONY

Na rynek wchodzi DotWatch, czyli smartwatch dla osób niewidzących. Wszystko dzięki dynamicznym wypustkom na ekranie zegarka, pozwalającym na odczytywanie wiadomości. Warunek zasadniczy – trzeba dość biegle posługiwać się językiem Braille'a. Punkty mają wysuwać się i ciągle zmieniać położenie, co z kolei ma pozwolić na odbiór i odczytanie nawet długich wiadomości. Jak informuje portal Tabliczni.pl, producent – koreańska firma Dot – jeszcze w tym roku chce sprzedać aż 100 tys. sztuk DotWatcha. Pierwsze egzemplarze mają trafić do klientów już w przyszłym miesiącu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

FITNESS CIĄGLE W MODZIE

Zrobiło się trochę cieplej, w miniony weekend rozćwierkały się ptaki, ponoć do Polski przyleciały już pierwsze bociany. To znaczy, że przedwiośnie przyszło. Nie wierzycie? Rozejrzyjcie się więc wieczorem po osiedlowych i parkowych uliczkach. Ilu już wyległo na nie biegaczy, joggingowców i ludzi podpierających się patykami? No dobra, uprawiających nordic walking. Dla tych, którzy lubią biegać, maszerować lub po prostu spacerować, przydatna może być kolejna wersja fitnessowych inteligentnych opasek, czyli Atlas Shape. Sceptycy powiedzą oczywiście, że na rynku jest już ich zatrzęsienie, a w zasadzie różnią się głównie designem oraz ceną, i będzie to prawda. Producenci Atlas Shape wprowadzili jednak kilka innowacji odróżniających tę opaskę od wszelkich analizatorów aktywności, spoczynku, bicia serca, tętna, snu, kalorii etc. Otóż Atlas Shape, oprócz tych funkcji, oferuje użytkownikom również osobistego trenera w wersji live, czyli sugestie treningowe w czasie rzeczywistym. Urządzenie wyposażone jest w zestaw czujników analizujących i rozpoznających wykonywane ćwiczenia, ale – co najważniejsze – w słuchawkach sparowanych ze smartfonem w trakcie wysiłku fizycznego otrzymam, po automatycznej analizie aktywności, spersonalizowane porady i podpowiedzi przydatne do poprawy formy. Czujniki świetnie oceniają m.in. trening interwałowy, ale równie dobrze współpracują z Google Fit i Apple HealthKit. Atlas Shape ma też niewielki, bardzo prosty dotykowy ekran, wyświetlający krótkie informacje tekstowe. W sprzedaży od czerwca w cenie ok. 400 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 8322bd21d5

Czy lasery w medycynie estetycznej rzeczywiście czynią cuda? Część I

Medycyna i chirurgia estetyczna są w ostatnich latach świadkami niebywałego rozwoju technik laserowych. Laser – według Wikipedii – to urządzenie emitujące promieniowanie elektromagnetyczne z zakresu światła widzialnego, podczerwieni i ultrafioletu, wykorzystujące zjawisko emisji wymuszonej.

Firmy produkujące te urządzenia coraz więcej obiecują, czasami zgodnie z wiedzą medyczną, czasami na wyrost, w każdym razie słowo „laser" staje się synonimem czegoś, co pozwoli na urzeczywistnienie mitu o urodzie „łatwo, szybko i relatywnie bezboleśnie".

Niestety, w tym nie zawsze prawdziwym obrazie możliwości technik laserowych mają swój udział także lekarze.

Jest niewątpliwie faktem, że ostatnimi laty nastąpił zdecydowany wzrost zastosowań laserów w szeroko rozumianej medycynie estetycznej, stały się one coraz bardziej wyspecjalizowane, wykorzystują zdolność pochłaniania fali laserowej przez różne targety – cele w tkankach ludzkich (woda, krew, melanina etc.). Lasery można lubić bądź nie, ale trudno nie przyznać, że w niektórych aspektach korekcji estetycznych są one niezastąpione.

Lasery podlegają różnym specyfikacjom i klasyfikacjom.

Z punktu widzenia jego użytkowników (zarówno lekarzy, jak i pacjentów), biorąc pod uwagę ich zastosowanie w medycynie estetycznej, można je podzielić na te, których celem jest:

– odmłodzenie skóry twarzy,

– korekcja defektów estetycznych i funkcjonalnych na podłożu naczyniowym (np. tzw. naczynka),

– korekcja zmian o charakterze barwnikowym (np. przebarwienia) i usuwanie tatuaży,

– usuwanie zmian skórnych i tzw. mała chirurgia,

– usuwanie „niechcianego" owłosienia.

Inny podział, który może być użyteczny, dzieli lasery na te, które emitują światło widzialne (problemy naczyniowe i barwnikowe), podczerwień (laser CO2, Nd-YAG) i ultrafiolet.

Urządzeniem często nazywanym laserem, a nim niebędącym jest tzw. IPL, wykorzystywany w korekcjach zmian naczyniowych, przebarwień i usuwaniu owłosienia.

Istotnym z punktu widzenia rekonwalescencji pozabiegowej jest podział (mało precyzyjny) na urządzenia ablacyjne (dłuższe gojenie) i nieablacyjne.

Światło lasera działa najczęściej na tkankę z zewnątrz, ostatnio jednak wykorzystuje się metody polegające na umieszczaniu końcówki lasera w naczyniach krwionośnych (aby je zamknąć) czy w tkance tłuszczowej, aby ją „upłynnić".

dr Andrzej Ignaciuk
– prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Estetycznej i Anti-Aging PTL
www.drignaciuk.pl

eprasa.pl 8322bd21d5

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

Staram się być przydatny

Z Adamem Małyszem, skoczkiem narciarskim, dyrektorem w PZN

rozmawia Łukasz Majchrzyk

ŁUKASZ MAJCHRZYK: Wiedział pan, że Stefan Horngacher musi być strzałem w dziesiątkę? Pracowaliście razem za czasów Heinza Kuttina. Dlaczego poszło mu teraz tak dobrze?

ADAM MAŁYSZ: Wiedziałem, czego się spodziewać po Stefanie, bo go znałem i znałem jego metody. Przed laty pracował z naszymi juniorami, a ostatnio był asystentem szkoleniowca reprezentacji Niemiec. Uważałem, że wniesie sporo nowego w polskie skoki narciarskie. Nowy trener kadry i nowi współpracownicy odblokowali Kamila Stocha oraz resztę naszych kadrowiczów. To było potrzebne po ośmiu latach współpracy z trenerem Łukaszem Kruczkiem. Sporo dały nowinki dotyczące sprzętu, które załatwili ludzie wybrani i ściągnięci do ekipy przez Horngachera. Ważne są również detale techniczne, takie jak wybicie z progu i sylwetka w powietrzu, na które Austriak zwraca wielką uwagę. Te szczegóły były dopracowywane indywidualnie. Poprawiła się też atmosfera w kadrze. Dzięki temu, że nie ma nieporozumień, chłopaki mogą skoncentrować się na skakaniu. Cała ta układanka dała efekt, jaki oglądamy co weekend na skoczniach. Chyba nikt z nas się nie spodziewał, że rezultat będzie aż tak dobry.

Trenera trzeba bezwzględnie słuchać czy można z nim dyskutować? Maciej Kot podobno świetnie się dogaduje z Horngacherem, ale Piotr Żyła czasami ma swoje pomysły. A Kamil Stoch?

Ja nigdy nie kłóciłem się z trenerami. Trzeba ich słuchać albo się z nimi jakoś dogadywać. Pierwszy mój szkoleniowiec w reprezentacji, Pavel Mikeska, preferował to pierwsze podejście. Miało być tak, jak on postanowił. To akurat na początku mojej kariery było dobre, bo przecież nie wiedziałem o skokach zbyt wiele. Kolejny, Apoloniusz Tajner, zawsze pytał zawodników o zdanie. Można powiedzieć, że konsultował z nami swoje decyzje. Podobny styl pracy, taki ugodowy, miał też Łukasz Kruczek. Tylko że w przypadku Tajnera to funkcjonowało, a z Łukaszem taki układ mi nie pasował. To był mój kolega – byliśmy przecież razem w drużynie, mieszkali-

eprasa.pl 8322bd21d5

śmy w jednym pokoju – a nie trener. Z kolei Hannu Lepistö uwielbiał rozmawiać o pojawiających się problemach i wspólnie poszukiwać rozwiązań kłopotów. Jednak to moje odczucia związane z tymi szkoleniowcami. Każdy zawodnik ma swoje przemyślenia i preferencje. Cała grupa skoczków świetnie przecież rozumiała się z Kruczkiem i dużo wspólnie osiągnęli. Maciek Kot jest w Horngachera zapatrzony, mocno mu ufa i odzyskał motywację do pracy. Z Piotrkiem Żyłą dyskusji nie było. Dostał polecenie zmiany pozycji na rozbiegu i gdyby się nie zastosował, nie byłoby dla niego miejsca w kadrze. A Kamil Stoch też znalazł nić porozumienia ze Stefanem. Zresztą po słabszym okresie znów wrócił na szczyt, więc nie trzeba go raczej przekonywać do metod Austriaka.

Jaka jest pana rola w reprezentacji? Skoczkowie przychodzą po poradę?

Staram się robić to, co jest potrzebne, być przydatny. Podczas treningów przed sezonem oraz w trakcie konkursów w Kuusamo filmowałem skoki. Podczas innych zawodów przynosiłem naszym reprezentantom kurtki. Swoją obecnością na skoczni czasem odwracam uwagę mediów od zawodników. Czasem dziennikarze rozmawiają ze mną więcej niż z nimi, więc chłopaki nie tracą czasu na te obowiązki, mogąc szybciej zacząć regenerację i przygotowania do kolejnych występów. Jestem też koordynatorem, pośrednikiem między ekipą a Polskim Związkiem Narciarskim. W razie problemów ludzie z reprezentacji zwracają się do mnie, a ja załatwiam co trzeba.

Dzisiaj to polska reprezentacja nadaje ton? Inni podpatrują, jaki ma sprzęt, jak pracuje?

Oczywiście na skoczni wszyscy ciągle się podglądają. My bardzo dużo pracy wykonaliśmy latem. Mamy m.in. dwóch ekspertów zajmujących się kombinezonami, butami i wiązaniami. Te różnice, jeśli chodzi o rozmaite nowinki sprzętowe, są niewielkie. O szczegółach oczywiście nie mogę powiedzieć, by nie ułatwić pracy konkurencji. Jednak to te drobnostki dają dodatkowe kilka metrów w długości skoku albo przewagę psychologiczną, która jest równie ważna. Rywal, który patrzy na naszego zawodnika i myśli, że nie jest w stanie skoczyć tak samo daleko, bo nie ma takich świetnych butów czy jakiejś wkładki, rzeczywiście nie skoczy dobrze. Tych drobnych elementów nie można zatem zaniedbać. Czasem śmieję się, że – zachowując proporcje – skoki trochę pod tym względem przypominają Formułę 1, gdzie zespoły rywalizują o tysięczne części sekundy.

Dzisiaj skoczkowie też jedzą bułkę z bananem? Za pana czasów profesjonalne odżywianie skoczków dopiero się zaczynało?

Teraz nikogo z takim zestawem nie widziałem. Jednak trzeba przyznać, że chłopcy dbają o swoje organizmy i o to, co jedzą. Kiedy ja skakałem, sytuacja wyglądała inaczej. Na początku rzeczywiście mało kto zastanawiał się, jaki może mieć to wpływ na formę. Gdy zacząłem współpracować z dietetykiem, uczyłem się jeść na nowo. Na przykład notowałem wszystko, co nakładałem sobie na talerz, a potem analizowałem to z fachowcem. Na posiłki przychodziłem z wagą, by dokładnie sprawdzić wielkość porcji. Potem nabrałem takiej wprawy, że wbijałem widelec w mięso i potrafiłem określić wagę danego kawałka. Myliłem się o 10 gramów. Aktualnie nie muszę już przestrzegać tak ściśle diety, ale pewne nawyki z tamtego okresu mi zostały.

Z młodymi zawodnikami jest kiepsko. Liczę, że w związku z sukcesami wróci moda na skoki i dzieci znów będą się garnąć do tego sportu

Ostatnio zareagował pan bardzo emocjonalnie w sprawie jednego z juniorów. Jak wygląda zaplecze kadry A? Rosną następcy? Ostatnio frekwencja na mistrzostwach Polski nie była imponująca.

To prawda, z młodymi zawodnikami jest kiepsko. Liczę, że w związku z sukcesami odnoszonymi w niedawnych sezonach przez Kamila, a teraz także przez innych naszych reprezentantów, wróci moda na skoki i dzieci znów będą garnąć się do tego sportu. Co do wspomnianego juniora – po prostu nie mogę zrozumieć, jak można nie chcieć korzystać z tak komfortowych warunków pracy, jakie mają nasi skoczkowie. Naprawdę reprezentantom Polski nie brakuje niczego. W innych krajach, szczególnie juniorzy, o podobnych warunkach mogą tylko pomarzyć. Natomiast wydaje mi się ważne, że zdajemy sobie sprawę z problemu. Postęp naszych zawodników z pierwszej reprezentacji w ostatnich miesiącach jest imponujący, lecz już wiadomo, że kolejne sezony będą dość trudne jeśli chodzi zarówno o utrzymanie takiego wysokiego poziomu, jak i znalezienie następców. Po sezonie będziemy się zastanawiać, co zrobić, by sytuacja się poprawiła. Pomysły już są, ale z decyzjami trzeba poczekać do końca zimy.

Za rok igrzyska w Pjongjang. Polskim skoczkom odpowiada tamtejsza skocznia?

Oni sami mówią, że tak, więc chyba trzeba się z nimi zgodzić. Kamil po pierwszych skokach powiedział, że obiekt ma profil, który bardzo mu odpowiada. Na razie jednak nie myśli się o igrzyskach, ważne były te konkretne konkursy. Zresztą zawodnik w dobrej dyspozycji dobrze prezentuje się na każdej skoczni. Stoch pokazał to choćby podczas igrzysk w Soczi. Opuścił rozgrywaną tam rok wcześniej próbę przedolimpijską, a potem wygrał konkursy na obu tamtejszych obiektach. Dodatkowo podczas igrzysk jest wystarczająco dużo treningów, by dobrze zapoznać się z miejscem rozgrywania zawodów. A sama skocznia w Pjongjang jest dość nowoczesna, wyposażona w siatki skutecznie chroniące przed wiatrem. To daje nadzieję na sprawiedliwe konkursy, w których medale zdobędą rzeczywiście najlepsi.

Nie trzeba się obawiać, że media „zagłaszczą" skoczków?

To są już na tyle doświadczeni zawodnicy, że wiedzą, jak radzić sobie z presją i oczekiwaniami. Swoje przeżyli. Nie martwię się o takie kwestie, bo mają jasno określone priorytety.

Wróci pan jeszcze do rajdów?

Bardzo bym chciał, choć nie zależy to do końca ode mnie. To bardzo kosztowny sport i bez wsparcia dużych firm rywalizacja na interesującym mnie poziomie jest niemożliwa. Jestem ambitny, zawsze mocno angażuję się w to, co robię. Jazda na pół gwizdka nie jest dla mnie, ale na to trzeba ogromnych pieniędzy. Natomiast mówię, że zawiesiłem, a nie zakończyłem karierę kierowcy, bo marzę o tym, by wrócić na trasę Dakaru i powalczyć o dobry wynik w tej imprezie. Jeśli pojawiłby się sponsor i miałbym czas porządnie przygotować się do startu, to jak najbardziej. Chociaż na razie oczywiście koncentruję się na pracy w PZN.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8322bd21d5

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Pączki z puszki i z worka

W XVIII w. tłusty czwartek był świętem rozpoczynającym zapusty, w czasie których hulano, bawiono się do upadłego, urządzano maskarady i kuligi, bo na ich końcu zaczynał się Wielki Post. A wówczas raczono się raczej śledziem, a nie słodkościami. Nie zawsze jednak obchodzono go tak jak dzisiaj – zjadając pączki i faworki, co ma zapewnić szczęście i powodzenie na przyszłość. Raczono się bowiem także ciężkimi ciastami i marcepanami.

Staropolskie pączki – jak podaje ks. Jędrzej Kitowicz – były tak ciężkie, że można było nimi podbić oko. Udoskonaliły się dopiero w połowie XVIII w., wraz z nadejściem nowinek z kuchni francuskiej. Jednak ból potencjalnych biesiadników potraktowanych nimi w czasie awantury z pewnością łagodziło to, że znano ich kilka rodzajów, a nadzieniem nie były wyłącznie konfitury. W kuchni znano ich przynajmniej dwa typy. Pączki z migdałami przypominające naleśniki, bo pieczono je na żelazie na węglach i zwijano w trąbki. Pączki strykowe albo puszkowe z drobno utłuczonych migdałów zakropionych wódką cynamonową, ucukrowanych, do których dodawano mąki i białka z jaj; wyciskano je z puszki albo ze strzykawki na patelnię z gorącym tłuszczem. Innym rodzajem były workowe, wyrabiane z jajek, słodkiego mleka i mąki. Ciasto wkładano do płóciennego worka, zawiązywano i gotowano, aż stwardniało. Dopiero później wyjmowano je, cięto na kawałki przypominające trochę wielkie kluski i smażono w tłuszczu. Były też pączki zwykłe – cukrowe, przygotowywane z rozwałkowanego ciasta, którym oblepiano słodkości, nadając im formę kulek, najbliższe chyba naszym współczesnym.

Słodkości te nadziewano zwykle mieszaniną ugotowanych białek z jajek zmieszanych z wódką różaną albo cynamonową i migdałami. „Drugie pączki migdałowe" przygotowywano z kolei z migdałów rozcieranych ze startym białym chlebem, moczonym w wódce różanej i wyciskanym przez chustkę lub płótno. Potem wszystko to mieszano z ciastem z żółtek i mąki, formowano kluseczki „okrągłe na kształt rzepy", smażono na rynce w tłuszczu, a do środka wtykano owoce rozmarynu. Staropolska książka kucharska podaje jeszcze jeden sposób przygotowania podobnych pączków – mogły być one nie tylko smażone, lecz także pieczone w piecyku do ciast i smarowane po wierzchu żółtkami z jajek zmieszanymi z wódką różaną.

Pod koniec XVIII w. pączki wydelikaciły się, albowiem dodawano do nich śmietanę, mleko, kwiat pomarańczowy i smażoną siekaną cytrynę, zwracano także uwagę na to, aby były lekkie i pulchne w środku. Zaczęto też nadziewać je konfiturami, jabłkami, brzoskwiniami i portugalskimi pomarańczami. Niektóre odmiany w ogóle przygotowywano inaczej, np. z mąki ryżowej z jajkami, mlekiem i cukrem – ciasto gotowano, potem dopiero smażono w rynce.

W ostatki i tłusty czwartek jadano także marcepany, np. z migdałów wymoczonych w wódce cynamonowej, ugniatanych na ciasto i pieczonych niby zwykłe opłatki. Albo marcepany neapolitańskie, tłuczone, doprawiane cynamonem, imbirem, gałką muszkatołową i tartymi piernikami norymberskimi. Niektóre bywały złocone, wiązał się z tym zwyczaj obdarowywania słodkościami panien. Wacław Dyamentowski, który przebywał w niewoli moskiewskiej na początku XVII w., pisał, że kiedy Moskale zobaczyli u jeńców tak ozdobione marcepany, byli przekonani, że Polacy naprawdę jadają złoto. ©℗

FOT. FOTOLIA

Pączki cukrowe z kolendrą

Bierzemy dużo przedniej pszennej mąki, dwa białka z jajek, dolewamy kilka łyżek różanej wódki i zagniatamy z tego ciasto. Następnie wałkujemy je na stolnicy, kładziemy na nie kupkami nasiona kolendry siewnej smażone z cukrem (albo po prostu nakładamy łyżeczką konfitury, jeśli nie mamy staropolskiej apteczki we dworze). Zawijamy, formując kulki, i smażymy w oleju lub na maśle.

Pączki strykowe albo puszkowe

Bierzemy migdały oparzone ze skórki i tłuczemy je w moździerzu, zakrapiając wódką cynamonową, dodajemy też cukru. Z dobrej pszennej mąki i kilku białek jajecznych robimy ciasto gęste, ale niezbyt twarde. Mieszamy je z migdałami, następnie pakujemy w dużą strzykawkę do tortów albo puszkę ze stemplem i wyciskamy na patelnię z gorącym tłuszczem – olejem albo masłem.

eprasa.pl 8322bd21d5

KLUSKI Z MAKIEM NIE TYLKO NA ŚWIĘTA

Spora część mojej rodziny, również oboje teściowie, pochodzi z Kresów Wschodnich, a konkretnie z Wołynia. Mój ojciec między rokiem 1939 a 1941 mieszkał pod Wołyniem, a potem we Lwowie. Stąd wziął się mój pseudonim, którego używałem w podziemiu, publikując jako Aleksander Wołyński.

Nie będzie zatem dla nikogo niespodzianką, jeśli powiem, że lubię smak kresowej kuchni, i podzielę się przepisem na potrawę typową dla tamtego regionu, czyli na kluski z makiem. Podkreślam, że są to kluski z makiem, a nie makaron. Wiele osób podaje zitalianizowaną wersję tej potrawy, idąc na łatwiznę i używając kupnego makaronu. Ja zachęcam do własnoręcznego przygotowania klusek, co wcale nie jest trudne.

W wielu domach różne warianty tego dania kojarzą się z Wigilią, ale kluski z makiem można podawać przy różnych okazjach, nie tylko w okresie Bożego Narodzenia.

Składniki:

- 2 jajka
- 2 szklanki mąki
- woda
- 1,5 szklanki maku
- 4 łyżki miodu
- 2 łyżki posiekanych orzechów włoskich lub migdałów
- rodzynki
- drobno posiekana skórka pomarańczowa

Przygotowanie:

Przesiać mąkę przez sitko, wbić do niej jajka, lekko posolić. Dodawać letniej wody do uzyskania odpowiedniej konsystencji i urabiać ciasto. Kiedy będzie urobione, podzielić na trzy części, utoczyć wałeczki i pociąć na kluski. Wrzucić do gotującej się, posolonej wody, gotować kilka minut.
Mak należy przelać wrzątkiem i zemleć dwa–trzy razy. Dokładnie przemieszać z miodem, dodać orzechy i/lub migdały oraz skórkę pomarańczy. Podsmażyć na patelni, zmieszać z kluskami i zapiec. ***not. raw*** ©℗

Ryszard Czarnecki jest europosłem od trzech kadencji, od 2014 r. wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego, politykiem PiS.

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wolność dla jajka

FOT. FOTOLIA

Problem jajka częściowo rozwiązał Krzysztof Kolumb. Tylko częściowo, bo kupując je w sklepie, w dalszym ciągu niewiele o nim wiemy. Kiedy zostało zniesione? Do kiedy można je bezpiecznie jeść? Nie mamy też pewności, czy rzeczywiście kura była tak szczęśliwa, jak zapewniają producenci, oznaczając jajeczko jako zerówkę lub jedynkę. Pierwsze jest ekologiczne (teoretycznie), drugie – (teoretycznie) z wolnego wybiegu. A co naprawdę oznacza wolny wybieg? Gdy się temu przyjrzeć, problem jajka przestaje być tak prosty jak u Kolumba.

Klatka nie jest właściwym miejscem do życia dla kury. Zagnały ją tam chciwość ludzi oraz wielkoprzemysłowa produkcja rolna. Ptak spędza życie w hangarze, z obciętym dziobem (w Skandynawii i Szwajcarii to zakazane), aby w tłoku nie poranił sąsiadów, nie widząc światła dziennego. W 2012 r. unijna dyrektywa zwiększyła minimalną powierzchnię w klatce, ma być ona także wyposażona w gniazdo, grzędę i urządzenie do skracania pazurów. Teoretycznie. Praktycznie jednak jeśli chodzi o przestrzeń, to według tej właśnie dyrektywy metr kwadratowy na dziewięć kur wystarczy, żeby zniesione przez nie jajka liczyły się jako „z wolnego wybiegu".

Pod naciskiem organizacji Open Wing Alliance producenci zobowiązują się być bardziej humanitarni wobec kur. Lidl ma do 2025 r. pozbyć się klatek, ale to wciąż niewiele, bo niemiecka sieć ma w Polsce tylko 600 sklepów, a u nas 95 proc. jaj pochodzi z chowu klatkowego. Jednak może to oznaczać początek trendu wycofywania ze sprzedaży „trójek". Takich jajek nie chcą już jeść Francuzi, tam większość sieci spożywczych zobowiązała się ich nie sprzedawać.

Co dobre dla kury, to jedno. A dla człowieka? Czy jajko ekologiczne jest rzeczywiście lepsze od nieekologicznego? Nie można tego jednoznacznie stwierdzić. Pod względem wartości odżywczych zerówki i jedynki minimalnie różnią się od trójek. Nie wykazano różnic w zawartości witamin ani cholesterolu. Jajka ekologiczne lub od kur z wolnego wybiegu mogą zawierać więcej luteiny i kwasów omega-3, ale nie jest to regułą, bo zawartość zależy głównie od składu paszy kur, nie od warunków życia. Poza tym oba te związki można łatwiej dostarczyć z innym pożywieniem, niekoniecznie jajkami. A pod względem skażeń mikrobiologicznych (salmonella, zanieczyszczenia metalami ciężkimi czy dioksynami) trójki mają przewagę nad zerówkami. Czy w świetle tych faktów kury rzeczywiście odzyskają wolność? ©℗

eprasa.pl 8322bd21d5

LATAJĄCY SAMOCHÓD

Stworzony przez Holendrów PAL-V Liberty ma być pierwszym latającym samochodem, który oficjalnie pojawi się nie tylko na rynku, lecz także na publicznych drogach. Początkowo do sprzedaży trafi 90 egzemplarzy maszyny w specjalnej, lepiej wyposażonej pionierskiej edycji. Cena jednego egzemplarza to 599 tys. dol., czyli ponad 2,4 mln zł. Gdy wszystkie znajdą już nabywców, na rynek ma trafić podstawowa wersja PAL-V Liberty Sport za jedyne 400 tys. dol. (1,6 mln zł). Na ziemi dwuosobowa maszyna porusza się na trzech kołach i może rozpędzić się do 160 km/godz. Przygotowanie auta do lotu – m.in. automatyczne rozłożenie śmigła oraz ręczne wyjęcie ogona i rozłożenie łopat wirnika – zajmuje według producenta jedynie 5–10 min. Aby móc latać swoim nowym samochodem, przyszli właściciele poza prawem jazdy będą musieli mieć również licencję pilota wiatrakowca (autożyro). Niezwykła hybryda bardziej przypomina śmigłowiec niż samolot. W przeciwieństwie do śmigłowca latający samochód nie potrafi jednak lądować ani startować pionowo. W powietrzu PAL-V Liberty rozpędza się do 180 km/godz., a jego zasięg wynosi ok. 400–500 km.

NAJSZYBSZE FERRARI

Już na początku marca podczas targów motoryzacyjnych w Genewie włoski producent kultowych samochodów ma pokazać model 812 Superfast. Następca F12berlinetta ma ukryty pod maską 6,5-litrowy silnik V12 o mocy 789 KM. Pozwala on rozpędzić ważący 1,5 t samochód od 0 do 100 km/godz. w zaledwie 2,9 s. Maksymalnie supersamochodem od Ferrari będzie można rozpędzić się zaś do 340 km/godz. Auto ma być przy tym stosunkowo oszczędne – według producenta powinno spalać nie więcej niż 15 l/100 km. Oficjalnie cena nie jest znana. Nieoficjalnie szacuje się ją na ok. 1,25 mln zł.

SUPERŻWAWY ELEKTRYK

Zaledwie 2,275 s na rozpędzenie się od 0 do 60 mil/godz. (96,54 km/godz.) potrzebował w teście Motor Trend model S P100D ze stajni Tesli. Kierowca elektrycznego sedana wyprodukowanego przez firmę należącą do Elona Muska bez trudu zostawi więc z tyłu na światłach właścicieli seryjnie produkowanych ferrari, porsche i mclarenów. Czteroosobowy model Tesli nie ma też problemów z zasięgiem, który – według zapewnień producenta – może wynosić nawet 613 km. Niestety, na autostradzie kierowca elektryka nadal nie będzie miał szans z właścicielami supersamochodów z tradycyjnym silnikiem benzynowym. ©℗

NOWA LIMUZYNA OPLA

To może być jedna z najważniejszych premier tego roku. Już niebawem w polskich salonach powinna pojawić się nowa, odchudzona Insignia. Dilerzy już rozpoczęli zbieranie zamówień. Nowa Insignia Grand Sport jest oferowana w cenie katalogowej od 99 900 zł, natomiast wersja kombi Sports Tourer w cenie od 103 900 zł. W ofercie do wyboru są silniki benzynowe 1.5 turbo (o mocy 140 lub 165 KM), 2.0 turbo (o mocy 260 KM), a także silniki wysokoprężne o pojemności 1.6 (o mocy 110 lub 136 KM) oraz 2.0 (170 KM).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ
JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl 8322bd21d5

TYGODNIK POLSKI DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ KSIĄŻKA KATARZYNY PINKOSZ
„WYBUDZENIA. Powrót do życia - polskie historie."

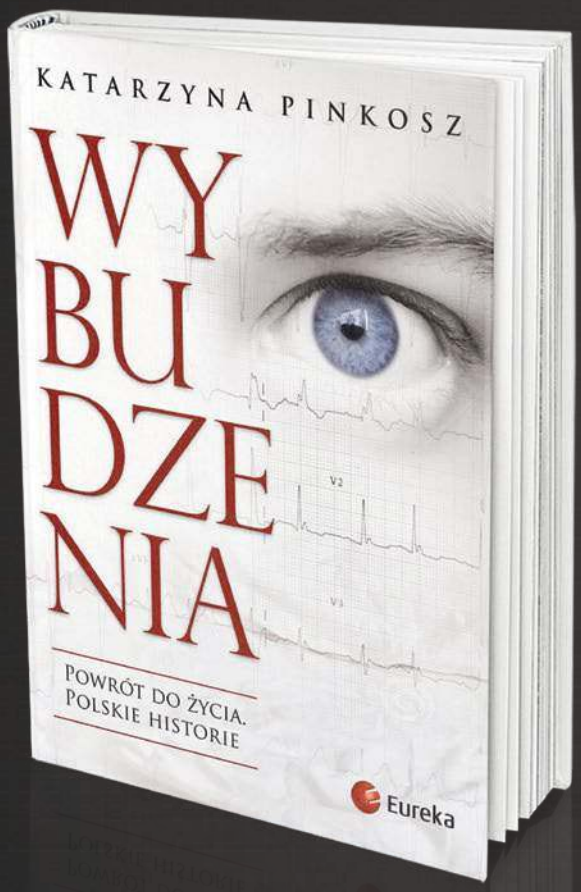

O życiu decydują sekundy. Wypadek, udar, zakrztuszenie: co roku kilkanaście tysięcy osób w Polsce zapada w śpiączkę. Co powoduje, że niektórzy się z niej budzą, choć lekarze nie dawali im szans?

Rodzicom Agnieszki Terleckiej sugerowano, że jej serce czy nerka może komuś uratować życie. Agnieszka wybudziła się i skończyła studia.

Reżyser Mariusz Kobzdej po ośmiu miesiącach w głębokiej śpiączce wrócił do życia.

Żużlowca Piotra Winiarza wybudził warkot motoru.

Trzynastoletniego Dawida – gol strzelony przez Cristiano Ronaldo.

„Wybudzenia" to poruszające historie osób, które wyszły ze śpiączki i tych, którzy nadal o to walczą, tak jak Ola - córka Ewy Błaszczyk. Połowa osób nazywanych czasem „roślinami" czuje, widzi, słyszy. Gdzie są, kiedy wydaje się, że „tu" ich nie ma?

„Wybudzenia" to też niezwykłe rozmowy z ludźmi, którzy przeciągają śpiących na „naszą" stronę, to pytania o sens życia, jego wartość i o to, kiedy rzeczywiście jest jego koniec.

135 zł

oszczędność 84 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8322bd21d5

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Troska Timmermansa

MARCIN MAKOWSKI: Kolejna edycja Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa przeszła do historii, tym razem głównie za sprawą utarczek słownych Franza Timmermansa i Witolda Waszczykowskiego. Oglądając programy informacyjne w Polsce, można było odnieść wrażenie, że na żaden inny temat tam nie rozmawiano.

MATTHEW TYRMAND: Czyli cel został zrealizowany. Unijni globaliści nie mają skrupułów i wykorzystają każde forum do lobbowania na rzecz swojej wizji uprawiania polityki. Przecież to nawet brzmi absurdalnie – największa na świecie konferencja o bezpieczeństwie międzynarodowym, organizowana w obliczu bezprecedensowego kryzysu NATO i Unii Europejskiej, a wiceszef Komisji Europejskiej poucza Polskę o przestrzeganiu konstytucji. Ta troska jest wzruszająca.

Warto dodać, że w tym samym czasie KE przechodzi kryzys przywództwa, a jej szef – Jean-Claude Juncker – zastanawia się, czy nie odejść ze stanowiska. Może to rodzaj kampanii wyborczej Timmermansa?

Być może, ale bez względu na kontekst dobrze, że Waszczykowski odbił piłeczkę i zapytał o to, jak się ma nieistniejący Trybunał Konstytucyjny w Holandii. Unia rozkłada się od środka właśnie przez takich timmermansów, którym nie zależy na republikanizmie, ale na prostym przepychaniu korzystnych dla globalnych elit zapisów przy zdobyciu choćby szczątkowej większości. Moim ulubionym przykładem takiego zachowania i podwójnych standardów jest historia z José Manuelem Barroso z 2005 r. Unia uchwala prawo zabraniające przyjmowania bezpłatnych przejazdów i wakacji od zewnętrznych firm w obawie przed niedozwolonym lobbingiem. Chwilę później Barosso leci na dwutygodniowe wakacje na jacht greckiego magnata stoczniowego, Spirosa Latsisa. I jakoś wielkich problemów z tego powodu nie było, nikt szat nie rozdzierał.

Zmieniając nieco temat. Czy z objęciem przez Rexa Tillersona stanowiska sekretarza stanu dyplomaci i ambasadorzy mianowani przez administrację Obamy mogą się spodziewać utraty stanowisk?

Nie mam co do tego wątpliwości, ten proces jest już w toku. Żaden rząd, który chce realnie zmienić oblicze i kierunek swojej polityki, nie może polegać na personelu o wątpliwej lojalności. Właśnie ten błąd zdecydował o permanentnym stanie kryzysowym w polskim MSZ – przeciekach, sabotowaniu prac szefa resortu, sprzecznych komunikatach. Zamiast pozbyć się ludzi ze starego, postkomunistycznego zaciągu oraz „resortowych dzieci", za każdym razem słyszałem ze strony ministerstwa: „Nie możemy tego zrobić, bo reguły na to nie pozwalają". A kto pisał te reguły? Jakoś Zbigniew Ziobro nie ma podobnego problemu w reformowaniu sądownictwa. Czasami po prostu potrzebny jest twardy reset. Właśnie ten los spotka politykę zagraniczną USA, dlatego z lekkim przymrużeniem oka czytam, jak Paul Jones zapewnia, że zostanie w Warszawie na kilka najbliższych lat, starając się błyskawicznie zbliżyć do prawicy, którą podczas swojego urzędowania gardził. Jego dni są policzone, a w Waszyngtonie pamiętają, że zupełnie otwarcie postawił na Hillary Clinton.

Zakończmy polską polityką. Nie milkną głosy po wypadku z udziałem kolumny premier Beaty Szydło. Były minister sprawiedliwości Borys Budka stwierdził, że kierowca fiata seicento, który uderzył w rządowe audi, to „ofiara rządów PiS".

Czyli atmosfera się zagęszcza. Już nie tylko łamanie konstytucji, lecz także niszczenie aut zwykłych ludzi. Nie ma się co łudzić, podobnych sytuacji będzie tylko przybywać. Żyjemy w czasach, w którym upolitycznia się wyjścia na kawę, a co dopiero podobne wypadki. To samo obserwujemy w Ameryce – przepływ informacji, aktywizacja społeczna i snucie teorii spiskowych są dzisiaj tak łatwe, że nic dziwnego, iż partyjni spin doktorzy podłączają się pod tę falę. I nikt nie jest na tę pokusę odporny. Z prawej strony słyszałem przecież, że ten mężczyzna z fiata to potencjalny zamachowiec nasłany przez KOD, a sam KOD należy zdelegalizować jako organizację nawołującą do przemocy. Życzyłbym sobie, abyśmy musieli się mierzyć tylko z takimi wydumanymi problemami. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

eprasa.pl 8322bd21d5

Jaki program informacyjny oglądasz o 19:00?

Włącz TV Republika. Zobacz rzetelne informacje.

republika

Główne Wydanie informacji również w Internecie ZA DARMO.

www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 8322bd21d5

KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Trzeba wiedzieć, kogo obrażać

„GAZETA WYBORCZA": Aktorzy „Szopkę" odgrywają w muzeum, gdzie obrazy mają twarze osób ze świata polityki. Gorszy od nierównowagi w obiektach humoru był jego poziom. Żarty były seksistowskie, rasistowskie i zwyczajnie wulgarne. – Jak się Bronek poprztyka z Donkiem, to się zawsze może schować, za swą bujną żonkę – mówił jeden z aktorów, żartując z wyglądu byłej pierwszej damy. Jeden z najbardziej oburzających momentów programu nastąpił już pod koniec. Kanclerz Angela Merkel w bawarskim stroju oraz osoby stereotypowo przedstawiające „uchodźców" śpiewają do melodii „Tomorrow Belongs to Me".

„GAZETA WYBORCZA": Artysta, który postawił rzeźbę radzieckiego żołnierza gwałcącego ciężarną kobietę, popełnił wykroczenie „nieobyczajnego wybryku" – uznała policja i skierowała sprawę do sądu. Stała tylko przez jedną noc – rano usunęła ją policja, która pojawiła się na miejscu poinformowana przez zbulwersowaną mieszkankę Gdańska. Artysta tłumaczył, że postawił rzeźbę, bo poczuł, iż musi wyrzucić z siebie temat gwałtów, których dopuszczali się radzieccy żołnierze na mieszkankach Gdańska. Choć pomnik widziało niewiele osób, sprawa wywołała wiele kontrowersji. O gdańskiej rzeźbie wspominały media na całym świecie. Ambasador Rosji uznał, że młody artysta znieważył w ten sposób pamięć 600 tys. żołnierzy, którzy walczyli o wolność Polski. Rzecznik polskiego MSZ uznał całą akcję za „działanie pseudoartystyczne". Od pracy studenta odcięła się też Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku, choć rzeźba powstawała w pracowni uczelni.

„GAZETA WYBORCZA": Po rysunku „z kozą": Czy można lżyć gejów? Dlaczego Michał Minałto i Urszula Pawlik poczuli się urażeni? Na czele Parady Równości nieśli gigantyczny transparent: „Żądamy ustawy o związkach partnerskich". Pokazały ich telewizje. Czuli, że autorzy „Rz" to m.in. ich zrównali z zoofilami. Niedawno sąd odrzucił ich pozew, argumentując, że w publikacjach „Rz" imiennie nie wskazano powoda i powódki. Sąd powołał się na wolność słowa, wolność posiadania poglądów, wolność prasy. To fundamentalne wartości, tylko że także one mają swoje granice. To naruszanie ludzkiej godności, poniżanie i upokarzanie innych.

Ale...

„GAZETA WYBORCZA": Aktorzy Teatru Powszechnego w Warszawie razem z reżyserem Oliverem Frljiciem przypominają, w jak dusznym i zablokowanym kraju żyjemy. „Klątwa" według Stanisława Wyspiańskiego to awangardowa polityczna rewia. Tak mocnego politycznego spektaklu nie było w Polsce od lat. Papież na szubienicy. Naturalnej wielkości pomnik Jana Pawła II zawisa nad sceną, na stryczku. Z tabliczką „obrońca pedofilów". Wcześniej długie i namiętne fellatio wykona na figurze (z doczepionym dildo) aktorka Julia Wyszyńska. To dopiero początek „Klątwy" według Stanisława Wyspiańskiego, wystawionej w Teatrze Powszechnym. Zbiorowy lęk, skrępowanie, wyjęcie korka spomiędzy własnych pośladków – to tematy Frljicia. W Powszechnym robią dokładnie te rzeczy, których robić nie wypada i których robienie zbyt łatwo można obśmiać jako gówniarzerię. ©℗

PODSŁUCHANE

Awangarda

– No i co, Asia, byłaś na tym „Przekleństwie"?
– To się „Klątwa" nazywa, Kamilko. Według Wysockiego.

– E, to nie jest według Wysockiego. Wysocki to był ten śpiewak rosyjski. Chyba operowy.
– A nie, racja. To jest według tego, no... Co „Wesele" napisał...

– Sienkiewicz!
– O, właśnie.

– No i jak? O co tam chodzi?
– No, żeby Kaczorowi dowalić. I czarnuchom.

– To jakieś rasistowskie jest?
– Nie, czarnuchom, czyli tym w sutannach.

– Rozumiem. Ale mnie idzie o akcję, fabułę.
– To znaczy... No... Właściwie to tak za bardzo tam fabuły nie ma. W takim tradycyjnym znaczeniu. Bo to jest teatr taki awangardowy bardziej.

– Aha. A z tym papieżem to prawda? Że mu tam...
– Tak, tak, wszystko prawda. Mówię ci, taka zabawa jest! Ale ty wiesz, co ja zrobiłam?

– No? Mów!
– Z reżyserem samym rozmawiałam. Tym Fufryczem, czy jak on się tam nazywa. I powiedziałam, że ja bym chciała w jego następnej sztuce zagrać, gdy tu znowu coś będzie robił. Żeby temu naszemu ciemnogrodowi pokazać. I się zgodził!

– Gratuluję! A wiesz już jaka rola?
– Wiem. Nieduża, ale odważna. Zrobię na scenie kupę.

– Fakt, mocne, mocne. A po co?
– A czy to ważne? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Dla mnie Jan Paweł II też jest ikoną. Pamiętam, jak przyjechał do Torunia, podjechałam rowerem na jego wystąpienie".

JOANNA SCHEURING-WIELGUS,
posłanka Nowoczesnej, w Radiu RMF FM

eprasa.pl 8322bd21d5

Katolifobia

fot. Jerzy Gumowski

Reżyserowany przez chorwackiego wyuzdańca, kontrkatolicki (bluźnierczo profanujący krucyfiks, epatujący *„obciąganiem”* papieżowi polskiemu, itp.) spektakl warszawskiego Teatru Powszechnego (**„Klątwa”**) to nie przypadek — to tendencja (**„Golgota Picnic”** plus inne takie). Katolicyzm jest sekowany wszędzie w Europie tudzież po drugiej stronie oceanu. Sztabowcy pani Clinton (John Podesta i reszta) bluzgali na katolicki Kościół (bo nie poparł ich kandydatki) jako na *„gnijącą strukturę, pełną zacofania doktrynalnego”*. Wspierający ich żydowski lobbysta Sandy Newman grzmiał o *„średniowiecznej dyktaturze gardzącej demokracją”* i nawiązując do *„wiosny arabskiej”* żądał *„wiosny katolickiej”*, która nie będzie lekceważyć *„genderowego postępu”*. Ciekawostka: wielu takich przeklinających katolicyzm Anglosasów posyła swoją dziatwę do szkół… katolickich, bo te nie deprawują. Głośny stał się parę lat temu przypadek wodza brytyjskich liberałów, wicepremiera Nicka Clegga, który choć szerzył retorykę antykatolicką, umieścił swe potomstwo w londyńskiej szkole prowadzonej przez księży z Oratorium św. Filipa Neri. Co przypomina kacyków doby PRL, którzy cichcem chrzcili swą dziatwę, ryzykując utratę kremlowskich łask.

Późna PRL nie walczyła już przeciw katolicyzmowi, a w III RP postkomuniści kłaniali mu się nisko (Oleksy klęczący u stóp NMPanny Jasnogórskiej), lecz znalazł on nowych wrogów: celebrytów i neoendeków. Ci pierwsi postponują Pismo Święte — Nergal drze Biblię na estradzie zwąc ją *„gównem”*, Doda wyszydza Ewangelistów jako popaprańców *„naprutych winem i palących jakieś zioła”*, Michał Piróg przytakuje mówiąc, że to było *„kilku kolesiów, co na zlecenie nowo istniejącej firmy machnęło za grubą kasę zbiór bajek, nazmyślało”*, itd. Tymczasem endecy flekują wiarę katolicką po prostu (Stanisław Michalkiewicz: *„Żadne wyznanie tak nie pierdzi jak katolickie”*), przypisując jej charakter destrukcyjny wobec społeczeństwa (Jakub Woziński: *„To ideologia, która od ponad tysiąca lat pustoszy Polskę oraz umysły Polaków”*). Sekundują temu produkcje rodzimych plastyków (krucyfiksy taplane w moczu i kale, etc.), nagradzane przez priwiśliński Salon.

Salon międzynarodowy stosuje dla gnębienia/dołowania katolicyzmu oręż różnego rodzaju, lecz za szczególnie skuteczną *„Wunderwaffe”* uważa antysemityzm. Od pierwszych miesięcy powojennych rozwijano taką wredną narrację, łżąc, iż Watykan (Pius XII) był zagładowym sojusznikiem Hitlera. Wprzęgnięto do tej kalumni nie tylko tuby medialne, lecz i pióra literackie, czego swoistym zwieńczeniem stała się sztuka niemieckiego dramaturga Rolfa Hochhutha **„Namiestnik”** (1963), rozreklamowana globalnie, więc przez kilka kolejnych dekad wszędzie zbierająca brawa widzów i krytyków. Za jej sprawą Pius XII został *„chłopcem do bicia”* jako *„antysemita”* — wbrew faktom historycznym. Żadnego znaczenia nie miały świadectwa uczciwych Żydów. Były rabin Triestu i Rzymu, Eugenio Zolli (wcześniej Izrael Zoller), który przeszedł na katolicyzm (notabene: to samo uczyniło wielu znanych rabinów, m. in. Henry Bergman, Leopold Cohn, Efraim Ben Eliakim, Asher Levy, Max Wertheimer, Charles Freshman, Izaak Lichtenstein), twardo głosił, że papież Pius XII, zdecydowany krytyk hitlerowskiego rasizmu, uratował co najmniej 850 tysięcy Żydów przed Zagładą, tak swoimi interwencjami dyplomatycznymi, jak i decyzjami administracyjnymi (rozkazał klasztorom potajemnie kwaterować/ukrywać każdego prześladowanego Żyda). Również Pinchas Lapide, konsul Izraela (1956–1958) w Mediolanie, wyrażał się jasno: *„Kościół katolicki ocalił podczas II Wojny Światowej więcej istnień żydowskich aniżeli inne Kościoły i powołane do tego organizacje razem wzięte”*. To prawda. Podczas tamtej Wojny nasz Kościół jeszcze raz udowodnił swój moralny i humanitarny prymat, celnie zdefiniowany sentencją Nicolása Gómeza Dávili: *„Katolicyzm jest cywilizacją chrześcijaństwa”*.

Wincenty Pol: „Trucizna, którą wrogowie trują…”

Polscy Żydzi mieli duży udział w montowaniu antykatolickiej kalumni holocaustowej, kiedy wskazywali polski Kościół jako podżegacza do Zagłady Żydów. Exemplum Żyd z Mielca, Mark Verstanding (**„I Rest My Case”**), bądź Żyd z Łodzi, Abraham H. Biderman (**„The World of My Past”**) — ich książki, czyniące z Kościoła katolickiego nad Wisłą mordercę Żydów, infekowały świadomość całego Zachodu *„defamacją”* kontrpolską od drugiej połowy lat 90–ych. Niestety — przyłożył do tego rękę niefortunnym proszalnictwem Jan Paweł II, przez co renomowany belgijski publicysta Jean–Marc Veszely mógł obwieścić światu na łamach **„Le Soir Illustré”**: *„Papież pochodzący z kraju, który wymyślił Auschwitz, prosi o przebaczenie Kościołowi za antysemityzm”*. Nic dziwnego, że wciąż ukazują się pseudoscjentyczne rozprawy krzyżujące katolicyzm za Holocaust. Niektóre głośne wszechświatowo, jak choćby **„The Third Reich at War”** Richarda J. Evansa, czy też **„Czarna ziemia. Holocaust jako ostrzeżenie”** (polska edycja 2015) Timothy'ego Snydera.

Słowo drukowane ma dziś wszakże mniejszą moc niż propaganda filmowa, od dawna więc wytwórnie hollywoodzkie oraz inne karmią ludzkość przekazem antykatolickim (według Salonu: *„antyklerykalnym”*). Mógłbym wymienić i skomentować mnóstwo tytułów, ale to felieton, zatem spójrzmy ledwie na dwa. W roku 2000 zmajstrowano film Sally Potter (scenariusz i reżyseria) **„The Man Who Cried”**, dając mu obsadę gwiazdorską (takie kontrkatolickie produkcje zawsze są dekorowane gwiazdami): John Turturo, Johnny Depp, Cate Blanchett itd. Treścią jest gehenna uciekających po I Wojnie Światowej z Rosji Żydów, których napadają/obdzierają/mordują bandyci używający czyściuteńkiego (bez akcentowych naleciałości) polskiego języka, katolik modli się w kościele żarliwie do Matki Boskiej, by hitlerowcy zwyciężyli w Europie, po czym denuncjuje Żydówkę, etc., etc. Normalka.

Antykatolicka normalka filmowa ukazująca pastwienie się nad Żydami przejadła się po kilku dekadach trochę (było tego zbyt dużo), należało tedy znaleźć nowy *„antyklerykalny”* modus. Jego obecną erupcją podbijającą świat jest dziesięcioodcinkowy serial Paola Sorrentino (scenariusz i reżyseria) **„Młody papież”** (**„The Young Pope”**, 2016), z Judem Lawem w roli głównej. Ów młody papież (zwą go: Pius XIII) stanowi drastyczne zaprzeczenie świątobliwego Ojca Świętego (lektor filmu wymawia oczywiście: *„wasza świętobliwość”*, podobnie jak 90% rodzimych lektorów, bo ich nie nauczono poprawnej polszczyzny), czyniąc od pierwszego do ostatniego odcinka co tylko można, by obrzydzić katolicyzm widzom. Prawdziwy *„luzak”*, robiący sobie ciągłe *„jaja”*, ostentacyjnie zdradzający i łżący, swobodnie klnący (*„ — Kurwa!”*, *„ — Przestańcie mi tu pierdolić!”*, itp.) tudzież bluźniący (*„ — Modliłem się tak silnie, że omal się nie zesrałem!”*), permanentnie prezentujący chamstwo (na przemian aroganckie lub agresywne), mściwość (bezwzględną, bliską sadyzmu), tandetną pychę (*„ — Jestem przystojniejszy od Chrystusa”*, *„ — Mogę być zresztą uznany za Chrystusa”*) i głupkowatą złośliwość (małym dzieciom pokazuje gniewnie język), a do tego… nie wierzący w Boga i twierdzący: *„ — Ci, którzy wierzą w Boga, nie wierzą w nic!”*.

Po obejrzeniu tego wszystkiego (jak również papieskiego *„loda”* w Powszechnym dotowanym milionami przez HGW) rodzi się pytanie: czy są jeszcze jakieś granice bezkarnego poniżania katolicyzmu? Analogicznych filmów i sztuk teatralnych o islamie nie doczekamy, lewaccy libertyni bowiem to globalna spółka z o.o. (ograniczoną odwagą), samobójstwa im niemiłe. Jakaż mądrość życiowa, aj–waj! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 8322bd21d5

1 MARCA

NARODOWY DZIEŃ PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

CZEŚĆ I CHWAŁA BOHATEROM!

facebook.com/RozgrzewamyPolskieSerca
www.RozgrzewamyPolskieSerca.pl

FOT.: WIKIPEDIA.ORG / LOWDOWN - MUZEUM OKRĘGOWE W RZESZOWIE / CC-BY-SA 3.0

rozgrzewamypolskieserca.pl
pgnig.pl

PGNiG

ROZGRZEWAMY POLSKIE SERCA
Fundacja PGNiG

eprasa.pl 8322bd21d5